AGNIESZKA PTAK

SPOTKANIE

Co ukrywa Watykan?

Wciągająca opowieść o braciach uwikłanych w jedną z największych zagadek historii Kościoła

LETRA

Agnieszka Ptak

SPOTKANIE

LETRA

Spis treści

Karta redakcyjna

Motto

Wstęp

Prolog I

Prolog II

CZĘŚĆ 1. DROGA
Rozdział I. Prośba Ojca Louisa
Rozdział II. Co przechowała siostra Ursula
Rozdział III. Co kryją szpalty Signore Chiantiniego
Rozdział IV. Odkrycie Ramóna Hernána Isazy
Rozdział V. Jacques Fournier przerywa milczenie
Rozdział VI. Philippe Edery spotyka siostrę Łucję
Rozdział VII. Audiencja u Monsignore Giancarla Roberta Russo

CZĘŚĆ 2. SPOTKANIE
Rozdział VIII. Luiggi Cesare Farretti przybiera imię Piotra Pawła I

Spowiedź szatana czyli epilog

Źródła

Przypisy

Text copyright © Agnieszka Ptak

Copyright for this edition © Wydawnictwo ARKADY Sp. z o.o.,
Warszawa 2024

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana w jakiejkolwiek formie ani powielana graficznie, elektronicznie czy mechanicznie, w tym za pomocą kopiowania, nagrywania, ani przechowywana w informatycznej bazie danych bez pisemnej zgody wydawcy. Prosimy o przestrzeganie praw twórców do ich własności intelektualnej i nieudostępnianie treści książki w sieci.

Redakcja: Anna Kuciejewska
Konsultacje i korekta: Maciej Pieczyński
Projekt okładki: Little Robin Dorota Michalec
Skład i łamanie: Agnieszka Budzicz

ISBN 978-83-213-5290-9

Wydanie I, 2024. Symbol 5346/R

CIP Biblioteka Narodowa
Ptak, Agnieszka
Spotkanie / Agnieszka Ptak. - Wydanie I.
- Warszawa : LeTra, 2024

Wydawnictwo ARKADY Sp. z o.o.
ul. Dobra 28, 00-344 Warszawa
tel. 22 444 86 50/51
e-mail: info@arkady.eu, www.arkady.eu
Facebook: @Wydawnictwo.Arkady, Instagram: @wydawnictwo.arkady
Facebook: @Wydawnictwo.Letra, Instagram: @wydawnictwo_letra
księgarnia firmowa tel. 22 444 86 61
e-mail: ksiegarnia@arkady.eu
księgarnia wysyłkowa: tel. 22 444 86 97
www.arkady.info

Konwersja: eLitera s.c.

Pisarz to ktoś, kto, zabierając się do pracy,
nie ma pojęcia, co ma robić.

DONALD BARTHELME[1]

Najlepszym posłańcem jest ten,
kto nie rozumie tego, co przekazał.

LEIF GW PERSSON[2]

TYTUŁEM WPROWADZENIA:

Czytelnik wybaczy, ale tym razem do głosu doszły objawienia.

Czytelnik domyśla się, że miejsca opisane przez autora nie istnieją, a jeśli są, to tylko w jego wyobraźni. A ta, jak wiemy, często płata figle... Rzeczywiste są tylko nazwy.

Czytelnik rozumie, że wszystkie postacie zostały wymyślone. W końcu to tylko kolejna powieść...

TYTUŁEM WYJAŚNIENIA:

Ta historia jest oparta na faktach, jak prawie wszystkie historie. Niech zatem przemówią fakty, niech do głosu dojdzie dialog, niech wypowiedzą się bohaterowie i rozdadzą karty zdaniami, niech wybrzmią słowa.

.

Bądźcie trzeźwi! Czuwajcie!
Przeciwnik wasz, diabeł, jak lew ryczący krąży,
szukając kogo pożreć[3].

(1 P 5, 8)

.

Jestem katolickim duchownym. Mam czterdzieści sześć lat i wiem, że niedługo umrę. Wiem to, bo planuję własną śmierć. Ale najpierw muszę wyjawić pewien sekret i opowiedzieć o tym, co pewnego razu zostało mi wyjawione.

Kreśląc te słowa, nadal mam wątpliwości, czy robię słusznie, czy nie powinienem postąpić inaczej, objąć zasłyszanych słów tajemnicą spowiedzi. Ale nie mogę tego uczynić. Nie mogę postąpić wbrew sobie.

Wszystkiemu winne wątpliwości, które mnie nachodzą, będące niczym kropla atramentu barwiąca wodę. Wiem, że ta historia nie powinna zostać opowiedziana, nie powinna ujrzeć światła dziennego. Powinna pozostać w mrokach, ukryta na zawsze przed każdym, kto chciałby odkryć tajemnicę. Powinna umrzeć wraz z tymi, którym dane było ją poznać. Tak się jednak nie stanie. Nie dopuszczę do tego, nie mogę. Wbrew wszystkiemu postanowiłem wyjawić ją światu na kartach powieści, a potem zniknąć.

Jeszcze tylko dwa zdania tytułem wyjaśnienia:

Pierwsze skrzypce zagrają w niej analfabeci.

Mimo wszystko koncert zbierze owacje na stojąco.

A oto i sama historia...

PROLOG I

Należałoby powiedzieć: występują. Byłoby to jednak zbyt zobowiązujące. Występują, czyli są i trwają. Ponieważ trwać nie będą, tylko zasygnalizują swoją obecność i zejdą ze sceny, porzućmy słowo „występują” i zmieńmy je na „wkraczają”.

Zatem na scenę wkraczają dwie pierwsze *dramatis personae* naszej opowieści: Melania Calvat, a właściwie Françoise Mélanie Calvat, oraz Maksymin Giraud, czyli Pierre Maximin Giraud. Ta dwójka Widzących z La Salette to zaledwie dzieci, ale ich wiek nie ma tu znaczenia. Jedno jest pewne – objawienie, którego byli świadkami, odciśnie na nich piętno, oni zaś odcisną piętno na historii Kościoła.

Wiem, to nie czas i miejsce na przedstawienie nudnych życiorysów. Zbyt dużo w nich faktów i dat, zbyt wiele się w nich dzieje. A może wprost przeciwnie? Skupmy się na najistotniejszych kwestiach. Na marginesie warto wspomnieć, że oboje Widzący mówią tylko po prowansalsku, francuskiego nie znają, co najwyżej kilka słów.

Melania Calvat urodziła się 7 listopada 1831 roku. Nie umiała czytać ani pisać, nie chodziła do szkoły, nie zdobyła wiedzy religijnej, a do komunii przystąpiła w wieku szesnastu lat. Odznaczała się bardzo słabą pamięcią i wszelkie postępy czyniła powoli – po roku nauki nadal nie umiała na pamięć *Aktów wiary, nadziei* i *miłości*.

Została zakonnicą.

W chwili objawienia była pasterką z La Salette, która dostąpiła łaski oglądania płaczącej nad ludzkością Matki Boskiej, i świadkiem objawienia.

Mimo że widziała więcej niż jakiekolwiek inne dziecko, mimo że Lúcia de Jesus dos Santos, zwana Łucją, zobaczyła to w Fatimie po wielokroć, była Pierwszą (zaś panienka dos Santos – Drugą). Stała się dzieckiem, które zniszczyło Kościół (to od niej wszystko się zaczęło i to na niej miało się skończyć,

instytucja zaczęła się chwiać), a potem kobietą, którą zniszczył Kościół.

Zmarła 15 grudnia 1904 roku.

Maksymin Giraud, urodził się 26 sierpnia 1835 roku, a zmarł 1 marca 1875 roku. W okresie wypełniającym przestrzeń między tymi datami miał przyjemność spotkać Najświętszą Panienkę i zostać kołodziejem.

Do jedenastego roku nie uczęszczał do szkoły, był analfabetą, nie miał żadnej wiedzy religijnej. Dopiero dwa miesiące po objawieniu zaczął chodzić do szkoły, a nauczenie się na pamięć modlitw *Ojcze Nasz* i *Zdrowaś Mario* zajęło mu trzy, może nawet cztery lata. Potem z Widzącym nie było wiele lepiej, a właściwie potem nie było wcale, bowiem zmarł, nie doczekawszy czterdziestych urodzin.

Pracował jako kołodziej.

W chwili objawienia był pasterzem z La Salette, który dostąpił łaski oglądania płaczącej nad ludzkością Matki Boskiej, i świadkiem objawienia.

Nie ma co owijać w bawełnę. Na spotkanie z Matką Boską ruszyli tytani intelektu. Ale z tej dwójki to Melania da Kościołowi bardziej popalić.

* * *

Francja, La Salette, 19 września 1846 roku

Mamy piękny wrześniowy dzień. Francuskie Alpy skąpane w słońcu. Przyprószone śniegiem szczyty Gargas, Chamoux i najbardziej majestatyczny z nich wszystkich, potężny Grande Tête de l’Obiou. Na jednym ze zboczy, na wysokości ponad tysiąca ośmiuset metrów, rozciąga się łąka.

Na nizinach jest jeszcze ciepło, mimo że lato powoli przechodzi w jesień. Tu na górze rządzi jednak górskie, chłodne powietrze.

Sceneria warta Oscara.

Na łące Melania i Maksymin. Pomiędzy nimi stado owiec i biegający pies pasterski.

Tyle widzi zwykły śmiertelnik. Pora przedstawić, co widzą dzieci. A te widzą więcej, niż chciałby Kościół.

* * *

Fragment tekstu orędzia wygłoszonego przez Matkę Boską w La Salette, tajemnicy powierzonej Melanii Calvat:

Melanio, to, co mówię tobie teraz, nie pozostanie na zawsze tajemnicą: możesz to podać do publicznej wiadomości w roku 1858.

Księża – słudzy mego Syna – z powodu złego życia, lekceważącego i bluźnierczego sprawowania świętych Tajemnic, z powodu zamiłowania do pieniędzy, zaszczytów i przyjemności stali się ściekiem nieczystości. Tak, duchowni zasługują na pomstę i ta zawisła nad ich głowami. Biada księżom i osobom Bogu poświęconym, które swą niewiernością i złym życiem krzyżują na nowo mego Syna! Grzechy osób poświęconych Bogu wołają do Nieba i przyzywają pomstę; i oto pomsta czeka u ich drzwi, ponieważ nie ma nikogo, kto by błagał o miłosierdzie i przebaczenie dla ludu, nie ma już dusz szlachetnych, nie ma już osób godnych złożyć świętą ofiarę Przedwiecznemu, by uprosić łaski dla świata.

Bóg przygotowuje uderzenie, jakiego jeszcze nie było (...).

Wielu porzuci wiarę, a liczba księży i zakonników, którzy wyrzekną się prawdziwej religii, będzie wielka; między nimi znajdą się i biskupi. Niech papież strzeże się tych, którzy będą czynić cuda, albowiem przyszedł czas, kiedy najbardziej zdumiewające zjawiska wystąpią na ziemi i w powietrzu. W roku 1864 Lucyfer wraz z całą rzeszą demonów zostanie wypuszczony z piekła. Krok po kroku obalą oni wiarę nawet u osób poświęconych Bogu i tak je zaślepią, że – wyjąwszy przypadki szczególniejszej łaski – osoby te przejmą ducha złych aniołów; wiele domów zakonnych całkowicie straci wiarę i doprowadzi do zguby wiele dusz (...).

Biada tym książętom Kościoła, którzy będą zajęci jedynie gromadzeniem bogactw, dbałością o swój autorytet i pyszną dominacją. Namiestnik mego Syna wiele wycierpi, ponieważ nadejdzie czas ciemności i prześladowań Kościoła, który popadnie w straszliwy kryzys (...).

Wszystkie władze świeckie będą miały ten sam zamysł – obalić i unicestwić wszelki pierwiastek religijny, aby zrobić miejsce dla materializmu, ateizmu, spirytyzmu i występków każdego rodzaju. Rok 1865 przyniesie ujawnienie haniebnych spraw w miejscach świętych, w klasztorach gnić będą kwiaty Kościoła i szatan stanie się królem serc. Ci, którzy stoją na czele wspólnot zakonnych, muszą zachować ostrożność, przyjmując zgłaszających się do klasztoru, ponieważ demon użyje całej swej złośliwości, aby wprowadzić tam ludzi oddanych grzechowi, gdyż nieład i zamiłowanie do rozkoszy cielesnych opanują całą Ziemię (...).

Poprzednik Antychrysta z wojskami z wielu narodów wystąpi do walki z prawdziwym Chrystusem, jedynym Zbawicielem świata; rozleje on wiele krwi i będzie chciał zniszczyć kult Boga, aby jego samego uznano za boga. Ziemię nawiedzą różnego rodzaju plagi (niezależnie od zarazy i głodu, które srożyć się będą powszechnie). Nastanie czas wojen, aż dziesięciu królów Antychrysta, mających te same zamiary i będących jedynymi władcami świata, rozpęta wojnę ostatnią (...).

Wtedy właśnie z biskupa i hebrajskiej zakonnicy, z fałszywej dziewicy, pozostającej w bliskiej łączności ze starodawnym wężem, władcą i nauczycielem nieczystości, narodzi się Antychryst, istne wcielenie szatana. Po wyjściu z łona będzie on bluźnił, wydawał przerażające okrzyki, czynił cuda i żywił się tylko nieczystościami. Jego bracia, chociaż nie będą wcielonymi demonami, staną się jednak synami zła. W wieku dwunastu lat zasłyną z wielkich zwycięstw, jakie odniosą; wkrótce każdy z nich obejmie dowództwo armii wspomaganych przez legiony z piekła.

Przemienią się pory roku, ziemia zacznie rodzić tylko złe plony, gwiazdy utracą regularność ruchów, księżyc będzie świecił zaledwie nikłym czerwonawym światłem, woda i ogień

spowodują konwulsyjne poruszenia kuli ziemskiej i straszliwe trzęsienia ziemi, które pochłoną góry i miasta. Rzym utraci wiarę i stanie się siedzibą Antychrysta.

Demony powietrzne wraz z Antychrystem będą czynić wielkie znaki na ziemi i na niebie, a ludzie staną się jeszcze bardziej przewrotni. Bóg jednak zatroszczy się o swoje wierne sługi i o ludzi dobrej woli; Ewangelia będzie głoszona wszędzie, a wszystkie ludy i wszystkie narody poznają prawdę!

* * *

Jeszcze we wrześniu tego samego roku Melania, Maksym i jego nawrócony ojciec ustawili krzyże w miejscu objawienia. Na wiosnę 1850 roku pielgrzymi dodali do nich czternaście stacji Drogi Krzyżowej, tym samym wytyczając drogę przypominająca kształtem literę „S". Drogę, jaką po zakończeniu rozmowy z dziećmi przeszła Matka Boża. Rok później wydano list pasterski, w którym orzeczono, że objawienie w La Salette było cudem, a miejsce to może stać się celem pielgrzymek. W maju 1852 roku blisko dziewięćdziesięcioletni biskup de Bruillard wjechał konno na górę, by położyć kamień węgielny pod budowę sanktuarium poświęconego Matce Bożej Saletyńskiej. Po piętnastu miesiącach świątyni przyznano status ołtarza uprzywilejowanego, zaś w lutym1879 roku nadano jej status bazyliki.

Najwyższy czas pożegnać dwójkę dzieciaków. W tym miejscu Widzący z La Salette schodzą ze sceny, a objawienie zaczyna żyć własnym życiem.

Pozwolę sobie zaserwować jeszcze garść informacji o dalszych losach objawienia dla zainteresowanych i tych, którzy zbywają wszystko, twierdząc, że nic ich już nie interesuje.

Mimo że *Tajemnica Saletyńska* została uznana przez papieży Piusa IX i Leona XIII, pozostawała w ukryciu. Jej treść po raz pierwszy ukazała się drukiem 15 listopada 1879 roku z *imprimatur*[4] Salvatore-Luigiego Zoli, biskupa Lecce. Ledwie egzemplarze „sekretu" ujrzały światło dzienne, ze strony Kościoła rozpoczęły się liczne interwencje. W skrócie można

powiedzieć tak: w latach 1880–1957 Stolica Apostolska robiła wszystko, by zwalczyć rewelacje dostarczone przez Melanię Calvat. Do Indeksu Ksiąg Zakazanych trafił nie tylko tekst objawienia, ale i szereg dzieł go broniących. Podczas gdy Święte Oficjum zakazywało, upominało, ganiło, Stolica Apostolska zamknęła Melanii usta, nakazując jej milczenie.

Potem było już tylko gorzej.

I tak na przykład 21 grudnia 1915 roku Święte Oficjum wydało kolejny dekret, w którym nie tylko zakazano wiernym dyskutowania i zajmowania się tym tematem, ale przede wszystkim publikowania *Tajemnicy...* w jakiejkolwiek wersji.

Ot i po kłopocie.

Najprościej jest wmówić wszystkim, że *Tajemnica Saletyńska* to nic innego jak profanacja i stek kłamstw, subiektywna ekstrapolacja lub, mówiąc wprost, brednie w stylu profetycznym. Jeszcze prościej poddać ją krytyce i uznać za niewiarygodną.

Skoro drukarnie omijały tekst szerokim łukiem, a świadkowie objawienia milczeli, należy wspomnieć o samym tekście.

Słowa Najświętszej Marii Panny zostały przekazane w dwóch tajemnicach, które Widzący powierzyli z kolei Piusowi IX. To pozwoliło je pogrzebać w osobistym archiwum papieża na blisko sto pięćdziesiąt lat.

Objawienie z La Salette należy do proroczego cyklu. Matka Boża mówi w nim o wielkiej nowożytnej apostazji, o nieszczęściach, które zagrażają ludzkości, o wyzwoleniu potężnych sił antychrześcijańskich, wreszcie przestrzega, że nadchodzące lata będą czasem Antychrysta, kiedy to szatan wkradnie się na sam szczyt Kościoła, Rzym straci wiarę i stanie się siedzibą Antychrysta.

Na szczęście w samym Watykanie tekst *Tajemnicy...* jakimś cudem zagubiono. Odnalazł go dopiero ojciec Michelle Corteville 2 października 1999 roku.

Losy świadków objawienia nie są nadzwyczajne. Oboje zostali zdyskredytowani, doznawali prześladowania, pogardy, krytyki. Traktowano ich jak budzących litość wieśniaków i analfabetów. Uznano za bezwartościowych prostaków, odartych z duchowości, wręcz nieludzkich.

Melanii przypięto łatkę histeryczki, osoby chwiejnej, niestałej, pełnej urojeń, wręcz obłąkanej.

Maksym stał się wcieleniem pomieszania.

Tak kończą ludzie, który weszli w drogę Kościołowi.

W tym miejscu kończy się misja pastuszków i zaczyna misja Kościoła.

* * *

Obecnie

La Salette-Fallavaux, okręg Grenoble, departament Isère,
region Owernia-Rodan-Alpy, wczesna jesień

Tego dnia sanktuarium maryjne tonęło w chmurach niczym odcięte od reszty świata. Dwie wieże bazyliki i zabudowania klasztoru wyglądały jak miejsce zapomniane przez Boga, zamknięte w ciszy i mroku. Jak okiem sięgnąć tylko mgła, a w tle szelest padającego deszczu. Deszczu, którego krople nie potrafiły zmyć otaczającej wszystko szarości.

Zbliżał się wieczór. Miejsce objawień maryjnych, najwyżej na świecie położony cel pielgrzymek, zwykle o niepowtarzalnym górskim uroku, pełne głośnych pątników radujących się ze szczególnej bliskości Boga, trwało w zupełnym zawieszeniu. Trwało, oczekując na przybycie ostatniego gościa.

Kilka podmuchów wiatru później wysłużone renault księdza pokonało ostatni odcinek wijących się ku górze serpentyn i zatrzymało się na parkingu. Silnik zgasł, wycieraczki przestały pracować, a ulewa ewidentnie przybrała na sile. Podczas gdy deszcz siekł bezlitośnie, jakby zamierzał zmyć wszystkie grzechy świata, mężczyzna, który opuścił klasztorne mury, na przekór otaczającej go aurze szedł wolnym, dostojnym krokiem ku parkingowi.

Był ubrany na czarno. Zanim wyszedł, narzucił na habit sięgający ziemi płaszcz i zabrał parasol. Skrywszy się pod nim, ruszył na spotkanie. Szare renault przyjaciela stało samotnie w oddali. Przy tej pogodzie chyba bardziej domyślił się jego istnienia, niż je dostrzegł.

Dwaj mężczyźni przywitali się serdecznie, ale w ich postawach wyczuwalny był chłód i sztywność. Tak naprawdę żaden z nich nie planował tego spotkania. Zakonnik go wręcz nie chciał. Przyjaciel zadzwonił do niego rano i dosłownie je na nim wymusił.

W zaistniałych okolicznościach spacer stawał się koniecznością. Toteż mimo niesprzyjającej aury duchowni ruszyli w kierunku otoczonych łańcuchami żeliwnych figur Matki Bożej i dwojga dzieci. Szli, a z łańcuchów skapywały krople deszczu.

Rozmowa początkowo się nie kleiła i krążyła wokół nieistotnych tematów, zahaczając głównie o historię tego miejsca. I tak przybysz dowiedział się od zakonnika, który wszedł w rolę przewodnika, jakby robił to zawodowo, o rzeźbach, jakie wyszły spod ręki Berréme'a d'Angersa.

Figury na wysokość tysiąca ośmiuset dwudziestu metrów nad poziomem morza dotarły dzięki sile mięśni mułów. Odlano je z żeliwa w wytwórni maszyn parowych Baud&Lanfey w Le Creusot (może dlatego przypominają swą masywnością produkty fabryki?).

Rzeźby przedstawiają trzy fazy objawienia i zwane są *Tryptykiem Saletyńskim*. Faza pierwsza to Matka Boża płacząca i nad grzechami ludzkości ubolewająca, faza druga to Matka Boża z pastuszkami rozmawiająca, a z kolei faza trzecia to Matka Boża do nieba się wznosząca.

Mimo najszczerszych chęci zakonnik nie potrafił w nieskończoność oddalać widma rozmowy, wyszukiwać tematu, by zastąpić ten, który jeszcze się nie pojawił. Pogoda też mu w tym nie pomagała.

Właściwy dialog rozpoczął ksiądz. W końcu to on był bardziej zdenerwowany, to on domagał się odpowiedzi, wymusił spotkanie, odczuwał zniecierpliwienie.

– Czy to prawda, że Watykan intronizował Lucyfera?

– Że co...? – W głosie zakonnika pobrzmiewało niedowierzanie.

– Odpowiedz, proszę! – błagał łamiącym się głosem.

– Brednie!

– Nie zbywaj mnie. Już i tak za długo czekałem ze wszystkim.

– Lepiej zajmij się dokumentami, które przesłałem ci w zeszłym tygodniu. – Tym razem z tonu gospodarza dała się wyczytać wrogość.

– W dupie mam te dokumenty, w dupie mam wszystko! – Bassanti krzyczał. – Chcę znać odpowiedź tylko na to jedno pytanie! Tylko to w tej chwili mnie obchodzi!

– Zostaw temat. Zostaw go, proszę.

– Zatem to prawda?

– Pozwól, że nie udzielę odpowiedzi.

– Milczenie też jest odpowiedzią. Zapomniałeś o tym?

– Nie, nie zapomniałem. Uważaj na siebie – rzucił na pożegnanie i, odwróciwszy się na pięcie, zakończył trwające blisko kwadrans spotkanie.

Wyjeżdżając z parkingu, Bassanti był bliski szaleństwa. Nie uzyskawszy odpowiedzi, zyskał pewność. W końcu czy milczenie nie jest największym kłamstwem? Zyskał pewność, że to, co odkrył, było prawdą. I miał zamiar niebawem się nią podzielić. Musiał jeszcze tylko znaleźć odpowiednią osobę, której powierzy sekret. Musiał znaleźć i znalazł. Tą osobą byłem ja.

Do miejsca, o którym opowiedział mi Bassanti, udałem się w dniu swoich urodzin. To nie był przypadek. Chciałem, by data moich urodzin i śmierci chociaż to miała ze sobą wspólnego. Poza tym przypadała wtedy... rocznica objawień fatimskich.

* * *

13 października ... roku

Gazety podały, że 13 października... roku śmiercią tragiczną zginął George Falconer, ksiądz i watykanista. Do wypadku doszło na drodze numer 212C, katolicki ksiądz wracał z sanktuarium w La Salette. Na tym etapie szczegóły wypadku nie były jeszcze znane. Na miejscu pracowała żandarmeria i sędzia śledczy.

Na razie nie było wiadomo, po co tam pojechał, co tam robił, ani czy z kimś się tam spotkał. Później nadal brakowało odpowiedzi na powyższe pytania.

* * *

Historia, którą Czytelnik dopiero pozna, już się wydarzyła, więc nic się w niej nie zmieni. Wszystko już było, już się stało...

PROLOG II

Siedemdziesiąt jeden lat później na scenę wkraczają kolejni Widzący. Tym razem jest ich troje, połączonych więzami krwi. Wciąż jednak są to dzieci. Mamy rodzeństwo i ich kuzynkę. Rolę wiodącą pełni kuzynka, to ona rozda tu karty.

Jak wspomniano, to teatr trzech aktorów. W dramacie występuje rodzeństwo: Francisco de Jesus Marto (urodzony 11 kwietnia 1908 r.), zwany Franciszkiem, i Jacinta de Jesus Marto (urodzona 5 marca 1910 r.), zwana Hiacyntą. Ich kuzynka to Lúcia de Jesus dos Santos (urodzona 22 marca 1904 r.), zwana Łucją.

Zacznijmy od rodzeństwa. Z nimi sytuacja wydaje się prosta. To analfabeci pasający owce oraz świadkowie objawień, którzy ciężko zachorowali niedługo po doznanych wizjach. Franciszek zmarł na zapalenie płuc 4 kwietnia 1919 roku, z kolei Hiacynta opuściła padół ziemski 20 lutego 1920 roku z tej samej przyczyny, wcześniej oddając się pokucie i ascezie.

W 2011 roku oboje zostali beatyfikowani, a w setną rocznicę objawień fatimskich, tj. 13 maja 2017 roku, kanonizowani.

Zupełnie inaczej sytuacja ma się z Łucją, bo to ona z tej trójki wtrąci swoje trzy grosze do naszej historii. A może wtrąci nieco więcej. Może sama została wtrącona?

W związku z tym jedynie pobieżnie nakreślę jej postać: świadek objawień maryjnych w Fatimie, portugalska zakonnica, apostołka pierwszych sobót. Zmarła 13 lutego 2005 roku. Jej proces beatyfikacyjny rozpoczął się w trzecią rocznicę śmierci, czyli dwa lata wcześniej, niż wymaga tego prawo. Dokładnie dziewięć lat później dokumenty trafiły do Stolicy Apostolskiej. Od tego czasu cisza... nic się w tej sprawie nie dzieje...

Ale zanim dojdzie do objawień, cofnijmy się dwa lata.

W 1915 roku miało miejsce pierwsze widzenie anioła. Łucji towarzyszyły dwie dziewczynki. Wszystkie widziały obłok w rodzaju białej chmurki o kształcie ludzkiej postaci, która zstąpiła z firmamentu i przesuwała się ponad lasem w dolinie.

W 1916 roku doszło do trzech widzeń anioła. Tym razem Łucja była z Hiacyntą i Franciszkiem. Anioła widziano raz przed grotą, innym razem obok studni w domu Łucji.

W 1917 roku nastąpiły właściwe objawienia, a następnie kolejne wizje (1925 r. i 1929 r.). Te ostatnie dedykowane już jednoosobowej widowni, na której zasiadła tylko Łucja.

* * *

Portugalia, Fatima, 13 maja 1917 roku

A potem już tak co miesiąc, aż do października (jedyne opóźnienie wypadło w sierpniu, kiedy to spotkanie nastąpiło dziewiętnastego dnia miesiąca).

Zatem Portugalia, maj i kolejne miesiące.

Na marginesie, do ostatniego spotkania doszło trzynastego października i to ono stało się tym kluczowym.

A tymczasem dzieci szły i patrzyły. A było na co.

Troje pastuszków pędziło swe stado na zachód od Fatimy, w miejsce zwane Cova da Iria. Nagle pojawił się błysk światła, a zaraz po nim postać pięknej pani otoczonej oślepiającym blaskiem i unoszącej się nad rosnącym nieopodal dębem (niektórzy mówią, że pojawiła się nad ostrokrzewem, którego łacińska nazwa to *ilex*).

Jak już wspomniano, wzorzec spotkań powtarzał się każdego trzynastego dnia kolejnego miesiąca za wyjątkiem sierpnia, kiedy to dzieci zostały zatrzymane przez burmistrza Aljustrel. Był to rodzaj dwudniowego aresztu. Do domu wróciły piętnastego. Problemu jednak nie było. Objawienie zaczekało.

Wszystko odbywało się jak w zegarku. Matka Boża przemawiała, dzieci słuchały.

* * *

Wtrącę kilka słów tytułem wyjaśnienia.

W związku z tym, że fabuła opowieści dopiero się zarysowuje, nikt przy zdrowych zmysłach (zwłaszcza autor) nie chciałby zdradzić tego i owego. Dlatego w tym miejscu należy jedynie wspomnieć, że trzecia tajemnica fatimska ma charakter apokaliptycznej wizji, a czwarta uchodzi za przerażającą. Czy jest ich więcej?

Czym są objawienia w oczach wiernych?

Przedmiotem kontrowersji, retinopatią słoneczną, zbiorem różnych czynników, do których możemy zaliczyć zjawiska pogodowe i efekty optyczne, sugestią.

* * *

Portugalia, klasztor w Coimbrze, 10 sierpnia 1955 roku

Pierwsze spotkanie siostry Łucji z meksykańskim zakonnikiem, ojcem Agostino Fuentesem, postulatorem w procesie beatyfikacyjnym Franciszka i Hiacynty tak naprawdę było jedynie preludium do kolejnego spotkania dwa lata później.

Ojciec Agostino Fuentes zgodę na spotkanie z ostatnim świadkiem objawień w Fatimie otrzymał od samego Ojca Świętego.

* * *

Portugalia, klasztor w Coimbrze, 26 grudnia 1957 roku

Druga rozmowa miała zdecydowanie mniej oficjalny, wręcz swobodny charakter. Siostra Łucja na zmianę bolała, że nikt nie chciał słuchać Matki Bożej, że nawet papież nie chciał spełnić jej prośby, i martwiła się o opublikowanie trzeciej tajemnicy fatimskiej. Wciąż przywoływała Antychrysta i podkreślała, że miały nadejść czasy ostateczne.

W końcu z ust zakonnicy padły następujące słowa:

– Szatan jest w nastroju, by rozpocząć decydującą walkę przeciwko Najświętszej Dziewicy. A ponieważ zna to, co najbardziej obraża Boga, w krótkim czasie zawładnie ogromną liczbą dusz. Czyni on to, by zawładnąć przede wszystkim duszami konsekrowanymi dla Boga, ponieważ w ten sposób doprowadzi do upadku dusz wiernych opuszczonych przez swoich duchowych przywódców, przez co tym łatwiej będzie mógł nad nimi zapanować.

Jej wypowiedź zostaje uznana za kwintesencję przesłania fatimskiego.

Wszystko byłoby dobrze, gdyby do głosu nie doszły siły antyfatimskie. Tajemnica stała się niewygodna. Czy aby tylko tajemnica?

Po opublikowaniu tych sensacyjnych rewelacji ojciec Agostino Fuentes został odsunięty od powierzonego mu zadania, kuria zaś ogłosiła oświadczenie siostry Łucji. Ta oczywiście wszystkiemu zaprzeczyła.

Tak oto wizje o charakterze profetycznym, eschatologicznym i apokaliptycznym po raz kolejny zeszły do podziemia.

Część 1

DROGA

.

Trwa pontyfikat Luiggiego Cesare Farrettiego, który przybrał imię Petrus Paulus PP[5] Primus.

Zatem Piotr Paweł I jest i ma się dobrze. Jego pontyfikat potrwa dobrych kilka lat...

* * *

Teraz, 19 września ... roku

George Falconer był tchórzem. Choć nazwisko nadała mu dopiero ekranizacja dzieła Christophera Isherwooda (w *Samotnym mężczyźnie* jest jedynie George'em), postanowiłem je sobie pożyczyć. Postanowiłem ukryć się za tym nazwiskiem, stać się George'em Falconerem. Potrzebowałem nazwiska, by zyskać anonimowość. Ono dawało postaci korzenie, było jak kotwica zarzucona w sam środek fabuły. A ja do końca nie wiedziałem, czy piszę, czy piszą o mnie.

Od jakiegoś czasu czynię przygotowania do własnej śmierci, stąd i bohater powieści Isherwooda stał się mi bliski. Można powiedzieć, że myślę o nim za każdym razem, gdy nie myślę o tym, co pewien ksiądz opowiedział mi jednej niedzieli. Jednak w przeciwieństwie do George'a ja nie poprzestanę na drobiazgowym planowaniu, nie wyręczy mnie także siła wyższa. Jestem demiurgiem, panem własnego losu. Jestem sprawcą, własnym katem i ofiarą.

Szczegółowo zaplanowałem swoją śmierć. Zaplanowałem nie tylko, kiedy do niej dojdzie, ale nawet gdzie to się stanie. Zapytacie pewnie, skąd znam datę. Nie bądźcie śmieszni. Oczywiście, że nie znam dnia swojej śmierci. Wiem tylko tyle, że dojdzie do niej, gdy ukończę książkę, tę książkę.

Jak tylko to zrobię, wsiądę w samochód, odwiedzę mego jedynego przyjaciela, a potem na dobre rozstanę się z życiem. Życzę sobie, aby doszło do tego w dniu moich urodzin,

trzynastego października. Spieszę się, piszę nocami, wyrywam każdą chwilę, żeby zdążyć. Bo nie chcę żyć.

Dlaczego to zrobię? Może przez tajemnicę, może przez pewnego człowieka o włosko brzmiącym nazwisku, a może przez własną słabość. Nie wiem. Wiem za to, że muszę drobiazgowo się do tego przygotować. Skąd ten pietyzm? Ponieważ jestem księdzem, namiestnikiem Boga. Problem grzechu to jedno, ale katolicki pogrzeb muszę mieć. Muszę ze względu na moją rodzinę. Tego się bliskim nie robi.

Swojego prawdziwego imienia i nazwiska nie wyjawię celowo, nadal żyje moja matka. Wiek też nie jest istotny. Zakładam, że Czytelnik domyśli się, że skoro żyje moja matka, to nie jestem starym człowiekiem. To prawda, ale jedynie w sensie matematycznym. Po tym, jak dowiedziałem się o wszystkim, przybyło mi lat. Nie posiwiałem, ale zrobiłem się stary.

Niech będzie przeklęta niedziela, gdy spotkałem człowieka o nazwisku Bassanti. Albo niech on sam będzie przeklęty. To Bassanti opowiedział mi o wszystkim, to on wyjawił sekret. Dziś już nie pamiętam jego imienia, a może on sam celowo mi go nie podał, może chciał w ten sposób zachować dla siebie cząstkę anonimowości. Dokładnie jej połowę. Nie mam pewności, czy był księdzem, czy tylko się za niego podawał, a w rzeczywistości był antykwariuszem. A może był jednym i drugim? Co za różnica? Wspominał chyba o rodzeństwie. A może celowo wprowadzał mnie tą informacją w błąd? Celowo mylił tropy? Zostawiał ślady, które miały mnie zaprowadzić w ślepy zaułek? Nieważne, kim był. Ważne, że obarczył mnie wielką odpowiedzialnością, że wyjawił mi coś, czego nigdy nie chciałbym wiedzieć, że swoją decyzją nałożył na mnie ogromny ciężar, z którym sobie nie poradziłem, który pchnął mnie ku samobójstwu. Czy zrobił to celowo? Nie wiem. Wiem tylko, że na jego miejscu postąpiłbym dokładnie tak samo.

To, co usłyszałem tamtej niedzieli, w rocznicę objawień w La Salette (celowo nie wspomnę którą) z ust obcego człowieka, mnie przerosło. Okoliczności naszego spotkania nie są na tyle doniosłe, aby o nich wspominać. Czytelnikowi powinno wystarczyć, że spotkałem go w pociągu relacji Paryż–Rzym.

Wsiedliśmy w Paryżu, nasze miejsca były obok siebie, obaj w tym samym czasie sięgnęliśmy po Pismo Święte i obaj zatopiliśmy się w lekturze ostatniej księgi, Apokalipsy. Czy to był tylko przypadek? Nie mnie o tym sądzić. Jedno jest pewne, zanim pociąg dojechał do Rzymu, Bassanti opowiedział mi wszystko, zdradził tajemnicę, a potem zniknął. Różnica między nami była taka, że ja zyskałem kamień młyński u szyi, jeszcze większy ciężar na sercu, a on wreszcie poczuł ulgę.

Do naszego spotkania doszło w rocznicę objawień w La Salette, dokładnie dziewiętnastego września. Dziś mija jego druga rocznica, jednocześnie jest to siedemset trzydziesty dzień dźwigania przytłaczającego ciężaru, który włożono na moje barki. Nie muszę dodawać, że nie ma chwili, abym nie zmagał się z własnym sumieniem.

Bassantiego nigdy już nie spotkałem. Oczywiście próbowałem go odnaleźć, szukałem, gdzie się tylko dało, wykorzystywałem do tego wszystkie swoje kontakty i znajomości, ale dziwnym zrządzeniem losu nie natrafiłem na jego ślad. Jakby rozpłynął się w powietrzu. Nie znał go żaden duchowny, a jego nazwisko nie figurowało w żadnych dokumentach. Bassanti był niczym duch, a może był duchem?

Najgorsze jest jednak to, że wszystko, o czym mi opowiedział, okazało się prawdą. Roczne śledztwo, które na własną rękę przeprowadziłem w tym czasie, potwierdziło każdy przytoczony fakt. Dłużej nie mogę z tym żyć. Nie chcę już dłużej nosić tego brzemienia. Tajemnica wypala mnie od środka, jest jak piętno, jak trucizna, która powoli wsącza się w mój umysł.

Nie jestem upoważniony do oceny własnych uczynków. Zrobi to Bóg. A może On też nie istnieje. Wystarczy, że żyję z poczuciem winy, że postrzegam własne czyny jako coś niewłaściwego, coś mocno oddalonego, o ile nie sprzecznego z wyznawanym przeze mnie systemem wartości. Już dawno z powodu wyrzutów sumiena stałem się swoim własnym wrogiem, rozpętując wewnętrzne piekło.

Zdaję sobie sprawę, że chroniczne poczucie winy dalej towarzyszy człowiekowi po otrzymaniu przebaczenia, akcie żalu, a nawet zadośćuczynieniu. Zdaję sobie sprawę, że nadal

go obciąża, paraliżuje. Ja niestety jestem w jeszcze gorszej sytuacji, ponieważ nie dostąpię przebaczenia, nie będzie przeze mnie przemawiał żal, nie sięgnę po zadośćuczynienie. To się nigdy nie stanie. Tym sposobem nie otrzymam rozgrzeszenia, nikt mi też nic nie wybaczy. Będę trwał w poczuciu winy, zadręczał się, wymierzał sam sobie karę, aż wreszcie popełnię samobójstwo.

Ale na razie dręczą mnie wyrzuty sumienia, bo wiem, że zgodnie z zasadami mojej wiary samobójstwo jest równoznaczne z morderstwem. Całe życie głosiłem, że tylko Bóg ma prawo decydować o tym, kiedy i jak człowiek umrze, a targnięcie się na własne życie stanowi bluźnierstwo przeciwko Niemu. Całe życie powtarzałem, że jesteśmy powołani do tego, by żyć, a decyzja o tym, kto i kiedy ma umrzeć, należy tylko do Boga. Całe życie wmawiałem niedoszłym samobójcom, że to, co planowali zrobić, stoi w sprzeczności z wiarą i nadzieją. A teraz sam chcę się zabić, sam chcę odebrać sobie ten dar. Przewrotność losu?

Nie wierzę, że chrześcijanie, którzy popełnili samobójstwo, pójdą do piekła. Wbrew wszystkiemu wierzę, że nawet samobójstwo popełnione przez człowieka wiary nie może go odłączyć od miłości Boga. W końcu Jezus umarł za wszystkie nasze grzechy. W końcu umarł też za mnie, za to, co planuję niebawem zrobić. A moja śmierć zbliża się do mnie z każdym dniem.

Wiem, że niebawem umrę. Dlatego postanowiłem spisać wszystko, co wyjawił mi Bassanti. O *imprimatur* nie muszę już zabiegać. Po pierwsze w chwili wydania książki nie będzie mnie już na świecie, a po drugie i tak bym go nie otrzymał. Odkąd podjąłem decyzję, że wyjawię sekret, jestem spokojniejszy, jest mi nieco lżej. Ale to i tak nic nie zmienia. Podjąłem już decyzję i nie mam zamiaru się z niej wycofywać. Zresztą publikacja, o którą ma zadbać mój przyjaciel, przesądza o wszystkim. Nie zostało mi zbyt wiele czasu. Pisanie muszę zakończyć do trzynastego października. Wszystko wskazuje na to, że zdążę, że książka ujrzy światło dzienne, tak jak zaplanowałem. Ona ujrzy światło, a ja przestanę je widzieć. Zgasnę.

Gdy ty, Czytelniku, będziesz czytać te słowa, mnie już nie będzie na tym świecie. Popełnię samobójstwo, zjeżdżając serpentynami drogi departamentalnej numer 212C. Dokładnie pomiędzy Col de l'Éterpat a Gargas stracę panowanie nad pojazdem, który straci przyczepność, przebije się przez barierkę zabezpieczającą i runie w trzydziestometrową przepaść. Chwilę później dojdzie do wybuchu w wyniku zderzenia pojazdu z kamiennym podłożem. Tak skończę. Ja to wiem. I nic tego już nie zmieni.

Rozdział I

PROŚBA OJCA LOUISA

(...) Tak mówi Pan Bóg: Byłeś odbiciem doskonałości, pełen mądrości i niezrównanie piękny. Mieszkałeś w Edenie, ogrodzie Bożym; okrywały cię wszelkiego rodzaju szlachetne kamienie: rubin, topaz, diament, tarszisz, onyks, beryl, szafir, karbunkuł, szmaragd, a ze złota wykonano okrętki i oprawy na tobie, przygotowane w dniu twego stworzenia. Jako wielkiego cheruba opiekunem ustanowiłem cię na świętej górze Bożej, chadzałeś pośród błyszczących kamieni. Byłeś doskonały w postępowaniu swoim od dni twego stworzenia, aż znalazła się w tobie nieprawość. Pod wpływem rozkwitu twego handlu wnętrze twoje napełniło się uciskiem i zgrzeszyłeś, wobec czego zrzuciłem cię z góry Bożej i jako cherub opiekun zniknąłeś spośród błyszczących kamieni. Serce twoje stało się wyniosłe z powodu twej piękności, zanikła twoja przezorność z powodu twego blasku. Rzuciłem cię na ziemię, wydałem cię królom na widowisko. Mnóstwem twoich przewin, nieuczciwością twego handlu zbezcześciłeś swoją świątynię. Sprawiłem, że ogień wyszedł z twego wnętrza, aby cię pochłonąć, i obróciłem cię w popiół na ziemi na oczach tych wszystkich, którzy na ciebie patrzyli. Wszystkie spośród narodów, które cię znały, zdumiały się nad tobą. Stałeś się dla nich postrachem. Przestałeś istnieć na zawsze. (Ez 28, 12–19)

Pora roku dowolna (w końcu od czego jest wyobraźnia)

Pismo brata rozpoznał bez trudu. Nerwowo rozerwał kopertę, na której obok stempli pocztowych z napisem: „Roma, Italia” widniało jego imię i nazwisko: Christopher Bassanti, oraz adres: 12, Strand Street, WC2 London, England. Gdy wreszcie udało mu się wyszarpać złożoną na pół kartkę, która jakimś cudem

przykleiła się do wnętrza koperty, jego oczom ukazało się zdanie: „Najbliższy piątek, dwunasta, u Ciebie.”

Tylko tyle. Zamiast podpisu litera „P”. „P” jak *primus*, pierwszy. Kilkanaście minut, niby niewiele, a jednak palma pierwszeństwa na całe życie. Dla świata bracia bliźniacy, w rodzinie zaledwie bracia, którzy, aby przyjść na świat, musieli ustawić się w kolejce. Christopher został tym drugim i to do niego należała litera „S” jak *secundus*. Zawsze się tak podpisywali. Nie wyobrażał sobie, że mogło być inaczej.

Dłuższą chwilę wpatrywał się w kartkę, zanim włożył ją do koperty. Nie mógł uwierzyć, że brat chce się z nim spotkać. Po tylu latach. Po co? Czyżby coś się stało? Tylko co? Co takiego musiało się wydarzyć, aby skłonić rezydenta Rzymu do tego rodzaju pielgrzymki?

Na chwilę przymknął powieki. Obraz starszego z braci pojawił się niczym niemy film, na którym klatka po klatce ukazano, jak ubrany w sutannę z koloratką, czarne sznurowane buty i z przewieszoną przez ramię czarną, skórzaną torbą maszeruje żwirową alejką ku rodzinnemu domowi. Wtedy jeszcze rozmawiali ze sobą, teraz dzieliła ich przepaść.

Zamrugał. Rzęsy przecięły klatki filmu, obraz rozpłynął się w powietrzu. Spojrzał na zegarek. Siedemdziesiąt cztery godziny. Dokładnie tyle czasu dzieliło go od spotkania.

* * *

Londyn, ulica Strand 12, sklep z antykami Antiques, Art, Vintage − Discover special objects, piątek

Dochodziła jedenasta. Od zamknięcia sklepu upłynęła ledwie godzina. Czas dłużył mu się niemiłosiernie, sekundy ciągnęły w nieskończoność, jakby wskazówka zegarka zapragnęła na każdej zatrzymać się na dłużej. Był zły, że zamknął sklep. Nie powinien tego robić. Mógł go zamknąć dopiero w chwili przybycia gościa. Po cholerę wywiesił kartkę, że dziś jest

nieczynne? By utknąć w oczekiwaniu? By wypalić wszystkie papierosy świata, zatruć się nikotyną?

Stał oparty o ścianę tuż przy oknie wystawowym i palił. Nerwowość ruchów zaskoczyła nawet jego samego. Doszedł do wniosku, że palił tak, jakby chciał wypalić czas. A czas był ciszą. A może to cisza była czasem? Stał i palił. Palił i gapił się na otaczający go świat, na ulicę Strand, ludzi, przejeżdżające samochody.

Nienawidził tego nałogu, od czasu do czasu walczył z nim, ale zawsze przegrywał.

Palił, odkąd skończył szesnaście lat, i aktualnie nic nie wskazywało na to, że rozstanie się z nikotyną. Jakby tego było mało, nonszalancja, z jaką palił, korespondowała z nonszalancją jego ubioru. Zawsze prezentował się doskonale, ale miał wrażenie, że z wiekiem jego wygląd tylko zyskał. Był wysoki, szczupły i zaledwie trzy lata temu przekroczył czterdziestkę. Jak na razie wiek zostawił swój ślad jedynie na jego czarnych, kręconych włosach. Z czasem uznał, że delikatne pasemka siwizny i zarost w kolorze szronu nie tylko nie ujęły mu uroku, ale uczyniły jeszcze bardziej męskim. Czarne oczy i przejmujące spojrzenie dawały pozór tajemniczości i zmysłowości.

Już na pierwszy rzut oka było widać, że nie jest Brytyjczykiem. Rysy twarzy, karnacja i burza ciemnych loków przywodziły jego rozmówcom na myśl południe Europy. I nie bez racji. W końcu jego ojciec był Włochem, a matka Amerykanką.

Wygląd południowca zwykle korespondował z doskonale dobranym ubiorem. Dziś też prezentował się nienagannie. Tweedowa marynarka w kolorze burgundu z irchowymi łatami na łokciach, bladoróżowa koszula z kołnierzykiem, obowiązkowo rozpięta pod szyją, jasnoniebieskie jeansy i mokasyny podkreślały jego urodę i oliwkowy kolor skóry.

Kolejny papieros, po który sięgnął, przybliżył go jeszcze bardziej do spotkania. Zatrzymał na dłużej dym w płucach i po raz kolejny uciekł myślami w przeszłość. Już dawno odkrył, że coraz trudniej było mu stamtąd wracać. Wspomnienia dawały poczucie bezpieczeństwa, a starszy Bassanti był w nich

najlepszym bratem na świecie. Tęsknił za tamtym czasem, tęsknił za chwilami spędzanymi wspólnie, dopóki brat nie postanowił wstąpić do seminarium. Wtedy ich drogi się rozeszły, pojawiły pierwsze różnice, a monolit zaczął pękać. Z czasem konflikt na tle wiary – Christopher był ateistą, który z biegiem lat przeobraził się w agnostyka – pogłębił się, a dwaj bracia stali się sobie zupełnie obcy. Dziś już nie pamiętał, o co pokłócili się po raz pierwszy. O istnienie Boga czy może o coś bardziej prozaicznego? Jedno było pewne. Od tego czasu balansowali na granicy wzajemnej wrogości. Wszelkie kontakty zerwali na ostatnim roku studiów. Odkąd jeden został księdzem, a drugi antykwariuszem, nie zamienili ze sobą ani jednego słowa.

Wrócił do rzeczywistości, gdy jakaś kobieta w czerwonym futrze zastukała w szybę wystawy, jednocześnie wskazując kartkę z informacją o zamknięciu sklepu. Skinął głową na znak, że potwierdza informację. To wystarczyło, by obdarzyła go ona najsmutniejszym spojrzeniem świata i odeszła. Nie przejął się tym. Wiedział, że wróci. Każdy wracał. I nikt nie wychodził stąd z pustymi rękami.

Sklep o przydługiej nazwie Antiques, Art, Vintage – Discover special objects był jego oczkiem w głowie, wszystkim co miał, jego jedyną miłością. To dlatego kobiety kochały go bez wzajemności i nie potrafił się zaangażować – nie potrafił, czy też nie chciał poświęcać im uwagi. Nie miał dla nich czasu. Nie miał czasu nawet na kochankę, a co dopiero na żonę. Zresztą na męża się nie nadawał. Ojcem też we własnym mniemaniu byłby fatalnym. Na szczęście wszystkie kobiety, które spotkał na swojej drodze, w porę orientowały się w jego priorytetach.

Bezdzietny kawaler był za to doskonałym kupcem. Kupcem, który przedkładał zdolność budowania pozytywnych relacji i komunikowania się z ludźmi, umiejętność analitycznego myślenia i sztukę negocjacji nad każdy związek. Był strategiem, który doprowadził do perfekcji wyszukiwanie oraz sprzedawanie towaru, jaki stanowił każdy antyk czy bibelot. Umiał wydobyć spod ziemi każdą rzecz. Z podobną łatwością potrafił także znaleźć kupującego. Klientelę miał najróżniejszą: od drobnych zbieraczy, którzy chcieli zostać posiadaczami jednej, jedynej

wymarzonej rzeczy, przez kolekcjonerów aż po biznesmenów aspirujących do grona arystokracji z pomocą tego czy owego przedmiotu.

W jego ukochanym sklepie znajdowało się dosłownie wszystko. Komplety mebli gabinetowych, w skład których wchodziły biurka i biblioteki, szafki nocne, barki, konsole, komody, sekretery, stoły, stoliki, komplety krzeseł, fotele, kanapy, kredensy, toaletki, rzeźby (w tym marmurowy anioł o wysokości około półtora metra), lustra ścienne, lampy wiszące i stojące, zegary stojące, wiszące i kominkowe, wszelakiej maści kufry i skrzynie. Otwarte powierzchnie poszczególnych pomieszczeń zamykały stojące pod ścianami witryny ze szkłem dekoracyjnym, porcelaną, figurkami kolekcjonerskimi, żardinierami, kompletami sztućców, biżuterią oraz bibelotami rodem z pchlich targów.

Można tu było nabyć mieszczańską sofę z mahoniu, kątnik w stylu biedermeier, mahoniową gablotę, edwardiańską cylindryczną witrynę z inkrustowanymi drzwiami i oryginalnym, sprawnym zamkiem wraz z kluczem, meble art déco czy unikatowy komplet porcelany miśnieńskiej.

Do sklepu trafił jeszcze podczas studiów. Początkowo pracował w nim tylko w wakacje, później został jego stałym bywalcem i jedynym współpracownikiem Johna Saxtona. Z upływem czasu stał się nie tylko wspólnikiem starego antykwariusza, ale i osobą, która podejmowała wszystkie ważniejsze decyzje. Wreszcie, jakieś dziesięć lat temu, odkupił udział w nieruchomości, na który składał się sklep z antykami oraz niewielkie mieszkanie tuż nad nim.

Dochodziła czternasta, gdy wreszcie odkleił się od witryny sklepowej i wyjął papierosa z ust. Zgasił niedopałek w szmaragdowej popielniczce o dwunastobocznej podstawie. Szedł właśnie w kierunku toalety, gdy przeszklona witryna z niewiadomych przyczyn runęła na niego, a on, upadając, potrącił stół, na którym stała marmurowa figura anioła. Spadający anioł, a ściślej jego wyciągnięte prawe ramię z krzyżem, uderzyło go w głowę. Na chwilę pociemniało mu

w oczach, po czym stracił przytomność, a czerń okryła wszystko.

Gdy się ocknął, świat wirował, a każdy dźwięk był niczym echo. Pełna świadomość wróciła mu dopiero, gdy pod drzwi sklepu podjechała karetka pogotowia. Odnalazł go przypadkowy klient, który niezrażony napisem „Zamknięte", szarpnął za klamkę i odkrył, że drzwi są jednak otwarte. Ponieważ pilnie potrzebował prezentu dla bratanicy, wszedł do środka. Ledwie przekroczył próg sklepu, dostrzegł leżącego we krwi Bassantiego. Gdy wzywał pogotowie, był prawie pewny, że ten nie żyje. Na szczęście bardzo się mylił. Teraz prowadził go do karetki i tłumaczył ratownikom sytuację. Chwilę później wkładał w dłoń antykwariusza klucze od lokalu, który przytomnie zamknął. Christopher jednak prawie nie rozumiał, co do niego mówiono.

Ogromny ból rozsadzający mu czaszkę, a także skaleczona lewa dłoń, przez którą biegła głęboka i długa na około dziesięć centymetrów rana, nie pozwalały oponować wobec czegokolwiek. Bezwolny, otumaniony pulsującym bólem, z rozciętą głową i obandażowaną dłonią pokornie maszerował – tym razem podtrzymywany przez dwóch sanitariuszy – w kierunku karetki. Zdążył jeszcze zapytać, dokąd jadą i ponownie zemdlał.

Najbliżej znajdował się St Thomas Hospital. I właśnie tam go zawieziono. Przytomność odzyskał na izbie przyjęć. Kilku lekarzy już na niego czatowało. Najpierw zlecono prześwietlenie dłoni, aby sprawdzić czy nie doszło do złamania. Potem tomografia głowy. Od uderzenia mógł powstać krwiak. Na końcu oferta nie do odrzucenia – trzeba wszystko pozszywać. Pielęgniarka, która usiłowała przebrać go w strój szpitalny, twierdziła, że założą mu tylko po kilka szwów. Ani mniej, ani więcej – tylko po kilka.

Gdy tylko wbił się w niebieskie wdzianko z licznymi troczkami, jego osobą przestano się interesować. Czyżby fakt, że odzyskał przytomność, przesunął go na koniec kolejki? To, że z oczywistych względów nie doszło do spotkania ze starszym bratem, jakoś przebolał. Ale nie rozumiał, dlaczego tu utknął,

dlaczego marnuje się jego czas, dlaczego leży i czeka, zamiast załatwić wszystko w miarę sprawnie, wrócić do domu i spróbować skontaktować się z bratem. Tylko jak ma to zrobić, skoro nie ma na niego żadnych namiarów?

To uczucie niezrozumienia jeszcze przybrało na sile, gdy po godzinie zapewnień, że zaraz ktoś po niego przyjdzie, nikt się nie zjawił. Dochodziła siedemnasta, gdy wreszcie zabrano go na tomografię i prześwietlenie. Kolejną godzinę zajęło szycie głowy oraz dłoni. Znieczulenie, które mu zaaplikowano, otępiło go. Dzięki niemu jednak zobojętniał na większość rzeczy, w których brał bierny udział. Wreszcie około godziny dziewiętnastej udało mu się porozmawiać z kimś kompetentnym. Tą osobą okazała się młoda lekarka, która początkowo nie chciała nawet słyszeć o jego powrocie do domu. Ale w miarę upływających minut, rosnącej natarczywości, z jaką dostarczał argumentów, oraz siły perswazji, kobieta zaczęła kapitulować. W końcu wróciła ze stosem dokumentów, które Christopher musiał podpisać, aby odzyskać wolność. Zegar wskazywał dwudziestą dwadzieścia, gdy nieudolnie zakładał na siebie zabrudzone krwią ubranie. Kilka minut później, ściskając w ręku klucze, wsiadał do taksówki, która z piskiem opon ruszyła pod wskazany przez Bassantiego adres.

W sklepie panował bałagan. Na podłodze walało się szkło z roztrzaskanej witryny, marmurowy anioł leżał z utrąconym ramieniem dzierżącym krzyż, niczym martwe dziecko w niemym krzyku przywołujące na pomoc matkę, na dywanie widniała zaś plama zaschniętej krwi. Nie zamierzał tego jednak sprzątać. Na to nie miał ani siły, ani ochoty. Mało tego, ból ręki stawał się nie do zniesienia. Ominął przeszkody i ruszył w kierunku prowadzących do mieszkania schodów. Odszukał w domowej apteczce leki przeciwbólowe, połknął kilka tabletek, wziął szybki prysznic, uważając, aby nie zamoczyć dłoni, i położył się do łóżka. Potrzebował chwili odpoczynku, żeby pozbierać myśli.

Nie miał pojęcia, gdzie mógłby schować numer telefonu do brata. Nie kontaktował się z nim przecież od końca studiów. Leżał dobrych kilka minut, zanim przypomniał sobie, że w jednym z listów matka podała mu ten numer. Nigdy nie

skorzystał z tej informacji, ale listu nie wyrzucił. Odszukał go i na wszelki wypadek zapisał w notesie z adresami. Początek numeru +3906 sugerował, że dzwoni do Rzymu. Ale próba kontaktu spełzła na niczym. Telefon milczał. Kolejne też nie przyniosły żadnych rezultatów. To było do przewidzenia. Przecież tego dnia starszy Bassanti miał być w Londynie.

* * *

Sobota

Obudził się przed ósmą. Dzień zaczął od połknięcia garści leków przeciwbólowych oraz wykonania kilku połączeń do Rzymu. Ale telefon nadal milczał. Tępy ból głowy, który rozsadzał mu czaszkę, nie pozwalał myśleć logicznie. Jak na razie nie miał na nic pomysłu. Nawet śniadanie stanowiło nie lada problem. W lodówce poza światłem w zasadzie nic nie było. No i oczywiście poza produktami, które już jakiś czas temu straciły ważność. Te wyrzucił. Po kolejne nie miał siły wychodzić. Po raz enty wybrał numer podany przez matkę i po raz enty odłożył słuchawkę, nie dodzwoniwszy się nigdzie. Wrócił do łóżka. W stanie, w jakim aktualnie się znajdował, łóżko było zdecydowanie najlepszym dla niego miejscem. Ale nawet tak prozaiczna czynność jak leżenie mu nie szła. Był podenerwowany i, zamiast wygodnie wypoczywać, rzucał się tylko w pogniecionej pościeli. Wczorajszy wypadek, spotkanie, które nie doszło do skutku, i brak kontaktu z bratem wytrąciły go z równowagi. Wstał, wziął prysznic, włożył jeansy i bluzę i wyszedł po zakupy.

Posiłek przywrócił mu siły i zdolność myślenia. Pierwsze, co zrobił, to znalazł w internecie numer telefonu do Kurii Rzymskiej. Tam ustalił, że numer, którym dysponował, nadal jest aktualny. Ponieważ telefon milczał, nie pozostało mu nic innego, jak spróbować skontaktować się z przełożonym starszego Bassantiego. Wstukał cyfry. Po kilku sygnałach wreszcie ktoś odebrał. Wyjaśnił, po co dzwoni, kogo szuka i kim jest. Niestety

i tym razem poniósł fiasko. Sucha informacja, jaką go uraczył męski głos, brzmiała mniej więcej tak: tydzień temu Bassanti wystąpił o kilkudniowy urlop celem udania się do Wielkiej Brytanii. Nikt nie wiedział, po co tam jechał i czy faktycznie się tam wybrał. We wniosku o urlop podał, że zamierza odwiedzić członka rodziny. Tyle.

Odłożył słuchawkę zrezygnowany. Wyglądało na to, że musi uzbroić się w cierpliwość i zaczekać. A tego nie znosił. Był typem zadaniowym. Bezczynność go zabijała. Stawał się wtedy poirytowany i nieznośny. Nie lubił się takim. Ale tym razem nie miał wyjścia. Nie znalazł żadnego tropu, którego mógłby się uchwycić. Zupełnie nic. Brat prawdopodobnie nadal przebywał w Anglii i tylko od niego zależało, co tak naprawdę się wydarzy. A ten mógł albo ponowić chęć spotkania z młodszym bratem, albo wrócić do Rzymu.

Aby nie zwariować, musiał się czymś zająć. Mimo potwornego bólu dłoni postanowił posprzątać po wczorajszym incydencie. Sklep z antykami wyglądał, jakby przeszło przez niego tornado. Na szczęście trąba powietrzna oszczędziła gablotę, w której umieścił figurki z kolekcji Commedia dell'arte. Nie wie, co by zrobił, gdyby się stłukły albo uległy uszkodzeniu. Kilka centymetrów, a przedmioty klasy muzealnej mogłyby przestać istnieć dla świata, kilka centymetrów, a spadający anioł roztrzaskałby wszystko w drobny mak. Tak się jednak nie stało i teraz mógł je podziwiać. Szesnaście figurek – sygnowanych podszkliwnie malowanym na niebiesko monogramem zwieńczonym koroną – było dumą jego sklepu, dumą, z którą nie chciał się rozstać i której nie zamierzał sprzedawać.

Ta najbardziej znana seria figurek bawarskiej Manufaktury Porcelany Nymphenburg została zaprojektowana przez modelarza Franza Antona Bustellego pod koniec lat pięćdziesiątych osiemnastego wieku. Wszystkie postacie na postumentach miały około dwudziestu jeden centymetrów wysokości. Wykonano je z malowanej porcelany i ozdobiono dopracowanymi detalami. Tu nic nie było przypadkowe, każda postać odgrywała swoją rolę i wykonywała ekspresyjne gesty. Ale to nie Arlekin czy jego Kolombina, nie Pantalone czy

Pulcinella ani nawet nie Scaramuccia były jego ulubionymi. O nie, od samego początku, odkąd nabył tę kolekcję, nie darzył sympatią ani błazna w kostiumie z kolorowych rombów, ani żołnierza-samochwały, ani tym bardziej kupca weneckiego, który odziany w czarny płaszcz, tureckie pantofle, czerwoną czapkę i ciemną maskę z wydatnym zakrzywionym nosem, wydawał mu się zbyt posępny.

Ulubieńcem Christophera Bassantiego był Octavio. To tę figurkę uważał za najpiękniejszą, to jej zazwyczaj poświęcał najwięcej uwagi. To dla niej nabył całą kolekcję. Urzekły go niezwykle misternie przedstawione szczegóły stroju. Uwielbiał patrzeć na szmaragdowo-miętowe pasy biegnące przez spodnie kuloty, na precyzyjnie oddane fałdy materiału, delikatną koronkę rękawa koszuli, złote guziki przy zapięciach nogawek, śliwkowy surdut, pod którym widniała kamizelka, na której z największą pieczołowitością namalowano kwiaty imitujące haft. Postać Octavia jest pochylona wpół i lekko opiera się tyłem o podporę. Lewa ręka pozostaje schowana w kieszeni, prawa gotowa do zamaszystego gestu w galanteryjnym ukłonie. Twarz mężczyzny jest upudrowana, włosy ufryzowane w harcap.

Drugą postacią, którą darzył uwielbieniem, była Lalage, kobieta w kapeluszu. Niby najzwyczajniejsza w świecie porcelanowa figurka, a jednak ideał. Smukłe proporcje i delikatność linii to jej największe atuty. O precyzji wykonania świadczyły tu najdrobniejsze szczegóły: malowane kwiaty na spódnicy czy koronkowe wykończenie dekoltu. Ubrana w kwiecistą spódnicę z gorsetem w kolorze atramentu stała nietknięta w gablocie i cieszyła oczy antykwariusza.

Minęło południe, gdy wreszcie zabrał się do pracy. Najpierw pozbierał kawałki szkła i roztrzaskanego marmuru. Potem zabrał się za przewróconą figurę. Ledwie udało mu się ją podnieść. Choć anioł stracił ramię, wyglądał na nienaruszonego. Następnie antykwariusz zabrał się za poprzewracane meble. Z nimi było o wiele gorzej. Już na pierwszy rzut oka było widać, że witryna trafi na śmietnik. Podobny los czekał stół, na którym jeszcze wczoraj stała marmurowa postać. Zdewastowany. To słowo najlepiej oddawało jego stan. Liczne wgniecenia, głębokie

rysy, z których miejscami sterczały drzazgi i zadrapania, mówiły jedno – mebel nadawał się do wyrzucenia.

Szybko pogodził się z tym w myślach. Cóż, nie takie rzeczy się zdarzają. Najważniejsze, to odzyskać pełną sprawność w dłoni. Mebel to tylko mebel. Zawsze można kupić kolejny.

Miał zacząć odkurzać, gdy jego wzrok padł na leżący pod komodą przedmiot, kawałek drewna. Schylił się i podniósł go z podłogi, niedowierzając temu, na co patrzy. Pod komodą leżała noga od witryny, która kilkanaście godzin wcześniej runęła na niego, kalecząc mu dłoń i przewracając stół z marmurowym aniołem. Skąd ona się tu wzięła? Jakim cudem w ogóle odpadła od mebla? Powoli zaczął odtwarzać wczorajsze wydarzenia. Przypomniał sobie, że od samego rana coś mu nie pasowało w wyglądzie sklepu, coś było nie tak. Miał wrażenie, jakby ktoś poprzestawiał meble. Pamiętał też, że idąc za którymś tam razem w kierunku popielniczki, przesunął jedno z krzeseł, które stało niesymetrycznie względem innych z tego samego kompletu. Jeszcze raz odtworzył w myślach tamtą scenę i zyskał pewność, że ktoś majstrował przy witrynie. Usunięcie przedniej nogi, podparcie witryny krzesłem, które było zbyt lekkie, by utrzymać ciężar przeszklonego mebla, a w konsekwencji jego przestawienie musiało doprowadzić do wypadku. I doprowadziło.

Przez dłuższą chwilę stał oniemiały pośrodku pomieszczenia z niewłączonym odkurzaczem. Do głowy przychodziły mu najróżniejsze pytania. Czyżby ktoś zamierzał udaremnić jego spotkanie z bratem? Kto mógł tego chcieć? Przecież marmurowa figura mogła go zabić. Kto życzył mu śmierci? Jaki cel mu przyświecał? Czy celem był tylko on, czy też starszy Bassanti?

Resztę dnia spędził na sprzątaniu i wydzwanianiu do brata. Ale, o ile to pierwsze zadanie zakończyło się sukcesem, drugie – porażką. Jeszcze przed wieczorem zaczął obawiać się o brata. Strach spowodował bezsenność, a ta pchnęła go ku lekom nasennym, które jednak nie zdziałały cudów, bo zasnął dopiero nad ranem.

* * *

Centrum Rzymu, Dom Księży Emerytów, noc z soboty na niedzielę

Rzym, miasto otwarte. Nie, to nie dramat wojenny Rosselliniego, chociaż też dramat...
Rzym, miasto na siedmiu wzgórzach
Rzym, wieczne miasto
wreszcie

Mężczyzna stał w oknie i patrzył na skąpane w światłach miasto. Chłodne, nocne powietrze owiewało mu twarz i wprawiało w drżenie kosmyk włosów. Nie mógł uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszał. Nie mógł uwierzyć, a jednak idąc tu, przypuszczał, że właśnie to usłyszy. I usłyszał. Teraz z papierosem w dłoni analizował sytuację, w której się znalazł. Stał i palił. Palił i stał. Kilka sekund później czyjeś ręce przerwały obie te czynności.

Upadek nie był bolesny. Śmierć nie boli. Bolesne jest tylko to, co niezakończone. A jego historia nie miała jeszcze końca.

* * *

Niedziela

Obudził go dzwonek telefonu. Zanim odebrał, rzucił okiem na stojący na szafce nocnej zegarek. Była za kwadrans jedenasta.

– Pan Christopher Bassanti? – dopytywał głos z wyraźnym włoskim akcentem. – Mówi Alessandro Barcco.

– Tak, to ja. W czym mogę pomóc?

– Jak to pomóc? – zdziwił się dzwoniący.

– Prowadzę sklep z antykami i myślałem, że dzwoni pan... zresztą nieważne. Proszę powiedzieć, o co chodzi. Jeśli panu

wygodniej, możemy przejść na język włoski. Dla mnie to nie problem – zaproponował.

Dalsza część rozmowy odbyła się po włosku.

– Nazywam się Alessandro Barcco. Jestem policjantem w stopniu detektywa. Dzwonię w sprawie pańskiego brata. Dziś w nocy popełnił samobójstwo.

– Samobójstwo? – Christopher nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. – Jak to samobójstwo? On był księdzem.

– Wiem, że był księdzem. Gdy go znaleźliśmy, miał na sobie czarną koszulę i koloratkę. Trudno byłoby się nie domyślić, że jest duchownym.

– Jak to się stało?

– Najprawdopodobniej wyskoczył z okna na czwartym piętrze.

– Wyskoczył z okna? Co pan mówi?! To jest pewne? Nikt mu nie pomógł? Jest Pan przekonany, że mamy do czynienia z samobójstwem?

– Co pan sugeruje?

– Niczego nie sugeruję! Zastanawiam się na głos, jak to możliwe, że cierpiący na lęk wysokości człowiek, w dodatku ksiądz, skacze z okna.

– Na razie to wszystko, co mogę panu powiedzieć. Dobro śledztwa. Sam pan rozumie. – Detektyw miał się właśnie rozłączyć, gdy przypomniał sobie o kondolencjach. – Wyrazy współczucia – dorzucił na zakończenie.

– Dziękuję.

Współczucie, tylko tego mu teraz brakowało.

Nie upłynęła godzina, gdy dzwonek telefonu odezwał się po raz drugi. Tym razem dzwoniono z kurii. Kościół potwierdził okoliczności śmierci brata, ale do tragicznej wiadomości dorzucił jeszcze kilka szczegółów. Do zdarzenia doszło w Domu Księży Emerytów, pogrzeb zaplanowano na wtorek. O reszcie dowie się na miejscu, o ile życzy sobie brać udział w uroczystości żałobnej.

Durne pytanie. Oczywiście, że sobie życzył. Oczywiście, że planował lecieć do Rzymu. Oczywiście, że chciał poznać przyczynę śmierci brata.

Zanim odłożył telefon, przepisał do notesu oba numery telefonów, z których do niego dzwoniono. Potem zasiadł do komputera, aby zarezerwować lot do Rzymu. Miał szczęście. Udało mu się kupić bilet jeszcze na niedzielę, na godzinę dziewiętnastą czterdzieści. Jeśli się pospieszy, powinien zdążyć.

Samolot linii Alitalia wylądował planowo na lotnisku Rzym-Fiumicino. Międzynarodowy Port Lotniczy oddalony od stolicy Włoch o około trzydzieści kilometrów przywitał go chłodnym, nocnym powietrzem. Drogę do hotelu przebył taksówką.

Wziął szybki prysznic i się położył. Nie mógł jednak zasnąć. Jego myśli co rusz podążały w kierunku ostatnich wydarzeń. Tajemnicza śmierć brata nie dawała mu spokoju. Samobójstwo? Jakim cudem? Przecież starszy Bassanti od zawsze bał się wysokości. Był dzieckiem, gdy zdiagnozowano u niego agorafobię i akrofobię. Lęk przed otwartą przestrzenią oraz lęk przed przebywaniem na dużych wysokościach powodowały, że nigdy nie podchodził do okien. Pod żadnym pozorem nie wychodził zwłaszcza na balkony. Unikał jak ognia wind zewnętrznych bez względu na to, czy były przeszklone, czy też nie. A tu nagle miał się rzucić z czwartego piętra? Niemożliwe. Coś tu się nie zgadzało. Ktoś, kto postanowił mu pomóc w opuszczeniu ziemskiego padołu, najwyraźniej nie wiedział o jego fobiach, nie miał pojęcia, że nigdy nie wyjrzałby przez okno. Ktoś, kto to zrobił, właśnie popełnił swój pierwszy błąd. Pozostało ustalić, kim ten ktoś jest. Christopher zdawał sobie sprawę, że to nie będzie takie łatwe.

* * *

Rzym, poniedziałek

Zanim opuścił hotel, wykonał dwa połączenia. Skutkiem pierwszego było umówione spotkanie z prowadzącym śledztwo detektywem Barcco na komisariacie policji. Skutek drugiego był podobny. Tyle że władza świecka została zastąpiona kościelną. Do hotelu, w którym się zatrzymał, miał przybyć ksiądz Alfredo

Baggio, prawa ręka biskupa Sardoniego, bezpośredniego przełożonego zmarłego Bassantiego.

* * *

Rzym, komisariat policji

Alessandro Barcco wyglądał jak typowy Włoch: niski, krępej budowa ciała, o śniadej cerze i z czarnymi, przetłuszczonymi włosami niedbale zaczesanymi do tyłu. Tyle miał z Włocha. Reszta była z kloszarda: wymiętolony garnitur, pognieciona koszula, poplamiony krawat i rozdeptane zakurzone buty nie stanowiły najlepszej wizytówki. Zachowywał się tak, jak wyglądał. Opryskliwy typ urzędasa, nieomylny, przemądrzały, czego nie usiłował nawet ukryć, pozorując, że słucha rozmówcy.

Christopherowi wystarczyło jedno spojrzenie na tego gbura, by wiedział, jaki kierunek obierze śledztwo. Był pewien, że umrze śmiercią naturalną w przeciwieństwie do jego brata. Umorzenie było tylko kwestią czasu.

Rozmowa toczyła się po włosku. Wprawdzie język Dantego nie licował z durnowatym wyrazem twarzy policjanta, ale antykwariusz nie usiłował nawet rozmawiać po angielsku. Wspomnienie fatalnej angielszczyzny detektywa wprawiło go w jeszcze gorszy nastrój.

Dla policjanta wszystko było jasne, pewne, klarowne i udowodnione. Absolutnie nic nie wskazywało na morderstwo, absolutnie wszystko wskazywało na samobójstwo. Żadnych wątpliwości, żadnych przypuszczeń. Ot, nieszczęśliwy wypadek. Dowodowy majstersztyk.

Fakty wyglądały mniej więcej tak. Przy ciele brata znaleziono list pożegnalny, świadków nie było bądź nic nie widzieli. Ponoć przesłuchano wszystkich rezydentów i całą obsługę Domu Księży Emerytów. Monitoring, który zabezpieczono, to kolejna klapa. Zapis z kamer okazał się nieczytelny. Cóż za zbieg okoliczności! Czy to specyfika włoskiej policji, czy wszędzie

w ten sposób prowadzi się sprawy? Nic dziwnego, że tak wiele pozostaje niewyjaśnionych.

Bassanti opuścił komisariat, mając w dłoni wizytówkę prowadzącego śledztwo, a w głowie myśl, że akurat to śledztwo prowadziło się samo. Zanim wyszedł, pokwitował jeszcze odbiór listu, który napisał jego brat. Rozcięta koperta sugerowała cenzurę, a ta naruszenie tajemnicy korespondencji i prywatności.

Ruszył przed siebie, nie znając treści listu. Na razie nie chciał go czytać. Na razie nie był na to gotów. Na razie...

* * *

Rzym, hotel (liczba gwiazdek i standard zależne od fantazji czytającego)

Siedział na kanapie w hotelowym foyer, gdy spostrzegł idącego w kierunku recepcji księdza. Wahał się przez chwilę, ale gdy usłyszał, jak tamten wypowiada jego nazwisko, podszedł do duchownego i się przywitał.

– Christopher Bassanti – powiedział, wyciągając rękę na powitanie.

– Alfredo Baggio.

Po tej oficjalnej prezentacji oraz kondolencjach, które padły z ust sługi Kościoła, mężczyźni przeszli do kawiarni. Nim na stole zjawiły się filiżanki z czarnym napojem, Bassanti został zapewniony, że Sardoni przyjmie go w kurii, najpewniej w środę. Baggio potwierdzi i datę, i godzinę audiencji. W uroczystości pogrzebowej biskup nie weźmie udziału z uwagi na nawał obowiązków, ale sam pogrzeb odbędzie się we wtorek o godzinie trzynastej. Ponoć brat życzył sobie spocząć w Rzymie.

Christopher nie miał pojęcia, czy faktycznie takie było życzenie brata, ale nie chciał z tym polemizować. Zastanowiło go co innego. Wszystko było gotowe. Jakby z góry zaplanowane. Nikt nie czekał na niego z żadną decyzją. Nie

zapytano go nawet o to, czy w pogrzebie weźmie udział ktoś z rodziny. Pośpiech aż nadto rzucał się w oczy. Bliscy nie byli tu elementem pożądanym. Samobójcę należało szybko pochować. Szybko i po cichu. Bez rozgłosu. Z zaleceniem kremacji. Ktoś tu ewidentnie po czymś sprzątał. Ktoś tu ewidentnie chciał coś ukryć.

– Mam pytanie – rzucił, przerywając monolog klechy o konieczności kremacji.

– Słucham?

– Samobójstwo jest grzechem śmiertelnym... – zaczął, ale nie zdążył skończyć, bo ksiądz zwietrzył podstęp i uciął temat:

– Biskup Sardoni podjął decyzję o katolickim pogrzebie, zważywszy na pewne okoliczności.

Christopher o mało nie zakrztusił się kawą, słysząc wypowiedź sługi bożego.

– Jakie?

– To nieistotne. Najważniejsze, że udzielono zgody na tego rodzaju uroczystość.

Mimo że ksiądz ewidentnie go zbywał, postanowił nie wracać do tematu. Zresztą temat w międzyczasie sam się zmienił.

– A... zapomniałbym. Tu są klucze do mieszkania pańskiego brata i adres. Za kilka dni wprowadza się tam nowy lokator. Oczywiście, jeżeli pan chce, może pan zabrać rzeczy brata. Nie widzę problemu. W przeciwnym razie poproszę siostrę Ursulę, aby zajęła się ich uprzątnięciem.

– Kim jest siostra Ursula?

– To zakonnica, która prowadziła dom pańskiemu bratu. Nie był pan nigdy u niego?

– Wstyd przyznać, ale nie. Nasze relacje od lat nie układały się dobrze.

– Rozumiem.

– Kiedy mogę tam jechać?

– Kiedy pan chce. O ile mnie pamięć nie myli, ksiądz Messina wprowadza się w sobotę. Do tego czasu mieszkanie jest do pańskiej dyspozycji. Potem proszę wrzucić klucze do skrzynki na listy. Ktoś je stamtąd zabierze.

– Nie mógłbym ich zostawić tej siostrze zakonnej?

– Ursuli?
– Tak. Ona tam nie mieszka?
– Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia.

Rozmowa dobiegła końca. Klecha o wyglądzie inkwizytora opuścił hotel. Kilka sekund później Christopher zabrał leżące na stole klucze oraz kartkę z adresem i wrócił do pokoju. Czuł głód i musiał pomyśleć. Odkąd postawił stopę na włoskiej ziemi, wszystko było owiane tajemnicą. Jak się już wkrótce miało okazać, okoliczności śmierci brata stanowiły zaledwie wierzchołek góry lodowej.

* * *

Londyn, ulica Strand, wtorek, przed południem

Chantal Voisin wracała ze sklepu, gdy zobaczyła Bassantiego. Ubrany na czarno szedł w jej kierunku przeciwną stroną ulicy. Nagle ich spojrzenia skrzyżowały się. Była pewna, że patrzy na nią. Była pewna do czasu, gdy odstawiła na chodnik torbę z zakupami i pomachała do niego. Wtedy pewność stopniała do zera. Bassanti nie odpowiedział. Udał, że jej nie widzi, a następnie odwrócił się, wyciągnął klucze i wszedł do sklepu z antykami. Dziwne – pomyślała. Nie pojechał do Włoch? Dlaczego jej o tym nie wspomniał? Dlaczego to przed nią zataił? Czyżby chciał coś ukryć? Tylko co? I gdzie się podziały jego dobre maniery?

Z zadumy wyrwał ją pędzący na elektrycznej hulajnodze dzieciak. Prawie przejechał po jej torbie. Szybko zabrała zakupy i zniknęła w bramie.

* * *

Rzym, cmentarz, wtorek

Dochodziła za dziesięć pierwsza, gdy oczom Christophera ukazała się kaplica cmentarna. Była mała, ciemna i zimna. Zupełnie jak cała uroczystość. Księdza samobójcę żegnało nadzwyczaj mało żałobników. Jakby się go wstydzono, jakby chciano się od niego odżegnać, zapomnieć o nim. Mimo że był sługą Kościoła od ponad dwudziestu lat i że wiernie służył tej instytucji, na cmentarzu pojawiła się tylko garstka osób. Żadnych oficjeli, ani jednego purpurata. Kilku cywili, jakiś klecha w sutannie, który non stop gapił się w stronę Bassantiego, i kobieta w średnim wieku. Czyżby gospodyni? Nikogo nie znał, nikogo też nie rozpoznał. Wszyscy byli mu obcy i on był obcy wszystkim.

Krótka msza, złożenie urny z prochami do grobu, błyskawiczne i odarte ze współczucia kondolencje i po sprawie. Pogrzeb dobiegł końca. Starszy Bassanti został pochowany tak, jak umarł. Szybko.

Christopher jeszcze przez kilka minut stał nad grobem brata, nie rozumiejąc ani przyczyny jego śmierci, ani okoliczności, w jakich zginął. W końcu poprawił szarfę na jednej z wiązanek i ruszył w drogę powrotną. Mijał kaplicę, gdy usłyszał za sobą męski głos:

– Jestem ojciec Louis. Byłem przyjacielem pańskiego brata.

Christopher zatrzymał się i z niedowierzaniem spojrzał na mężczyznę w sutannie. Wysoki, chudy, o czarnych kręconych włosach, pociągłej twarzy, niebieskich oczach schowanych za okularami w drucianej oprawce i ładnych ustach wpatrywał się w niego tak, jakby chciał skomentować podobieństwo obu Bassantich. Chciał, ale tego nie zrobił.

– Nie jest pan księdzem? – Mimo że rozmawiał z osobą duchowną, postanowił zignorować ten fakt.

– Jestem jezuitą – odparł zakonnik niezrażony zachowaniem Bassantiego. – Jak pan widzi, nie kieruję się zasadą czterech „K”.

– Jaką zasadą? Nie bardzo rozumiem, o czym pan mówi.

– Kościół, kancelaria, katecheza, kuria. Cztery miejsca, gdzie każdy ksiądz winien pojawiać się w sutannie.

– Stąd suknia bez guzików z białą koloratką wystającą ponad kołnierzyk, przepasana czarnym pasem?

– Dokładnie.

– Ale chyba nie o stroju chciał pan ze mną rozmawiać?

– To prawda. Chciałem porozmawiać o pańskim bracie. Ale to chyba nie najlepsze miejsce. – Rozejrzał się wokoło. – Po co wzbudzać zainteresowanie. Ma pan samochód?

– Nie. Przyjechałem taksówką.

– W takim razie podrzucę pana do centrum. Porozmawiamy po drodze. Co pan na to?

Podczas gdy stary wysłużony fiat almera o niezidentyfikowanym kolorze wiózł ich w kierunku *Centro Storico*, ojciec Louis dokonywał cudów, by przebić się przez zakorkowane miasto.

– Nie wie pan, kto podjął decyzję o kremacji? – zagadnął wciśnięty w fotel Bassanti.

– A jak się panu wydaje?

– Przełożeni mojego brata?

– A któż by inny?

– Skąd pośpiech?

– Naprawdę jest pan aż tak naiwny?

– O co panu chodzi?

– Pański brat, mówiąc wprost, był niewygodny.

– Niewygodny? Dla kogo?

– Dla Kościoła. Wiem, nie powinienem tego mówić, ale taka jest prawda. Miesiąc temu kazano mu opuścić Rzym. Dostał polecenie wyjazdu do Kanady. Nie posłuchał. Został. I tak zaczęły się jego problemy.

– Miał odejść z Kościoła?

– Ależ skąd, kazano mu opuścić Włochy, a nie porzucić kapłaństwo. Mimo to nie posłuchał.

– Czym się tak naraził?

– Przeprowadził egzorcyzm, na sprawowanie którego nie dostał pozwolenia.

– Egzorcyzm? – Mina Bassantiego, z jaką przyjął tę informację, mówiła wszystko.

– Tak. Nie wiedział pan, że pański brat był egzorcystą?

– Szczerze powiedziawszy, nie, nie wiedziałem. Myślałem, że był zwykłym księdzem. Takim, co to odprawia msze, udziela sakramentów. Ot, nudziarz w sutannie.

– Pański brat nie był nudziarzem. Był jednym z najlepszych egzorcystów. Według mnie najlepszym w tym fachu.

– Nigdy bym nie pomyślał, że mógłby mieć pozwolenie na odprawianie tego rodzaju rytuału.

– Jak już powiedziałem, dla mnie był najlepszy. Nie wiem, co się stało podczas ostatniego egzorcyzmu, mogę tylko przypuszczać, ale jedno wiem na pewno, pański brat bardzo się zmienił od tamtego czasu.

– Co pan przez to rozumie?

– Wie pan, kim jest egzorcysta?

– To ktoś, kto wypędza szatana z osoby opętanej.

– Coś mi tu trąci Maxem von Sydowem. Ale przejdźmy do rzeczy. Egzorcysta to człowiek wielkiej wiary, chroniony wiarą przez Kościół Katolicki. Ktoś, kto nie lęka się stanąć do walki ze złem.

– Sugeruje pan, że mojemu bratu zabrakło wiary?

– Nie wiem. Ewidentnie coś poszło nie tak. Kiedy mi opowiedział o przypadku ośmioletniego chłopca, najpierw byłem przerażony, a potem sam usiłowałem go odwieść od egzorcyzmu. Niestety nie posłuchał. Przypadek musiał być szczególny, bo ani przełożony pańskiego brata, biskup Sardoni, ani sam papież nie wyrazili zgody na przeprowadzenie egzorcyzmu.

– I mimo to rytuał się odbył?

– Tak. Żeby wykonać egzorcyzm, trzeba być w odpowiedniej formie psychicznej. A Bassanti nie był. Od dłuższego czasu coś go gnębiło, czuł się przybity. Uważam, że przez to nie miał stosownej ochrony duchowej i naraził się na niebezpieczeństwo. W takim przypadku zakładnikiem jest ksiądz, który odprawia egzorcyzm, a nie osoba opętana.

– Musiało dojść do egzorcyzmu? To nie była jakaś choroba?

– Dobry egzorcysta jest jak detektyw. Wie, czy to prawdziwe opętanie, czy tylko choroba psychiczna, chora wyobraźnia. On to odkryje. Może to trochę potrwać, ale wreszcie wyjdzie na jaw.

A pański brat był wyśmienitym detektywem. On się nigdy nie mylił. Aby stwierdzić opętanie, muszą zaistnieć szczególne oznaki: nadzwyczajna siła, znajomość starożytnych języków, strach przed świętymi przedmiotami oraz wiedza o ukrytych lub bardzo odległych rzeczach. Pierwsze trzy elementy można oszukać. Ale już po dwudziestu minutach egzorcyzmu wiadomo, czy mamy do czynienia z opętaniem, czy chodzi o coś innego. Tamten przypadek był właśnie taki. Współczesna medycyna była tu bezsilna, a psychiatrzy rozłożyli ręce.

– Rozumiem, że brat bez zgody przełożonych przystąpił do egzorcyzmu?

– Poprosiłem go, aby tego nie robił. Od samego początku coś mi się w tym przypadku nie podobało. Nie umiem dokładnie powiedzieć co, ale nachodziło mnie złe przeczucie. I miałem rację. Chłopiec był tylko przynętą, a Bassanti celem. Wyglądało to tak, jakby siły nieczyste postanowiły zlikwidować Bassantiego, zamiast czekać, aż on zajmie się nimi. Nastąpiło powolne zniszczenie jego duszy. Po tym wszystkim bardzo się zmienił.

– Z tego, co pan mówi, wnioskuję, że brat był wojownikiem toczącym wojnę z siłami zła.

– Tak, ale wtedy pozostawał w bardzo kiepskiej kondycji psychicznej. Znał ryzyko, znał zagrożenie, powinien być ostrożny. Ale z jakichś przyczyn odprawił rytuał. I wygląda na to, że zapomniał, że to nie bitwa na intelekt. Bo został pokonany.

– Myśli pan, że egzorcyzm był jedynym powodem jego problemów?

– Nie, moim zdaniem to tylko pretekst, aby go uciszyć. Myślę, że tak naprawdę chodziło o coś zupełnie innego. Sęk w tym, że nie wiem o co. Ale nie ulega wątpliwości, że od jakiegoś czasu pański brat stanowił zagrożenie dla Kościoła.

– Stał się niewygodny?

– Może nie on, ale jego wiedza. Pański brat był osobą bardzo skrytą, ale ze dwa miesiące temu powiedział mi, że natrafił na coś, co wywróci do góry nogami religię katolicką. Sądzę, że to odkrycie było główną, a może i jedyną przyczyną jego śmierci.

– Czy on obawiał się o swoje życie?

– Nie wiem, może. Nie ulega wątpliwości, że od jakiegoś czasu był bardzo nerwowy i podejrzliwy.

– Nad czym pracował?

– Nie mam pojęcia. W tamtej chwili nie przywiązywałem żadnej wagi do jego słów. Teraz wiem, że popełniłem błąd.

Piazza del Popolo, a w zasadzie bazylika Santa Maria del Popolo, była głównym celem ojca Louisa. Na wysokości kościoła samochód najpierw zwolnił, potem skręcił na parking, a w końcu się zatrzymał. Resztę rozmowy odbyli przy wygaszonym silniku i zaparowanych szybach.

– Podobno ma pan klucze do mieszkania brata?

– Tak. Dostałem je od księdza Baggio. Wybieram się tam w najbliższym czasie.

– Bardzo dobrze! Proszę dokładnie przejrzeć rzeczy brata. Nie wiem, czego powinien pan szukać, ale wszystko może być istotne. Ja nie mogę się tam pokazać.

– Mnie nie będą o nic podejrzewać?

– Nawet jeśli będą, to nie powiążą pana z moją osobą. A to już sukces. Jakby co, to się nie znamy.

– Oczywiście. Za kogo pan mnie bierze?

– Za kogoś, kto rozwiąże zagadkę śmierci własnego brata.

Rozmowa dobiegła końca. Wysiedli. Trzasnęły drzwi i każdy ruszył w swoją stronę. Bassantiego dopadł głód, więc obrał kierunek na trattorię i przeżył. Jezuita wszedł do kościoła i, zanim dotarł do zakrystii, skończył z poderżniętym gardłem.

* * *

Rzym, trattoria

Philipem Marlowe’em nie był, ale jeszcze podczas podróży z ojcem Louisem doszedł do wniosku, że musi zacząć robić notatki, porządkować chaos, oddzielać ziarna od plew. Notatnik Moleskine, z którym nigdy się nie rozstawał, idealnie się do tego nadawał.

Zajął miejsce przy stoliku, wyjął papierosa i zapalił. Najpierw palił i myślał. Potem – myśląc – palił. W końcu na stole pojawiła się bruschetta z pomidorami. Zaczął jeść, jednocześnie notując swoje przemyślenia. Notatki robił do momentu, gdy kelner postawił przed nim krewetki królewskie w sosie maślano-czosnkowym podane z bukietem sałat i chrupiącymi grzankami. Ale danie główne tylko na chwilę oderwało go od rozmyślań. Kilka minut później powrócił do notowania:

Egzorcysta. Silna osobowość, wojownik o wiarę.

Kogo egzorcyzmował? Kim był ośmioletni chłopiec? Co się z nim stało?

Samobójstwo??? Agorafobia i akrofobia.

Ktoś chciał go nastraszyć, a skończyło się tragicznie?

Ktoś chciał go uciszyć? Ktoś chciał się go pozbyć? Kto? Morderstwo?

Co takiego odkrył? Z kim rozmawiał o odkryciu?

Co wie gospodyni? Kim ona jest?

Co się wydarzyło w Domu Księży Emerytów? Po co tam pojechał? Z kim miał się tam spotkać? Kto ostatni go widział?

Im dłużej notował, tym więcej niewiadomych się pojawiało. Puzzle były w rozsypce, poszczególne elementy nie tylko nie pasowały do siebie, ale nawet niczym przeciwne bieguny magnesu odpychały się wzajemnie. Układanka przestawała być układanką, a stawała się łamigłówką.

Dopił zimną kawę, spakował torbę, dla pewności sprawdził, czy ma notatnik i klucze od mieszkania brata i wyszedł na zatłoczoną ulicę. Zamierzał udać się pod dwa adresy: do mieszkania brata i Domu Księży Emerytów.

Rozdział II

CO PRZECHOWAŁA SIOSTRA URSULA

Daniel więc powiedział: Ujrzałem swoją wizję w nocy. Oto cztery wichry nieba wzburzyły wielkie morze. Cztery ogromne bestie wyszły z morza, a jedna różniła się od drugiej. Pierwsza podobna była do lwa i miała skrzydła orle. Patrzałem, a oto wyrwano jej skrzydła, ją zaś samą uniesiono w górę i postawiono jak człowieka na dwu nogach, dając jej ludzkie serce. A oto druga bestia, zupełnie inna, podobna do niedźwiedzia, z jednej strony podparta, a trzy żebra miała w paszczy między zębami. Mówiono do niej: „Podnieś się! Pożeraj wiele mięsa!" Potem patrzałem, a oto inna [bestia] podobna do pantery, mająca na swym grzbiecie cztery ptasie skrzydła. Bestia ta miała cztery głowy; jej to powierzono władzę. Następnie patrzałem i ujrzałem w nocnych widzeniach: a oto czwarta bestia, okropna i przerażająca, o nadzwyczajnej sile. Miała wielkie zęby z żelaza i miedziane pazury; pożerała i kruszyła, depcąc nogami to, co pozostawało. Różniła się od wszystkich poprzednich bestii i miała dziesięć rogów. Gdy przypatrywałem się rogom, oto inny mały róg wyrósł między nimi i trzy spośród pierwszych rogów zostały przed nim wyrwane. Miał on oczy podobne do ludzkich oczu i usta, które mówiły wielkie rzeczy. (...) Potem chciałem się upewnić co do czwartej bestii, odmiennej od pozostałych i nader strasznej, która miała zęby z żelaza i miedziane pazury, a pożerała, kruszyła i deptała nogami resztę; oraz co do dziesięciu rogów na jej głowie, i co do innego, przed którym, gdy wyrósł, upadły trzy tamte. Róg ten miał oczy i usta, wypowiadające wielkie rzeczy, i wydawał się większy od swoich towarzyszy. (Dn 7, 2–8, 19–20)

Rzym, środa

Dzień rozpoczął od rozmowy telefonicznej z klechą o wyglądzie inkwizytora. Tym razem nie musiał na niego patrzeć. Księżulek obwieścił mu głosem nie znoszącym sprzeciwu, że Sardoni czeka na niego o godzinie piętnastej u siebie w pałacu. Ton głosu Baggia sugerował również, że audiencja u Sardoniego ma rangę podobną do tej, jakiej udziela Ojciec Święty.

Zaspanym głosem podziękował za informację, dopytał, jaki pałac miał na myśli rozmówca (Pałac Laterański), i wrócił do łóżka. Po raz drugi wstał przed dziewiątą, wziął prysznic i zszedł do restauracji hotelowej na śniadanie. Do południa zamierzał wstąpić do mieszkania brata i trochę w nim pomyszkować. Po południu planował wycieczkę do Domu Księży Emerytów. Pomiędzy wypadała wizyta u Sardoniego. Jak na jeden dzień było tego całkiem sporo.

Rzym, jedna z dzielnic miasta
(wyobraźnia podpowie która)

Mieszkanie starszego Bassantiego znajdowało się jakieś trzy, może cztery kilometry w linii prostej od murów Watykanu. Usytuowane było na drugim piętrze trzypiętrowej kamienicy i składało się z trzech pokoi, ogromnego holu, kuchni i łazienki.

Christopher sięgał po klucze, gdy brama wejściowa otworzyła się z impetem i wypluła ze swych trzewi hałaśliwą grupę nastolatków. Skorzystał z okazji i wszedł do środka. Wspiął się po schodach i po chwili stał przed drzwiami, które co dnia otwierał i zamykał jego brat.

Wsunął klucz do zamka, ale nie zdążył go przekręcić, bo drzwi uchyliły się, skrzypiąc, a w szparze pojawiła się głowa kobiety. Owalna twarz o zaciętym wyrazie, wąskie usta i jasne oczy nie wzbudzały sympatii. Koścista sylwetka dopełniała negatywne wrażenie. Jedno było pewne – kobietę, która przed nim stała, widział na pogrzebie.

Nie musiał się przedstawiać, bo mina gospodyni mówiła wszystko. Zakonnica wyglądała tak, jakby zobaczyła ducha. Odczekał kilka sekund i się przedstawił:

– Christopher Bassanti.

– Jestem siostra Ursula. Proszę, niech ksiądz wejdzie. O, przepraszam – poprawiła się natychmiast. – Niech pan wejdzie. Tyle lat patrzyłam na identyczną twarz księdza Bassantiego, że teraz, widząc pana, nie potrafię się przestawić. Jeszcze raz przepraszam za pomyłkę.

– Nic się nie stało – odparł, przekraczając próg mieszkania.

Bezhabitowa siostra zakonna odziana w szary zapinany sweter, białą bluzkę z kołnierzykiem, długą czarną spódnicę i sznurowane buty typu trzewiki okazała się sercanką i Francuzką. Chwilę rozmawiali o Francji i Normandii, skąd pochodziła, o wstąpieniu do Zgromadzenia Córek Najczystszego Serca Najświętszej Maryi Panny i o posłudze u księdza Bassantiego, nim zaproponowała kawę.

Siostra Ursula najlepiej czuła się w kuchni. To było jej terytorium, tu wypili kawę i odbyli dalszą część rozmowy. Zbliżało się południe, gdy wreszcie dotarł do gabinetu, w którym królowały półki z książkami. Jeszcze w progu zauważył puste biurko i brak jakiegokolwiek sprzętu elektronicznego.

– Nie miał laptopa? – Christopher nawet nie usiłował ukryć zdziwienia.

– Oczywiście, że miał. Ale został zabrany wraz z telefonem komórkowym na polecenie biskupa. – Zakonnica pospieszyła z wyjaśnieniami.

– Sardoniego?

– Tak. To on wydał takie polecenie, Baggio był tylko jego wykonawcą. Zjawił się tu w niedzielę z samego rana. Gdy wychodził, powiedział mi tylko, że takie są procedury.

– Zabrał coś jeszcze?

– Nie, chyba nie. Ale nie mam pewności. W każdym razie nie zauważyłam, aby zniknęły inne przedmioty.

– Rozumiem.

– Pudło z rzeczami osobistymi pańskiego brata stoi na podłodze. – Nagle zmieniła temat. – Tuż za biurkiem. Będzie je pan przeglądał w gabinecie czy w kuchni?

– W kuchni.

Niewiele tego – pomyślał, wykładając na stół zawartość drewnianej skrzynki z napisem „Chateau L'Écuyer Pomerol". Na rzeczy osobiste księdza Bassantiego składały się: niewielkich rozmiarów, oprawiony w czarną cielęcą skórę egzemplarz Biblii, drewniane pudełko po cygarach ze zdjęciami, kilka spiętych gumką pocztówek i listów, przerwany różaniec, męski zegarek na czarnym pasku z wygrawerowaną dedykacją od ich matki, opatrzoną datą wstąpienia syna w stan kapłański, skórzana opaska na rękę z wytłoczonym literami, oprawione w metalową ramkę zdjęcie Bassantiego w sutannie (na tle latarni morskiej) oraz skorowidz adresowy.

Przejrzał pobieżnie wszystko, zanim jego uwagę przykuła skórzana bransoletka.

– Co to takiego?

– Infoband.

– Widzę. Pytam o jej znaczenie.

– To opaska egzorcyzmująca. – W głosie zakonnicy wyczuwalna była ostrożność.

– Co takiego?

– Opaska z egzorcyzmem, z modlitwą o egzorcyzm.

– Rodzaj amuletu?

– Nie, nic z tych rzeczy. Ktoś, kto ją nosi, nie stanie się automatycznie niewrażliwy na działanie szatana.

– To nie ochrona przed diabłem?

Jego kpina nie uszła uwagi zakonnicy.

– Proszę sobie nie stroić żartów z takich rzeczy. Od księdza Bassantiego wiem, że jest pan osobą niewierzącą. Mimo to, doradzałabym ostrożność w tych kwestiach.

– Przepraszam, jeśli panią uraziłam – szybko się zreflektował. – Wie siostra może, co oznaczają poszczególne litery i czemu między nimi wytłoczona jest moneta?

– To nie moneta, a medal świętego Benedykta. – Tym razem jej ton był karcący. – Litery V R S N S M V S M Q L I V B to inicjały słów: *Vade Retro Satana, Numquam Suade Mihi Vana, Sunt Mala Quae Libas, Ipse Venena Bibas*. Czyli: idź precz, szatanie, nie kuś mnie do próżności, złe jest to, co podsuwasz, sam pij truciznę lub idź precz szatanie, nie nakłaniaj mnie do

złego, złe rzeczy czynisz, pij sam swoją truciznę. Pomiędzy grupami liter – wyjaśniała dalej – znajduje się benedyktyński krzyż z wpisanymi między ramiona literami C S P B. *Crux Sancti Patris Benedicti*, krzyż świętego Ojca Benedykta. Na pniu krzyża znajdują się litery C S S M L – *Crux Sancta Sit Mihi Lux*. Krzyż święty niech mi przyświeca. Z kolei na ramionach widać litery N D S M D i znaczą one tyle co *Non Draco Sit Mihi Dux*. Niech smok, czyli szatan nie będzie mi wodzem. Dookoła medalu widnieje napis *Eius In Obitu Nro (Nostro) Praesentia Muniamur*, czyli niech Jego obecność broni nas w godzinę śmierci. Jest tu jeszcze słowo pax. Ale jego znaczenia nie musze chyba panu wyjaśniać?

– Nie, doskonale wiem, co ono oznacza. Niech mi siostra lepiej powie, skąd u brata takie „zabezpieczenie”?

– Ślubowałam posłuszeństwo i milczenie... – nie dokończyła, bo Christopher gwałtownie jej przerwał:

– I co z tego?! Mam rozumieć, że nie może siostra rozmawiać o pracy mojego brata? To jakiś idiotyzm.

– Co tak naprawdę pan wie o swoim bracie?

– Że był egzorcystą, że podupadł na zdrowiu po ostatnim odprawionym egzorcyzmie, że miał opuścić Rzym i wyjechać do Kanady.

– Skąd pan to wie?

– To nieistotne.

Chwilę trwało, nim zakonnica przełamała własny opór i podjęła niewygodny temat. Zanim zapytał o ośmioletniego chłopca, którego brat egzorcyzmował, dowiedział się, że starszy Bassanti w ostatnim okresie życia cierpiał na depresję i garściami łykał psychotropy (kobieta nie wiedziała, skąd je brał).

Gdy tylko siostra Ursula skończyła temat depresji, Christopher rzucił w eter pytanie o chłopca. Reakcji, jaką wywoła, jednak nie przewidział. Zakonnica w sekundzie pobladła i zamilkła. Jej jasne oczy zamarły, źrenice przestały reagować na światło, a powieki mrugać. Przez chwilę miał wrażenie, że wzrokiem przebije go na wylot. Wytrzymał spojrzenie. Wytrzymał też kilka sekund ciszy, by w końcu usłyszeć historię chłopca.

– Chłopiec nazywa się Damien Thorn. Jego rodzice to Robert i Katherine Thorn.

– Anglicy?

– Nie, Amerykanie.

– Zna siostra szczegóły historii tego chłopca?

– Pyta pan o opętanie?

– Tak. Jak do tego doszło? Na czym polegało? Co skłoniło Thornów do szukania pomocy u mojego brata? Kto ich do niego skierował? Dlaczego brat podjął się egzorcyzmu, nie mając na niego pozwolenia?

– Rozczaruję pana, ale nie umiem odpowiedzieć na żadne z tych pytań. Ksiądz Bassanti nigdy nie życzył sobie rozmów na temat odprawianych przez siebie egzorcyzmów. Tak było i tym razem. Ewidentnie coś poszło źle, bo z dnia na dzień stał się inną osobą. Tracił siły i zmysły.

– Czy ci ludzie są jeszcze we Włoszech?

– Nie. Chłopiec wyjechał z rodzicami do Stanów Zjednoczonych zaraz po odprawionym egzorcyzmie.

– Można się z nimi jakoś skontaktować?

– Nie, nie sądzę, aby ktokolwiek udostępnił panu dane na ich temat. Podejrzewam, że kuria strzeże takich tajemnic jak oka w głowie.

– Siostra jest pewna, że Thornowie wyjechali do Stanów?

– Ksiądz Bassanti mi to powiedział. Nie zwykłam wątpić w jego słowa.

Christopher chciał zmienić temat, gdy usłyszał:

– Wiedział pan, że greckie *damianos* znaczy „potężny”?

Nie skomentował tego, co powiedziała. I chyba brak polemiki z jego strony spowodował, że w oczach siostry Ursuli zyskał całkowite zaufanie. Zakonnica, która do tej pory była ostrożna, czujna i zachowywała się tak, jakby każda jego wypowiedź miała być atakiem na dobre imię nieżyjącego brata, w sekundzie przeszła całkowitą metamorfozę. Uśmiech, którym go obdarzyła, był tylko dopełnieniem tej transformacji.

Sercanka odwróciła się na pięcie i dziarskim krokiem ruszyła do pokoju, w którym całe umeblowanie stanowiły sofa i dwie

komody. Z jednej z nich wyjęła dwie grube papierowe teczki wiązane sznurkiem. Gdy mu je wręczała, usłyszał:

– Tego życzyłby sobie pański brat.

Nieco zdziwiony przemianą siostry zakonnej bez słowa przyjął przyciężki dowód zaufania. Następnie wraz z rzeczami osobistymi brata umieścił teczki w czarnej materiałowej torbie, którą przyniósł ze sobą.

Zanim pożegnał zakonnicę, zanotował kolejne tropy:

Damien Thorn, lat 8
Robert Thorn, ojciec, kim jest?
Katherine Thorn, matka???
Amerykanie?
gr. damianos = potężny

Na razie lista niewiadomych tylko się wydłużała. Ustalił jednak, że wszystkie rzeczy brata, tj. książki, notatki, teczki z papierami, notatniki, kalendarze, segregatory z wycinkami z gazet, zdjęcia i tym podobne zostaną zapakowane w pudła i przerzucone na drugą stronę kanału La Manche. Wyborem firmy kurierskiej oraz pakowaniem miała się zająć osobiście dawna gospodyni księdza Bassantiego.

Nie planował tu wracać, ale sercanka tak bardzo nalegała na jeszcze jedną wspólną kawę, że w końcu skapitulował. Umówili się na czwartek na godzinę jedenastą.

* * *

Rzym, Piazza San Giovanni, Bazylika św. Jana na Lateranie

Od ponad trzydziestu minut dwaj biskupi przechadzali się w milczeniu po kościele katedralnym papieży, modląc się w sobie tylko znanych intencjach, a echo wybijało takt ich kroków. Przy gotyckim cyborium kroki ucichły, hierarchowie zatrzymali się, by uciąć krótką pogawędkę:

– Kiedy się z nim spotykasz?

– Jutro.
– Domyśla się, że policja umorzy śledztwo?
– Sądzę, że tak. Nie jest głupi.
– Myślisz, że dalej będzie węszył?
– Kazałem Barcco mieć go na oku.
– A siostrzyczka?
– Matka Przełożona ma na nią baczenie. Zresztą wie, co ją czeka ze niesubordynację. Złamanie ślubów zakonnych może się skończyć wydaleniem z zakonu.
– I to ją ma powstrzymać przed zrobieniem czegoś głupiego?
– Liczę na jej posłuszeństwo.
– Obyś się nie przeliczył.
– Coś ty taki podejrzliwy? Bassanti zabawi tu dzień albo dwa, spakuje manatki, grzecznie wróci do Londynu i zajmie się handlem antykami. Zobaczysz, że za kilka dni wszystko wróci do normy i wszyscy o wszystkim zapomną. Nie dramatyzuj.

* * *

Rzym, Pałac Laterański

Złoty pierścień biskupi nadziany na tłusty palec serdeczny prawej dłoni na chwilę przykrył ekran komórki. Przez kilka sekund Sardoni nie potrafił się zdecydować, do kogo zadzwonić. W końcu wybrał numer informatyka.
– Słucham, Wasza Ekscelencjo. – Głos speca od informatyki nie był po prostu uniżony, był wysoce uniżony.
– Znalazłeś coś?
– Na razie nie. – Odpowiedź informatyka wywołała grymas na twarzy biskupa. – Wczoraj przejrzałem zawartość laptopa. Zero jakichkolwiek plików o tematyce, która interesuje Waszą Ekscelencję.
– A komórka?
– Właśnie nad nią siedzę.
– Ile to potrwa?
– Jakąś godzinę.

– Będę w kontakcie.

Po zakończeniu jednej rozmowy, biskup wybrał kolejny numer.

– Z tej strony Sardoni.

– Witam Waszą Ekscelencję. – Głos przełożonej siostry Ursuli był ochrypły i świszczący. Wyczuwało się w nim zaawansowany wiek i choroby. Uważny słuchacz wychwyciłby zgorzknienie i rozczarowanie światem. Ale Sardoni do takich nie należał.

– Szczęść Boże, Matko Przełożona!

– Czym mogę służyć, Najdostojniejszy Księże Biskupie?

Jakby mogła, wlazłaby mi w dupę – pomyślał Sardoni.

– Jak tam siostra Ursula?

– Zgodnie z poleceniem Waszej Ekscelencji przyglądam się jej pilnie.

– Doskonale. Czy Matka Przełożona ma jakieś podejrzenia?

– Nie, ale gdybym takowe powzięła, powiadomię Księdza Biskupa.

– Proszę dzwonić o każdej porze dnia i nocy. Z Bogiem!

– Z Bogiem.

* * *

Rzym, hotel

Dzwonek telefonu dopadł go, gdy wchodził do hotelu. W kilku słowach inkwizytor o nazwisku Baggio poinformował go, że biskup Sardoni musiał pilnie wyjechać poza miasto i w związku z powyższym spotkanie zostaje przełożone na czwartek, godzina bez zmian. Pozostało tylko przytaknąć rozmówcy. I do tego ograniczył się Christopher.

Rozmowę zakończył, otwierając drzwi do pokoju. Odłożył telefon i rzucił się do laptopa. Chciał jak najszybciej sprawdzić Thornów. Wpisał w wyszukiwarkę „Damien Thorn” i zamarł. Oprócz głównego bohatera filmowej serii nie znalazł ani jednej osoby o takim imieniu i nazwisku. Z informacji wyświetlonych w internetowej wyszukiwarce wynikało, że Damien Thorn był

Antychrystem, synem szatana, postacią fikcyjną serii *Omen* oraz powieści Davida Seltzera, która wyewoluowała ze scenariusza filmowego. Jego rodzicami byli Robert i Katherine.

Nie mógł uwierzyć w to, co wyczytał. Nie mógł uwierzyć, a jednak wierzył. Ktoś ewidentnie mylił tropy, ktoś usilnie zacierał ślady. Tylko po co? Po jaką cholerę sięgać po nazwisko Thorn? Nie można było ukryć chłopca za jakimkolwiek nazwiskiem z tysięcy innych? Trzeba było użyć nazwiska dzieciaka opętanego przez szatana? Serio? Ktoś, kto wykorzystał fikcyjną postać, był albo prowokatorem, albo szaleńcem. Nie ulegało jednak wątpliwości, że mimo diabolicznego charakteru samego pomysłu Damien Thorn wraz z rodzicami rozpłynęli się w powietrzu. Zniknęli.

Odstawił laptop, sięgnął po papierosa i wyszedł na balkon. Musiał ochłonąć, zapalić, pomyśleć. Nie miał pojęcia, o co w tym wszystkim chodziło, ale był pewien, że przez przypadek stał się fragmentem jakiejś większej układanki, czyjegoś makiawelicznego planu.

Skoro nie Damien Thorn, to może przyniesione z mieszkania brata rzeczy coś mu podpowiedzą. Opróżnił torbę i ułożył wszystko na stoliku w rogu pokoju. Biblię, pudełko ze zdjęciami, adresownik oraz spiętą gumką korespondencję umieścił na dwóch papierowych teczkach, które siostra Ursula dała mu tuż przed wyjściem.

Najpierw przekartkował Biblię, potem przejrzał zdjęcia oraz listy i pocztówki. Nie natrafił tam jednak na nic szczególnego. Na zdjęcia składały się głównie fotografie rodzinne oraz kilka fotek z czasów seminarium. Zachowana korespondencja też nie przedstawiała żadnej wartości. W większości były to listy od rodziców (głównie pisała matka) oraz kilka od kolegów ze studiów (po co je zatrzymał?). Szesnaście kartek pocztowych wysłała na przestrzeni ostatnich kilku lat z różnych części Europy jedna osoba (sądząc po charakterze pisma), która podpisywała się literą „L”.

Sięgnął po adresownik, ale pod literą „L” nie było ani jednego zapisu. Podobnie rzecz się miała z pozostałymi literami. Wyglądało na to, że adresownik nigdy nie był używany. Miał go

odłożyć, gdy ze środka wypadła wizytówka. Podniósł ją i przeczytał: „Luca Barbaretti, dziennikarz”. W prawym górnym rogu widniały dwa numery telefonu. Pierwszy stacjonarny, drugi komórkowy. Z kolei w lewym znajdował się adres redakcji. Odruchowo wybrał pierwszy z podanych numerów. Odczekał kilkanaście sygnałów, ale nikt nie odebrał. Nie zastanawiając się, wybrał numer komórkowy. Ale i tym razem mu się nie poszczęściło. Abonent był czasowo niedostępny. Schował wizytówkę do portfela i zajął się przeglądaniem zawartości papierowych teczek. Jednak i tam nie znalazł niczego godnego uwagi, a materiały dotyczące objawień w La Salette i Fatimie niewiele go obeszły. Jedyne, na co zwrócił uwagę, to niezapisana pocztówka z wyspy Ouessant. Mimo że nigdy nie słyszał o takiej wyspie i nie miał pojęcia, gdzie się ona znajduje, odłożył widokówkę na bok.

Skoro Sardoni wyjechał, on miał wolne popołudnie. Zrzucił jeansy i granatową rozpinaną bluzę z kapturem, w której chodził od rana, i ubrał się na czarno. Czarne spodnie w kant, czarna koszula i czarna kurtka zrobiły z niego diakona. Do wcielenia się w rolę księdza brakowało mu tylko koloratki. Zadowolony z osiągniętego rezultatu zszedł do recepcji zapytać o ulicę, przy której położony był Dom Księży Emerytów. Zapewniono go, że to nie więcej jak dwa, może dwa i pół kilometra od hotelu. Postanowił się przespacerować.

* * *

Rzym, Dom Księży Emerytów

Tego dnia dyżur na portierni pełnił młody, krótko ostrzyżony blondyn o skandynawskiej urodzie. Wyglądał na znudzonego. Zdjęcia brata nie musiał pokazywać, bo byli jak dwie krople wody. Gdy tylko wszedł do budynku, uchwycił spojrzenie blondyna i rzucił „Szczęść Boże!”. Młodzian odpowiedział skinieniem głowy, mimo że na jego twarzy malowały się zaskoczenie i niedowierzanie.

– Christopher Bassanti, jestem bratem... – Nie zdążył dokończyć, gdy usłyszał:

– Marco Conti. Wiem, kim pan jest.

– Skąd? Znał pan mojego brata?

– Oczywiście, bywał tu prawie codziennie.

– Pracował pan może, gdy... – Na kilka sekund zawiesił głos, jakby szukał właściwych słów, by nazwać to, co zaszło, ale ich nie znalazł, więc tylko dodał: – gdy to się stało?

– Nie. Wtedy był ten nowy. Domenico Costa. Pracuje tu od dwóch, trzech tygodni. Nigdy nie zamieniłem z nim ani jednego słowa. I tylko raz go widziałem.

– Mógłby pan sprawdzić, kiedy będzie miał zmianę?

– Zaraz... – Chłopak o wyglądzie Wikinga postukał w klawiaturę. – Wychodzi na to, że od poniedziałku jest na urlopie. Według grafiku będzie w przyszłym tygodniu, w czwartek.

– Wie pan, do kogo przychodził mój brat?

– Do księdza Cesarego Santoro, pokój czterysta jeden.

– Mógłbym go odwiedzić? – zagadnął, zdając sobie sprawę, że posuwa się za daleko, że nie powinno go tu nawet być. Nie miał prawa zadawać takich pytań. Właściwie żadnych pytań nie miał prawa zadawać. Był nikim i bazował tylko na tym, że młodzian okazał się gadatliwy i skory do pomocy, a on wykorzystywał żałobę i udawał osobę duchowną.

– Niestety to niemożliwe. Ksiądz Santoro zmarł dziś nad ranem. Miał atak serca.

– Cóż za przypadek. – Wbrew zdrowemu rozsądkowi pokusił się o komentarz.

– Miał dziewięćdziesiąt dwa lata.

– Taaak...

– Coś pan sugeruje? – Nagle portier stał się bardziej czujny.

– Nie, nic. Mógłbym zobaczyć zapis z monitoringu z nocy, kiedy zginął mój brat? – Tym razem postanowił iść na całość. W końcu nie miał nic do stracenia. Drugiej okazji nie będzie. Kolejny raz nie przejdzie numer z udawaniem diakona.

– Niestety nie. Tego akurat nie mogę dla pana zrobić.

– Może w takim razie kupię od pana tę możliwość? Co pan na to? – Banknot o nominale stu euro, który zawczasu przygotował na tę okoliczność, cicho zaszeleścił. Oczy blondyna rozszerzyły się na jego widok. – No to jak? Dogadamy się? – Nie ustępował, kusząc zieloną setką. W końcu jego rozmówca uległ pokusie.

– No dobra. Pokażę panu zapis z kamer wewnątrz budynku. Tylko parter.

– Dlaczego tylko parter?

– Bo tamtej feralnej nocy nie działał ani monitoring zewnętrzny, ani wewnętrzny. Za wyjątkiem, jak powiedziałem, parteru.

– Kolejny przypadek?

– Przypadek? Panie, tu nie ma dnia, żeby coś się nie psuło. Pracuję tu ładnych kilka lat i daję panu słowo, że tak jest niemal co chwila. Kamery w budynku albo nie działają wcale, albo działają według własnego widzimisię.

– To znaczy?

– Raz działają na parterze, innym razem tylko w windach, jeszcze innym na dowolnie wybranym piętrze lub w części jadalnianej. Tak jest od zawsze. Nic w tym nadzwyczajnego, proszę mi wierzyć

Przez kilkanaście kolejnych minut sprawdzali monitoring. Marco Conti przez cały czas zachowywał się tak, jakby nie robił tego po raz pierwszy. Zapytany wyjaśnił, że na polecenie policji osobiście przeglądał zapis ze wszystkich kamer i pamięta, gdzie i czego szukać. Wreszcie znaleźli właściwy plik. Widać na nim, jak tuż przed północą (dokładnie o godzinie dwudziestej trzeciej pięćdziesiąt cztery) ksiądz Bassanti wchodzi do budynku, mija portiernię, pozdrowiwszy siedzącego tam Costę, i wsiada do windy. Potem ślad się urywa.

– Na którym piętrze wysiadł?

– Nie mam pojęcia. Przypuszczam, że jak zwykle jechał do księdza Santoro, ale pewności nie mam.

– Zawsze składał odwiedziny o tak późnej porze?

– Zawsze. Ksiądz Santoro cierpiał na bezsenność. Były takie noce, gdy pański brat siedział z nim aż do rana.

– Wie pan, o czym rozmawiali?

– Jasnowidzem to ja nie jestem. Santoro nie wychodził z pokoju, od ponad roku leżał w łóżku. Jeśli ktokolwiek mógł słyszeć, o czym rozmawiali, to tylko siostra Agnes. Ale, sądząc po porach dnia, a właściwie nocy, w których się spotykali, wątpię, by jakakolwiek ich pogawędka miała choćby jednego świadka. Wszelkie tajemnice zabrali ze sobą do grobów.

– Czy mój brat odwiedzał tu kogoś jeszcze?

– Nie, chyba nie. Ja przynajmniej nic o tym nie wiem.

– Z monitoringu nie można nawet wywnioskować, czy on w ogóle tamtej nocy się z kimś spotkał.

– Jeśli przyjąć założenie, że spotkał się z kimś innym niż Santoro, w końcu okno, z którego wyskoczył, znajduje się po przeciwnej stronie korytarza niż pokój czterysta jeden, to wie o tym tylko jedna osoba.

– Kto?

– Świadek jego samobójstwa.

– Albo morderca.

– Niewykluczone.

W drodze powrotnej zadzwonił do Barcca. Chciał go wypytać o Domenica Costę. Niewiele jednak się dowiedział. Policjant poinformował go, że zgodnie z oficjalną wersją Costa wziął tydzień urlopu i wyjechał do rodziny na Sycylię. Wersja nieoficjalna z kolei mówi, że szuka go cała policja. Ze wstępnych ustaleń wynika, że przy podpisywaniu umowy o pracę podał fałszywe dane. Sprawdzono. W bazie danych nie ma takiej osoby.

Kolejny ślepy zaułek, pomyślał Christopher. Człowiek-duch, który miał zniknąć, gdy tylko nadarzy się okazja? Nigdy nie wierzył w zbiegi okoliczności. Tym razem nie wierzył w nie jeszcze bardziej.

Na koniec zapytał o losy prowadzonego śledztwa. Nie zdziwił się, gdy detektyw powiedział mu, że właśnie dziś śledztwo zostało umorzone, z powodu niewykrycia sprawcy. To było do przewidzenia.

Był głodny, więc po drodze do hotelu zamówił na wynos sushi, które wzbogacił o białe wino zakupione w sklepie Coop. Tak objuczony dotarł do pokoju. Najpierw jednak zrzucił ubranie,

wziął prysznic i przebrał się. Potem rozłożył pudełka z jedzeniem, nalał sobie pełen kieliszek i dopiero zasiadł w fotelu. Był zmęczony i zniechęcony. Wszystkie drogi prowadziły donikąd. A przecież wszystkie, zgodnie z metaforą nieuniknionego losu, powinny prowadzić do Rzymu. Był w Rzymie od kilku dni i tylko miotał się niepotrzebnie, szukając jakiegokolwiek punktu zaczepienia i nie znajdując ani jednej nitki, której mógłby się chwycić, ani jednego tropu. Nic. Miał same pytania i żadnych odpowiedzi.

Pomoc przyszła w najmniej spodziewanym momencie, grubo po dwudziestej drugiej. Z zamyślenia wyrwał go dzwonek telefonu. Dzwonił Luca Barbaretti. Na wstępie przeprosił, że był nieosiągalny (na kilka dni musiał wyjechać poza granice kraju w sprawach służbowych), potem zaproponował spotkanie. Bassanti musiał jednak odmówić. Na czwartek miał zaplanowane spotkanie z biskupem Sardonim, wizytę u siostry Ursuli połączoną z pakowaniem rzeczy brata oraz powrót do Londynu. Chwilę rozmawiali. Stanęło na tym, że Bassanti skontaktuje się z dziennikarzem, gdy tylko ponownie zjawi się w Rzymie.

Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że niebawem tu wróci.

Zanim zgasił lampkę nocną, przez ponad dwie godziny przeglądał, tym razem już o wiele dokładniej, zawartość papierowych teczek, które przyniósł z mieszkania brata. Jednak ani obszerne fragmenty objawienia w La Salette, ani życiorysy Melanii Calvat czy trojga dzieci z Portugalii nic mu nie mówiły. Mnogość dat, nazw geograficznych, nazwisk zaciemniły tylko i tak już niezbyt wyraźny obraz. Dodatkowo skróty stosowane przez brata były dla niego po prostu niezrozumiałe.

* * *

Rzym, jedna z dzielnic miasta, czwartek

Wskazówki zegarka przypominały wykrojony kawałek tortu, gdy nacisnął guzik domofonu. Szybko pokonał schody i już miał zapukać, kiedy drzwi mieszkania uchyliły się i stanęła w nich siostra Ursula. Była uśmiechnięta. Widać było, że ucieszyła się ze spotkania.

Ledwie przekroczył próg mieszkania, poczuł intensywny zapach migdałów. Zakonnica od razu zareagowała na jego pytające spojrzenie.

– Upiekłam dla pana makaroniki.

– Ale ja nie lubię słodyczy, a kruchych ciastek unikam jak ognia – usiłował się skutecznie usprawiedliwić.

– Po pierwsze to moja specjalność, a po drugie to nie żadne kruche ciastka. Moje makaroniki są mięciutkie. Owszem, mają chrupiącą skórkę, ale środek jest miękki i ciągnący.

– No dobrze. Skuszę się na jedno – powoli kapitulował.

– Jakie tam jedno – ofuknęła go, udając oburzenie. – Musi pan skosztować też z czekoladą i tych zlepionych ganache.

– Czym?

– Ganache. To rodzaj kremu maślanego, którym sklejam ciasteczka o różnym smaku. Obowiązkowo spróbuje pan każdego.

Już miał zaprotestować, gdy usłyszał:

– Pański brat je uwielbiał.

To ostatecznie zamknęło mu usta.

Rozsiedli się wygodnie przy kuchennym stole zastawionym paterą z makaronikami oraz serwisem kawowym dla dwóch osób. Chwilę później rozpoczęła się uczta dla podniebienia. Zapach, który go przywitał, został dopełniony smakiem i teksturą ciasteczek oraz pyszną kawą z mlekiem.

Tym razem nie obwąchiwali się jak dwa psy, tylko swobodnie rozmawiali o wszystkim. Nie było tematu, który stanowiłby jakiekolwiek tabu. Rozmawiali tak, bo oboje wiedzieli, że widzą się po raz ostatni i wszystko, co zostanie powiedziane, każde z nich zatrzyma dla siebie. On szukał odpowiedzi, a ona – nie zwracając uwagi na złożone śluby – usiłowała mu pomóc w dotarciu do prawdy.

– Niech mi siostra coś opowie o Damienie Thornie i samym egzorcyzmie.

– Dobrze, ale najpierw proszę mi powiedzieć, co pan wie o egzorcyzmach.

– Niewiele. Zanim tu przyjechałem, nie wiedziałem nawet, że mój brat jest egzorcystą. To znaczy był – szybko się poprawił.

– To może najpierw opowiem panu, jak to wygląda od strony teoretycznej.

– Czy siostra brała udział w czymś takim? – wypalił.

– Tak. Kilka razy pański brat mnie o to poprosił. Potem już mu to sama proponowałam.

– Ile razy siostra uczestniczyła w obrzędzie?

– Nie wiem dokładnie. Ale myślę, że nie mniej niż dwadzieścia.

Liczba zrobiła chyba wrażenie na Christopherze, bo zamilkł w oczekiwaniu na to, co miała mu do powiedzenia zakonnica. Potrzebował tej wiedzy, a ona ewidentnie chciała się nią z nim podzielić. Zaczęła od pokazania mu trzech ksiąg: *Kodeksu Prawa Kanonicznego, Katechizmu Kościoła Katolickiego* i *Rytuału Rzymskiego*.

Wykład rozpoczął się przy drugiej filiżance kawy:

– Wbrew obiegowej opinii w *Kodeksie Prawa Kanonicznego* jest tylko jeden, jedyny kanon dotyczący egzorcyzmów – kanon 1172: „ Nikt nie może dokonywać zgodnie z prawem egzorcyzmów nad opętanymi, jeśli nie otrzymał od ordynariusza miejsca specjalnego i wyraźnego zezwolenia. Takiego zezwolenia ordynariusz miejsca może udzielić tylko prezbiterowi odznaczającemu się pobożnością, wiedzą, roztropnością i nieskazitelnością życia”[6]. Jak pan widzi, sam *Kodeks* nie definiuje, czym jest egzorcyzm, a jedynie określa warunki zgodnego z prawem celebrowania. Samo pojęcie egzorcyzmów zostało wyjaśnione w *Katechizmie*. Punkt 1673 stanowi, że egzorcyzm jest publiczną prośbą Kościoła czynioną na mocy jego władzy w imię Jezusa Chrystusa, by jakaś osoba lub przedmiot były strzeżone od napaści Złego i wolne od jego panowania. Nie zanudzam pana?

– Nie, wprost przeciwnie. Wiedza siostry jest imponująca i chętnie posłucham, co ma siostra do powiedzenia.

– Jeżeli egzorcyzm wykonywany jest przez osobę do tego uprawnioną, w imieniu Kościoła i zgodnie z zaaprobowanym rytem, nazywany jest publicznym, w innym wypadku – prywatnym. Ale to pan chyba wie?

– Tak, tak... – przytaknął, jednocześnie odsłaniając swoją niewiedzę.

– *Rytuał Rzymski* nakazuje egzorcyście, przed przystąpieniem do obrzędu, odpowiednie rozeznanie oraz zachowanie ostrożności i roztropności. Egzorcysta powinien nabrać moralnego przekonania, że osoba, która ma być poddana egzorcyzmowi, jest rzeczywiście opętana: „Należy wszechstronnie zbadać sprawę, aby się przekonać, czy rzeczywiście jest dręczony przez szatana ktoś, kto się za takiego uważa”[7].

– Rozumiem, że chodzi tu o choroby psychiczne?

– Oczywiście, zawsze powinno się zmierzać w stronę wykluczenia choroby objawiającej się w sposób przypominający lub sugerujący opętanie. W końcu to sakramentalium, w którym mocą Jezusa uwalnia się osobę spod panowania złego ducha. Egzorcysta musi mieć pewność co do opętania. W celu właściwego rozeznania winien przeprowadzić wywiad diagnostyczny oraz skonsultować się ze specjalistami z dziedziny duchowości, psychiatrii i medycyny.

– Wymagana jest zgoda osoby opętanej?

– W miarę możliwości należy uzyskać taką aprobatę, ale sam pan wie, jak to jest z tego typu zgodami.

– Domyślam się.

– Jak już wspomniałam, egzorcysta musi mieć pewność. Główne objawy opętania to: mówienie w nieznanym języku lub rozumienie go, ponadnaturalna siła fizyczna, niechęć do Boga, świętych, Kościoła i świętych przedmiotów oraz znajomość spraw, o których osoba opętana nie ma prawa wiedzieć.

– Jak przebiega egzorcyzm?

– Egzorcyzm należy odprawiać tak, by wyrażał wiarę Kościoła oraz nie przywoływał skojarzeń z magią i zabobonami. *Rytuał*

mówi wprost, że formułę egzorcyzmu może wypowiadać jedynie kapłan posiadający wyraźną licencję, a „formuły rozkazującej nie należy stosować bez uprzedniej formuły błagalnej, formułę zaś błagalną można wypowiadać także bez formuły rozkazującej”[8]. Proszę pamiętać, że podczas sprawowania obrzędów egzorcyzmu należy stosować nowy *Rytuał*, zatwierdzony przez papieża Jana Pawła II w 1998 roku. Tylko ta wersja jest obowiązująca, a stosowanie *Rytuału* z 1952 roku stanowi nadużycie.

– Zapamiętam to.

– Podczas samego egzorcyzmu, poza odpowiednimi modlitwami, takimi jak *Litania do wszystkich świętych*, psalmy, antyfony, fragmenty z Pisma Świętego, *Credo*, wyrzeczenie się szatana i odnowienie chrzcielnego wyznania wiary, modlitwy błagalne i formuła nakazująca złemu duchowi w imię Jezusa opuścić ciało opętanego, dziękczynienie, błogosławieństwo, występują gesty znane z katechumenatu czy chrztu sprzed posoborowej reformy, czyli znaki krzyża, tchnienie, nałożenie rąk, woda.

– Podobno z osobą opętaną nie można rozmawiać.

– Faktycznie, egzorcyście i osobom mu towarzyszącym nie wolno podejmować żadnych form dialogu ze złym duchem.

– Do czego potrzebne są osoby towarzyszące?

– Wspierają egzorcystę modlitwą. Służy to bezpieczeństwu i uniknięciu późniejszych oskarżeń. Oczywiście nie muszę dodawać, że wszyscy uczestnicy zobowiązani są do zachowania tajemnicy.

– To zrozumiałe. Czy podczas egzorcyzmowania Damiena Thorna mojemu bratu ktoś towarzyszył?

– Nikt. Ksiądz Bassanti był sam.

– Czy wie siostra, że osoba o imieniu i nazwisku Damien Thorn w ogóle nie istnie?

– Nie, nie wiedziałam – odparła zaskoczona.

– To bohater filmu *Omen*.

– Przykro mi. Nie oglądam filmów.

– To horror o chłopcu, który jest Antychrystem.

– Dziwna fabuła, że się chce ludziom takie rzeczy oglądać – skomentowała. – Fałszywy trop?

– Dokładnie. Fałszywa tożsamość stworzona na potrzeby... hmm... no właśnie, kogo?

– Nie mam pojęcia. Nie wiem, po co się coś takiego robi.

– Zostawmy to. Niech mi siostra lepiej powie, co zarzucono mojemu bratu.

– Postąpienie wbrew kanonom 1167 i 1371.

– Czyli?

– Kanon 1167 mówi: „Tylko Stolica Apostolska może ustanawiać nowe sakramentalia, autentycznie tłumaczyć już istniejące, znosić niektóre z nich albo zmieniać. Przy sprawowaniu, czyli udzielaniu, sakramentaliów należy zachować obrzędy i formuły zatwierdzone przez władzę kościelną”[9], zaś kanon 1371: „Powinien być sprawiedliwie ukarany: kto poza wypadkiem, o którym w kanonie 1364, § 1 głosi naukę potępioną przez Biskupa Rzymskiego lub przez sobór powszechny bądź z uporem odrzuca naukę, o której mowa w kanonie 750, § 2 lub w kanonie 752, i nie odwołuje tego mimo upomnienia ze strony Stolicy Apostolskiej lub ordynariusza; [a także ten,] kto w inny sposób okazuje nieposłuszeństwo Stolicy Apostolskiej, ordynariuszowi lub przełożonemu, którzy zgodnie z prawem coś nakazują lub czegoś zakazują, i po upomnieniu trwa w nieposłuszeństwie”[10].

– Czyli? – dopytywał dalej, niewiele rozumiejąc z tego, co przed chwilą przeczytała mu siostra Ursula.

– Najogólniej rzecz ujmując, pańskiemu bratu zarzucono nieposłuszeństwo i głoszenie nauki sprzecznej z doktryną katolicką.

– Bez jaj! O, przepraszam, siostro.

– Takie są fakty.

– I dlatego chciano go wysłać aż do Kanady?

– Tak.

– Wygląda na to, że Kościół chciał się go za wszelką cenę pozbyć i sięgał po wszelkie dostępne środki, by osiągnąć cel.

– Muszę panu coś jeszcze wyznać – powiedziała ni stąd, ni zowąd.

– Tak?

– Mam dla pana list.

– List?

– Tak. Od pańskiego brata. Prosił, abym go panu oddała, gdyby coś mu się stało.

– Tak powiedział?

– Tak. Dokładnie tak się wyraził. Mam go u siebie, to znaczy w Zgromadzeniu – pospieszyła z wyjaśnieniami.

– Najciemniej pod latarnią?

– Nie skomentuję tego. Jeśli nie ma pan nic przeciwko, proponuję teraz tam jechać.

– Oczywiście.

* * *

Rzym, Zgromadzenie Córek Najczystszego Serca Najświętszej Maryi Panny

Matka Przełożona stała w oknie, gdy samochód siostry Ursuli parkował na dziedzińcu. Dwie minuty wcześniej otrzymała telefon od dyżurującego na bramie, że pojazd francuskiej zakonnicy, jak się wyraził, właśnie minął szlaban.

W obawie, by nie została dostrzeżona, cofnęła się nieco głębiej. Ale jej ciekawość została zaspokojona tylko w połowie. Poza informacją od dozorcy, że pasażerem siostry Ursuli jest mężczyzna, niczego się nie dowiedziała. Mężczyzna nie tylko nie wysiadł z pojazdu, ale nawet nie otworzył drzwi czy nie uchylił okna. Za to sercanka wysiadła, zniknęła w budynku na kilka minut i na powrót usadowiła się za kierownicą. Kilkanaście sekund później jej samochód wyjechał na zatłoczoną ulicę.

Dopiero gdy mury Zgromadzenia zniknęły w tylnym lusterku, zakonnica wręczyła Christopherowi list. Dwie przecznice dalej powiedziała do wysiadającego Bassantiego:

– Niech pan jak najszybciej wraca do Londynu i najlepiej o wszystkim zapomni. Wiem, że pan tego nie zrobi – skwitowała z uśmiechem – ale musiałam to panu powiedzieć.

– Siostra obawia się czegoś?

– Ja już od dawna niczego się nie obawiam. O pana mi chodzi. Polubiłam pana. Mnie pewnie gdzieś przeniosą, jak tylko odkryją, że przechowałam dla pana list.

– Przecież nikt o nim nie wie.

– Nie jestem tego taka pewna – stwierdziła z powątpiewaniem i dodała: – Proszę na siebie uważać. Proszę mi obiecać, że będzie pan ostrożny.

– Obiecuję.

Do hotelu miał około kilometra. Celowo nie podał sercance dokładnego adresu, żeby nie stawiać jej w niezręcznej sytuacji, gdyby ją o to indagowano.

Wszedł do pokoju i od razu rozerwał kopertę. W środku złożone było kilka kartek zapisanych odręcznym pismem starszego brata. Ale rozumiał treść tylko jednej z nich. Zmarły wspominał, że jest śledzony, że obawia się o swoje życie, że chcą się go pozbyć, że wszystkiemu winna jest tajemnica. Pozostałe notatki były dla Christophera niezrozumiałe i wyglądały na sporządzone ręką apostaty.

Patrzył jeszcze przez chwilę na pismo brata, po czym schował wszystko na powrót do koperty i rzucił się na łóżko. Miał już dosyć zagadek. Chciał jak najszybciej wracać do Londynu. Niestety jego samolot odlatywał dopiero za osiem godzin.

Do spotkania z biskupem Sardonim miał nieco ponad godzinę. Wziął prysznic, przebrał się i zszedł do hotelowej restauracji na późny lunch.

* * *

Rzym, Pałac na Lateranie

Michael Sardoni był mocno otyłym, lekko przygarbionym siedemdziesięcioparolatkiem, który od ponad dwóch lat poruszał się o lasce. Miał okrągłą, pomarszczoną twarz, wyblakłe niebieskie oczy, a na głowie resztki siwizny. Jego dłonie były tak

pulchne, że pierścień biskupi wżynał się w ciało niczym drut zapleciony wokół gałęzi drzewa.

Tego dnia ubrany był w szytą na miarę rubinową sutannę przepasaną obowiązkowo jedwabnym pasem z frędzlami na obu końcach, tego samego koloru mucet oraz piuskę z czystego jedwabiu. Poza złotym pierścieniem biskupim miał jeszcze złoty pektorał, który zawieszony na zielono-złotym sznurze dumnie prezentował na środku klatki piersiowej. Stroju dopełniały czarne spodnie w kant, czarne sznurowane buty oraz fioletowe skarpety.

Gdy Bassanti wreszcie dostąpił zaszczytu ujrzenia oblicza biskupa, Sardoni siedział za biurkiem i udawał, że coś pisze. Najpierw odłożył pióro, potem uważnie przyjrzał się swojemu gościowi i wstał, wspierając się na lasce.

Christopher podszedł do ubranego w fiolety klechy i, chcąc nie chcąc, ucałował upierścienioną dłoń, którą ten wyciągnął w jego stroną. Następnie Ekscelencja zwalił się całym ciężarem na jedno z dwóch ustawionych przy okrągłym stoliku, wyścielanych jedwabiem krzeseł. Drugie zajął Bassanti.

Chwilę rozmawiali o Rzymie i jego zabytkach, zanim Sardoni złożył Christopherowi kondolencje, nawiązując tym samym do śmierci jego brata. Ale na pytania gościa nie chciał odpowiadać. Raz udawał, że nie dosłyszy, innym razem, że nie wie, o co chodzi. W końcu Bassanti miał już dosyć całej tej szopki. Wstał, pożegnał biskupa i wyszedł. Opuszczał Pałac Laterański z przekonaniem, że Sardoni nie jest taki głupi, za jakiego chce uchodzić, i że ktoś tu robi wszystko, aby skłonić go do jak najszybszego wyjazdu z Rzymu.

A skoro ktoś chciał, aby wyjechał, postanowił zostać. Musiał wprawdzie udać się na kilka dni do Londynu, ale obiecał sobie, że jak tylko pozałatwia najpilniejsze sprawy, na powrót zawita do stolicy Włoch. Musiał wrócić, bo tu kryło się nie tylko wyjaśnienie powodu śmierci jego brata, ale i rozwiązanie całej zagadki.

Samolot linii lotniczych British Airways w ciągu niecałych dwóch godzin przerzucił go nad kanałem La Manche do Londynu. Lot upłynął mu głównie na robieniu notatek. Był pewny, że aby rozwikłać zagadkę śmierci brata, musi przyjrzeć

się bliżej jego zainteresowaniom. To one skrywały klucz do wszystkich odpowiedzi...

Na lotnisku dopisał jeszcze w notesie: Cesare Santoro, lat 92. Kim był? Kogo znał? Kto go znał? Co wiedział?

Za chwilę rozdział, w którym to osoby świeckie wyciągną pomocną dłoń.

Rozdział III

CO KRYJĄ SZPALTY SIGNORE CHIANTINIEGO

Bestia, którą widziałeś, była i nie ma jej, ma wyjść z Czeluści, i zdąża na zagładę. A zdumieją się mieszkańcy ziemi, ci, których imię nie jest zapisane w księdze życia od założenia świata – spoglądając na Bestię, iż była i nie ma jej, a ma przybyć. (...) A Bestia, która była i nie ma jej, i ona jest ósmym, a jest spośród siedmiu i zdąża na zagładę. A dziesięć rogów, które widziałeś, to dziesięciu jest królów, którzy władzy królewskiej jeszcze nie objęli, lecz wezmą władzę jakby królowie na jedną godzinę wraz z Bestią. Ci mają jeden zamysł, a potęgę i władzę swą dają oni Bestii. (Ap 17, 8, 11–13)

13 października 1884 roku

A oto wizja papieża Leona XIII, któremu objawiona została najbliższa przyszłość Kościoła i obraz Bazyliki św. Piotra oblężonej przez demony:

Tuż po porannej Mszy Świętej papież Leon XIII na krótko popadł w ekstazę. Nagle usłyszał w pobliżu tabernakulum taki oto dialog szatana z Chrystusem:

– Mogę zniszczyć Twój Kościół! – Szatan krzyczał gardłowym, pełnym złości głosem.

– Potrafisz? Więc próbuj. – Jezus odpowiedział łagodnym głosem.

– Ale do tego potrzeba mi więcej czasu i władzy!

– Ile czasu i władzy potrzebujesz?

– Od siedemdziesięciu pięciu do stu lat i większej władzy nad tymi, którzy mi służą.

– Będziesz miał ten czas i władzę. Które stulecie wybierasz?

– To nadchodzące.

– Więc próbuj, jak potrafisz.

Przerażony mistycznym przeżyciem, którego doświadczył, papież udał się do swych apartamentów, gdzie ułożył modlitwę do św. Michała Archanioła. Następnie wręczył zapisany arkusz papieru Sekretarzowi Kongregacji Rytów i kazał rozesłać do wszystkich biskupów i ordynariuszy diecezji.

* * *

Paryż, siedziba arcybiskupa Darboy, 1886 rok

Maksymin Giraud stał przed arcybiskupem Paryża, Georges'em Darboy i nie wierzył w to, co usłyszał. Właśnie przed chwilą duchowny odrzucił świadectwo złożone przez Girauda. Cisza trwała na tyle długo, że w końcu zniecierpliwił się sam arcybiskup:

– Nie słyszałeś, co powiedziałem?! – Grzmiał tak, że wieśniak cofnął się o dwa kroki. – Słowa twojej pięknej Pani zawierają głupoty, tak samo głupia będzie twoja tajemnica.

– Ekscelencjo, może Ekscelencja wierzyć albo nie wierzyć w objawienie Najświętszej Dziewicy w La Salette. Lecz gdybym Ekscelencji powiedział, że umrze rozstrzelany, czy Ekscelencja by mi uwierzył?

Pięć lat później, 24 maja 1871 roku, arcybiskup Darboy został rozstrzelany przez paryskich komunardów, dając tym samym satysfakcję Maksyminowi Giraud oraz Matce Bożej z La Salette.

* * *

Watykan, jedna z kaplic, 1901 rok

Papież Leon XIII klęczy i odmawia egzorcyzm:

– *Ecclesiam, Agni immaculati sponsam, vaferrimi hostes repleverunt amaritudinibus, inebriarunt absinthio; ad omnia desiderabilia eius impias miserunt manus. Ubi sedes beatissimi*

Petri et Cathedra veritatis ad lucem gentium Constituta est, ibi thronum posuerunt abominationis impietatis suae; ut percusso Pastore, et gregem disperdere valeant.

Tej scenie przygląda się Sekretarz Stanu kardynał Mariano Rampolla Del Tindaro, tajny mason trzydziestego trzeciego stopnia, sprawujący drugi najważniejszy urząd w Kościele.

* * *

Dla zainteresowanych.

W oryginalnej wersji egzorcyzmu *In Satanam et angelos apostaticos* (Przeciw szatanowi i aniołom-odstępcom), włączonej do Rytuału Rzymskiego, znajdowała się tajemnicza formuła: „Kościół, oblubienicę niepokalanego Baranka, najprzebieglejsi nieprzyja ciele napełnili goryczą, napoili piołunem, wyciągneli swoje nieczyste ręce po wszystko, co miała najcenniejszego. Tam, gdzie na oświecenie narodów została ustanowiona stolica Świętego Piotra i katedra Prawdy, postawili tron ohydy swojej bezbożności, aby, ugodziwszy Pasterza, mogli wygubić również trzodę”[11].

W roku 1902 egzorcyzm skrócono, a powyższe zdanie wykreślono. Z „roztropności”, jak wyjaśniono w języku klerykalnym.

* * *

Watykan, kilka lat później

Francesco Esposito przeciął korytarz i wszedł do gabinetu Piusa X. Jezuita przybył, by jak co piętnaście dni wyspowiadać papieża. Tego ranka Pius był mocno podenerwowany i spowiednik, nim przystąpił do posługi, czuł się w obowiązku zapytać Ojca Świętego o przyczynę złego nastroju.

– Wydaje mi się, że Ojciec Święty jest dziś zdenerwowany – zaczął.

– Wciąż mi się śnią pastuszkowie z La Salette.

– Nadal?

– Sen powtarza się cyklicznie co kilka dni od ponad pół roku. To nie może być zbieg okoliczności.

– Ojciec Święty uważa, że to jakiś znak?

– Nie wiem. Wiem za to, że czterej biskupi, którzy postanowili walczyć z objawieniem, a w konsekwencji stłumić wiarę w tajemnicę saletyńską, zmarli w podejrzanych okolicznościach. Biskup Jacques-Marie-Achille Ginoulhiac z Grenoble, który usiłował uciszyć Melanię, zamykając ją w klasztorze w Darlington, zaraz później zmarł w domu wariatów. Jego następcę, biskupa Favę, który nie ustawał w wysiłkach, by zatrzymać szerzenie się wśród społeczeństwa wiary w objawioną tajemnicę, znaleziono martwego na podłodze w jego apartamentach. Był nagi, miał zaciśnięte pięści i zniekształcone oczy. Z kolei biskup Guilbert z Amiens, ledwie stwierdził, że: „tajemnica saletyńska to nic więcej niż profanacja, kłamstwa i przesada", padł martwy.

– Czy to ten sam, którego trumna spadła z katafalku podczas pogrzebu? – wtrącił jezuita.

– Tak, to on. Darboy z kolei został zastrzelony przez komunardów.

– A on czym się naraził?

– Nie uznał świadectwa złożonego przez jednego ze świadków objawienia.

– Rozumiem, że niepokój Ojca wynika bardziej z rozmyślań na temat losu duchownych niż samego faktu powtarzalności snu?

– Tak, chyba tak...

* * *

W 1944 roku decyzją Świętego Oficjum zakazano odmawiana *Egzorcyzmu Leona XIII* „ze względu na przesądy, jakie spowodowało użycie tego egzorcyzmu i ze względu na fakt, że Kościół ma zwyczaj rezerwować stosowanie egzorcyzmów tylko dla uprawnionych kapłanów"[12].

* * *

Londyn, ulica Strand, mieszkanie Bassantiego, piątek

Spał aż do południa i pewnie nie zrywałby się z łóżka, gdyby nie wizyta w St Thomas Hospital. Pamięć zewnętrzna w postaci niewielkiej karteczki przyklejonej na lodówce nie tylko przypomniała mu o tym fakcie, ale i umiejscowiła w czasie. Była trzynasta. Zdjęcie szwów zaplanowano na piętnastą. Zanim wyszedł, zadzwonił do madame Chantal. Leciwa dama odebrała po pierwszym sygnale. Początkowo była nadąsana, ale w końcu zgodziła się na spotkanie.

* * *

Londyn, ulica Strand, salon spirytystyczny

Chantal Voisin była jedną z niewielu kobiet, jakie tolerował w swoim otoczeniu. Odkąd ją poznał, a było to przeszło dwadzieścia lat temu, miał do niej słabość. On też nie był jej obojętny. Ale o tym przekonał się dopiero, gdy został właścicielem sklepu z antykami. Od tego czasu był regularnym gościem madame Chantal (choć tkwiła w stanie panieńskim i nigdy nie wyszła za mąż, to „mademoiselle” zwyczajnie do niej nie pasowało). Starsza pani traktowała go prawie jak syna. Nie widział się z nią już od ponad tygodnia i powoli zaczynało mu jej brakować. Ostatni raz złożył jej wizytę w dniu, gdy nadszedł list od brata.

Właścicielka salonu spirytystycznego, rodowita Francuzka, która wyglądała, jakby opuściła Paryż jeszcze przed rewolucją francuską, uwielbiała dzielić się z nim, jak mawiała – „w wielkiej tajemnicy” – wszelkimi plotkami. A te chłonęła jak gąbka. Jak mało kto potrafiła od każdego wyciągnąć najskrytsze sekrety i jak mało kto nie wyjawiała ich nikomu. Sekret to sekret,

mawiała. Wyjątkiem od tej reguły był Bassanti. Jemu ufała bezgranicznie. Mężczyzna nie wiedział, czy była to zasługa jego charakteru i osobowości, czy raczej zawodu, jaki wykonywał, gdzie poufność stanowiła klucz do sukcesu. Nieraz dzieliła się z nim taką czy inną tajemnicą i nieraz się przekonała, że Christopher zachowuje wszystko dla siebie. A tajemnic znała na pęczki. W końcu wróżyła prawie każdemu. Jej salon odwiedzali politycy, oficjele, członkowie londyńskiej finansjery czy arystokracji, biznesmeni, mafiosi, prostytutki oraz zwykli zjadacze chleba. Nikomu nie odmawiała, każdego wysłuchała, każdemu służyła radą i pomocą. Ludzie ją uwielbiali. Podobnie jak Christopher. Z tą tylko różnicą, że on nigdy nie chciał, aby mu powróżyła czy postawiła horoskop. Zawsze konsekwentnie odmawiał, zawsze zbywał temat własnych urodzin, nigdy ich też nie obchodził. Jedyne, co przez te lata udało jej się z niego wyciągnąć, to informacja, że urodził się pod koniec marca 1964 roku, w znaku barana.

On sam nie wierzył w żadne kosmogramy, nie rozumiał, co taki astrologiczny horoskop miałby o nim powiedzieć. Wiedział, że to mapa ustawienia planet w chwili urodzenia, ale nie wierzył, że układ ciał niebieskich według roku, miesiąca, dnia i godziny, czy jak to tam idzie, miałby mieć cokolwiek wspólnego z jego osobą. Iluzję skuteczności horoskopów zawsze tłumaczył efektem Barnuma. Odkąd sięgał pamięcią, uważał język wróżb za niejasny – trudno zweryfikować przepowiednie, ponieważ pozostawiają dużą dowolność albo wielość interpretacji, a ludzie z łatwością zapominają nietrafione przepowiednie i pamiętają jedynie te, co się sprawdziły. Wróżący, którzy posiedli elementarną wiedzę z psychologii i doskonały zmysł obserwacji, błyskawicznie odgadują to, co chcą usłyszeć i czego oczekują ich klienci.

Za jedno był madame Voisin wdzięczny – zajmowała się tylko ezoteryką w ścisłym tego słowa znaczeniu, wróżbami (tarot, runy) oraz horoskopami. Tolerował wprawdzie, że na życzenie kilku bardzo bogatych klientów sięgała także po krystalomancję (wróżenie z kryształów/luster), tasenografię (wróżenie z fusów), sciomancję (wróżenie z cieni) i piromancję (wróżenie z ognia).

Ale na szczęście robiła to bardzo rzadko i tylko w określonych okolicznościach. Z demonomancją nigdy nie miała nic wspólnego, zawsze się tego wystrzegała. Nie igra z tym, nie igra ze złem, mawiała.

Leciwa dama powitała go promiennym uśmiechem. Ta niewysoka szatynka, o długich, niedbale upiętych włosach i brązowych oczach ubrana była w zwiewną, długą tunikę w kwieciste wzory, czarne wąskie spodnie i czarne mokasyny. Wychudzone ręce, które wystawały z szerokich rękawów, miała zakute w niezliczoną liczbę okrągłych bransoletek. W uszy wpięła kolczyki, które niewiele odbiegały wzorem od pobrzękujących bransoletek. Z cienkiej szyi zwisał srebrny łańcuszek zakończony białym pentagramem. Nieodłączny atrybut w postaci papierosa towarzyszył jej i tym razem, gdy otulona dymem zaprosiła go do środka.

Salon tonął w bibelotach i pachniał kadzidełkami. Stolik, przy którym zwykle siedzieli wciśnięci w dwa miękkie fotele, przykrywała koronkowa serweta, a na nim stała pokrojona tarta z malinami, dwie filiżanki herbaty oraz kryształowa karafka z winem domowej roboty (najczęściej różanym) i dwa kieliszki. Aby tradycji stało się zadość, najpierw wypili herbatę, potem zjedli po dwa kawałki tarty (Christopher nienawidził słodyczy, ale za tartę z malinami madame Chantal dałby się pociąć) i wysączyli po kieliszku wina. Następnie spirytystka zrelacjonowała mu najnowsze ploteczki. Dopiero po tym wstępie przystąpili do właściwej rozmowy.

On opowiadał jej o wypadku, pobycie w szpitalu (stąd karetka), o tym, że nie udało mu się spotkać z bratem, o odkryciu nogi od witryny pod komodą, o tym, że ksiądz Bassanti popełnił samobójstwo, o wyjeździe do Rzymu (o czym wspomniał jej już właściciel warzywniaka), o wszelkich splotach nieszczęśliwych wypadków i zbiegach okoliczności. Ona z kolei słuchała go uważnie, bawiąc się talią tarota. W końcu zapytała:

– Kto i kiedy zaaranżował wypadek?

– Nie mam pojęcia.

– Wyjeżdżałeś gdzieś na dłużej? Wychodziłeś na cały dzień? Ktoś ma klucze od twojego mieszkania albo sklepu?

– Nic z tych rzeczy. Ostatni raz byłem poza Londynem jakiś miesiąc temu.

– W takim razie, kiedy udało się komuś majstrować przy witrynie? Nie ulega wątpliwości, że to wymagało przygotowań, czasu. Wypadek zdarzył się w piątek. Jesteś pewny, że ani tego dnia, ani poprzedniego nigdzie nie wychodziłeś?

– Oczywiście. Cały czwartek przesiedziałem w sklepie. Podobnie było do chwili wypadku.

– No to może ktoś się włamał?

– Włamał? Jak to włamał?

– Normalnie. Na przykład, gdy spałeś na górze.

– Pani tak na poważnie?

– A jakżeby inaczej.

– Serio bierze to pani pod uwagę? – nie dowierzał.

– Przestań się dziwić i zacznij myśleć logicznie. Nigdzie nie wyjeżdżasz, nie wychodzisz ze sklepu na dłużej, w zasadzie go nie opuszczasz. Powiedz mi w takim razie, kiedy ktoś mógłby przygotować to wszystko? Tylko w nocy! Gdy śpisz. Tylko wtedy w sklepie nie ma nikogo i można w nim swobodnie działać. Sam pomyśl.

– Jak to sprawdzić? Jak ustalić, czy miałem nieproszonych gości?

– Monitoring! – krzyknęła, doznając olśnienia.

– Nie mam.

– Ale ja mam, ja go mam, synu.

Madame Chantal, jak przystało na osobę wiekową, samotną i majętną, była ostrożna i nieco przewrażliwiona na punkcie swojego bezpieczeństwa. Choć powiedzieć, że obawiała się o swoje życie, też nie byłoby przesadą. Monitoring kazała zamontować kilka lat temu, po czym o nim zapomniała. Na szczęście w porę przypomniała sobie o jego istnieniu.

– Umiesz się tym posługiwać?

– Tak.

– To chodź za mną. Monitor jest w drugiej części mieszkania. W szafie.

Ku dziwieniu Christophera komputer okazał się bardzo nowoczesnym sprzętem. Wyświetlał obraz z sześciu kamer.

Cztery zamontowane były na zewnątrz budynku i obejmowały zasięgiem wejście od strony ulicy, chodnik, tylne wejście do salonu (od strony podwórza) oraz samo podwórze. Dwie kolejne ukryto wewnątrz budynku, by pokazywały klatkę schodową oraz wejście do mieszkania.

Aby uzyskać dostęp i odtworzyć zapis z kamer z konkretnego dnia, należało wpisać hasło. Nie był zdziwiony, gdy usłyszał, że jest nim łacińskie słowo *divinatio* oznaczające wróżenie, przepowiadanie przyszłości. Autoryzacja powiodła się i ekran zrobił się czarny. Chwilę trwało, nim Bassanti dotarł do dnia wypadku. Kolejną zmarnował na szukanie jakiegoś punktu zaczepienia. Wreszcie znalazł to, czego szukał. Nagle dostrzegł jakąś postać. Zatrzymał obraz. Kwadrans po trzeciej w nocy ktoś wszedł do sklepu prosto z ulicy. Drzwi otworzyły się, jakby miał klucze. Osoba, bo nie sposób było dostrzec, czy to kobieta, czy mężczyzna, zabawiła w środku równe dwadzieścia minut. Skąd u licha on się tam wziął – przebiegło mu przez myśl. Nie zdążył się jednak nad tym dłużej zastanowić, bo z zamyślenia wyrwał go głos spirytystki:

– Wygląda na to, że przyjechał samochodem.

Faktycznie, gdy przewinął do tyłu zapis z kamer, dostrzegł samochód. Przez chwilę stał zaparkowany przy krawężniku, zanim wysiadła z niego tajemnicza postać. Ledwie wróciła, auto włączyło się do ruchu i odjechało. Jeszcze raz cofnął zapis. Tym razem o wiele uważniej obejrzał nagranie. Marki samochodu nie rozpoznał, ale dostrzegł, że kierownica znajdowała się po lewej stronie. Czyżby samochód pochodził z kontynentu? Po raz kolejny przewinął zapis. Tym razem poprawił jednak ostrość. Z początku wydawało mu się, że rejestracja jest nieczytelna, ale z każdą upływająca sekundą zdobywał pewność, że tablice rejestracyjne były watykańskie. Wskazywały na to trzy litery „SCV...”. Znał te tablice z ostatniego wyjazdu do Rzymu, to tam pierwszy raz je widział. To wreszcie tam wytłumaczono mu, że właśnie takich używają pojazdy rządowe i oficjalne delegacje Watykanu. Dalszej części rejestracji, mimo usilnych prób, nie udało mu się odszyfrować. Wyglądało na to, że macki Kościoła

przybyły po niego szybciej, niż się spodziewał, że dotarły do Londynu, zanim on pofatygował się do Rzymu.

– Nie zauważyła pani ostatnio nic podejrzanego? Nic dziwnego nie zwróciło pani uwagi?

– Nie, niczego takiego nie zauważyłam. Wszystko było tak jak zawsze... – Przez chwilę się zastanowiła. – Chociaż... – kontynuowała – jedna rzecz mnie zaniepokoiła.

– A mianowicie?

– Twoje zachowanie.

– Moje zachowanie? – Christopher nie krył zdumienia. – O czym pani mówi?

– Kilka dni temu, gdy wracałam ze sklepu, dostrzegłam cię. Pomachałam. A ty mi nie odpowiedziałeś. Udałeś, że mnie nie widzisz. W tamtej chwili wydało mi się to dziwne. Teraz też uważam, że zachowałeś się jak prostak. Innych sytuacji nie kojarzę.

– Co pani mówi?! Przecież ja wróciłem z Rzymu dopiero wczoraj.

– Jak to wczoraj?

– Wróciłem w czwartek wieczorem. Czwartek, czyli wczoraj.

– Nie rób ze mnie wariatki. Wiem, że wczoraj był w czwartek.

– Zatem?

– Co zatem? Co zatem? Chyba wiem, kiedy cię widziałam. – Madame Chantal nie kryła oburzenia. – Byłeś ubrany cały na czarno. Pomyślałam, że pewnie dopiero co wróciłeś z pogrzebu.

Przez dłuższą chwilę patrzył na nią osłupiały. Zwariowała? To pierwsze oznaki demencji? Nic z tych rzeczy. Chantal Voisin miała pamięć jak brzytwa. Dobrze wiedziała, co zobaczyła. Dobrze wiedziała, że w godzinach przedpołudniowych we wtorek widziała Bassantiego. O żadnych kłopotach z pamięcią nie mogło być mowy. To był Bassanti. Nikt inny, tylko Bassanti. Stał na chodniku, a potem wyjął z kieszeni kurtki klucze i wszedł do sklepu.

Ale, o ile leciwa dama wiedziała, co widziała, o tyle Christopher nie miał pojęcia o tym, co usłyszał. Jego początkowe zdumienie szybko zmieniło się w przerażenie. Przecież w tym czasie był w Rzymie. O co tu chodzi?

Po raz drugi pomocną dłoń wyciągnął monitoring. Bassanti ponownie obejrzał zapis z kamer. Tym razem jednak za cel obrał każdy dzień swej absencji w Londynie. Sprawdził wszystko, godzina po godzinie, minuta po minucie, począwszy od wylotu do Rzymu, aż po czwartek wieczór, kiedy to taksówka podwiozła go pod sam dom. Po ponad dwóch godzinach ślęczenia przed monitorem trafił na coś interesującego. Było to we wtorek przed południem. Fakt, że to dzień pogrzebu brata, przyniósł mu wyraźną ulgę. Był wtedy w Rzymie na cmentarzu, widział, jak spopielone szczątki brata spoczęły we włoskiej ziemi. Co do tego nie miał wątpliwości. Nie zwariował. Jednak ta myśl towarzyszyła mu tylko ułamki sekund, do czasu, aż odkrył, że o godzinie 9:47:11 do jego sklepu z antykami wszedł ktoś ubrany w spodnie dresowe, kurtkę wiatrówkę z logo klubu sportowego i adidasy. Na głowie miał kaszkiet. Wszedł tak, jakby otworzył drzwi oryginalnym kluczem. Jakim cudem? Wszystko działo się błyskawicznie. Przewinął zapis do przodu. Chciał wiedzieć, kiedy ten ktoś opuścił wnętrze sklepu. Siedem minut. Dokładnie tyle czasu potrzebował, by na powrót znaleźć się na ulicy. Nie rozumiejąc, na co patrzył, cofnął zapis. Chciał po raz drugi zobaczyć, co tam zaszło. Patrzył i nie wierzył. Nie wierzył w to, co widział. Potem po raz kolejny cofnął nagranie, a następnie jeszcze i jeszcze. Za każdym razem widział to samo. Cofał i nic nie rozumiał. Przecież to niemożliwe. Ale nagranie nie kłamało, było idealne: obraz wyraźny, nie śnieżył. W końcu powiększył sylwetkę do tego stopnia, że nie miał już najmniejszych wątpliwości. Wiedział, kim był ten człowiek. Znał go doskonale.

* * *

Londyn, ulica Strand, sobota

Dochodziła dziesiąta, gdy samochód z logo międzynarodowej firmy kurierskiej zatrzymał się na wprost drzwi wejściowych sklepu z antykami. Bassanti pokwitował odbiór przesyłki,

poczekał aż trzech młodych byczków wniesie kartonowe pudła do pustego pokoju i, nie sprawdzając ich zawartości, wrócił do swoich zajęć. Pudła mogą zaczekać, klienci niestety nie. Są priorytety. Pudłami zajmie się po zamknięciu sklepu. Jak zaplanował, tak zrobił. Z jednym małym wyjątkiem. Nie przewidział pewnej wizyty. Nie wziął pod uwagę, że niebawem odwiedzi go jezuita.

Właśnie skończył obsługiwać klienta, gdy zauważył wchodzącego duchownego. Mężczyzna ubrany był w czarną sutannę przepasaną czarnym pasem wiązanym na prawą stronę, czarne spodnie i czarne wiązane trzewiki. Na sutannę narzucony miał płaszcz. Na głowie kapelusz. Pod nim czarną piuskę. Ten ostatni element odzieży Christopher dostrzegł, gdy tylko gość zdjął kapelusz. Zdjął kapelusz, ale się nie przedstawił. Powiedział tylko, że jest przyjacielem ojca Louisa.

Ledwie wszedł, wręczył antykwariuszowi pakunek. Była to paczka wielkości pudełka po butach zawinięta w szary papier i przewiązana sznurkiem konopnym. Tyle podarków. Potem nastąpiła rozmowa. Jezuita zaczął od informacji o zesłaniu siostry Ursuli. Sercankę w trybie natychmiastowym przeniesiono do Francji. Do parafii Gounay-en-Bray trafiła na posługę, mieszkać miała we wspólnocie w Neuf Marché.

Po tym wstępie jezuita przeszedł do meritum. Mówił dokładnie dwie minuty, a antykwariusz słuchał. Słuchał o śmierci ojca Louisa, o tym, że Watykan zaciera ślady, że za wszelką cenę musi skontaktować się z Chiantinim. Kim jest Chiantini – tego się niestety nie dowiedział. Jezuita znikł, jak duch rozpłynął się w powietrzu, a Christopher został sam.

Można powiedzieć, że w trakcie spotkania dowiedział się wszystkiego. Dowiedział się, ale nic nie zrozumiał. Na to będzie potrzebował czasu. A gdy już pojmie, nie uwierzy.

Na razie do notatnika trafiło nazwisko Chiantini i trzy znaki zapytania: Chiantini???

Ciekawe – zastanawiał się Christopher, notując – czy z pomocą ruszy samo nazwisko, czy może prawda ukryta jest w następujących po nim znakach interpunkcyjnych.

Los pakunku został przesądzony. Nożyce rozcięły sznurek i papier pakowy, w który owinięte było tekturowe pudełko z dziennikiem i zdjęciami jakiejś zakonnicy czy zakonnic. Dziennik ewidentnie należał do jego brata, charakter pisma nie pozostawiał złudzeń. Co do fotografii, to Bassanti nie miał pojęcia, kogo przedstawiały. Nie potrafił powiedzieć również, czy ukazywały one jedną osobę w różnych okresach życia, czy kilka kobiet w habitach. Tego na razie nie wiedział. Odpowiedź znajdzie w dzienniku, jednak najpierw musi go przeczytać, co odłożył jednak na wieczór. Zanim na powrót umieścił wszystko w pudełku, odkrył, że z zeszytu wyrwano kilka kartek. Może nie tyle wyrwano, co wycięto. Kilka kartek. Niby niewiele. Ale jak to zawsze bywa, to właśnie te kartki skrywają tajemnicę.

Akurat, gdy zależało mu, aby w miarę wcześnie zamknąć sklep, trafił się klient. Próg Antiques, Art, Vintage... przekroczył na kilka minut przed jego zamknięciem i został na dłużej. Wydawał się wątpliwej konduity, ale miał pieniądze. Szukał dwóch rzeczy: kompletu foteli oraz sekretery z czasów Ludwika XVI. Christopher miał to wszystko, ale i tak minęła blisko godzina, zanim przybysz sfinalizował zakup kompletu czterech klasycznych foteli z zachowaną oryginalną polichromią. Nad sekreterą się jeszcze zastanawiał.

– To też Ludwik XVI?

– Oczywiście. Mebel jest sygnowany w kilku miejscach. Proszę spojrzeć – wyjaśnił Christopher.

– Faktycznie – przytaknął nuworysz.

– Drewno dębowe fornirowane innymi gatunkami.

– Egzotycznymi?

– Tak. Egzotycznymi i owocowymi. – Antykwariusz próbował dotrzymać kroku nabywcy, który wydawał się nie odróżniać wiśni od gruszy.

– To do mojej nowej posiadłości.

– Rozumiem. Proszę spojrzeć: intarsje prezentują się znakomicie, są różnej grubości, podobnie jak ręcznie cięte forniry. Główne drzwiczki mają ruchomą, zwijaną konstrukcję.

– Chcę mebel ze skrytką.

– I taki też panu oferuję.

– To gdzie ta skrytka? – niecierpliwił się kupujący.

– Dwie szuflady posiadają zamykane na zamek schowki, jedna kałamarz, poza tym za jedną z szuflad mamy ukrytą skrytkę na kosztowności.

Wreszcie nabywca, lżejszy o trzy i pół tysiąca funtów, opuścił progi antykwariatu Bassantiego. Ledwie się za nim zamknęły drzwi, Christopher zamówił pizzę. Był głodny. Nie chciał marnować czasu na przyrządzanie posiłku ani tym bardziej na wyjście do restauracji. Chciał jak najszybciej zasiąść do lektury dziennika.

Jeszcze zanim dostawca pizzy zaparkował swój skuter przed wejściem do sklepu, antykwariusz rozsiadł się wygodnie na kanapie i ponownie, tym razem z o wiele większą uwagą, przejrzał zawartość pakunku. Najpierw obejrzał zdjęcia. Część z nich była podpisana. Wyglądało na to, że przedstawiają jedną i tę samą osobę. Zdjęcia pochodziły z różnych lat. Z adnotacji na kilku fotografiach wynikało, iż jest nią siostra Łucja, jedna z Widzących z Fatimy, świadek objawienia Matki Bożej w Cova da Iria.

Odłożył zdjęcia na bok, nie tylko nie znajdując żadnego powiązania ze śmiercią starszego Bassantiego, ale i nie rozumiejąc, do czego mogły mu się przydać. Którą część układanki tworzyły? Którym elementem puzzli były?

Z lektury dziennika dowiedział się wprawdzie, co jego brat porabiał w ostatnich tygodniach życia, jednakże w dalszym ciągu nie umiał odtworzyć ani z kim się spotkał, ani też w jakim celu. Dziennik usiany był inicjałami i jednolinijkowymi wpisami w stylu: „Wczoraj miałem spotkanie z S.”, „R. potwierdził moje obawy.”, „Spacer z L. On zaprzecza.”, „C. nieuchwytny. Ponowić próbę.”, „J.Ch.? On wie”. Po dogłębnej lekturze Christopher stwierdził, że w dzienniku wszystko było bardzo enigmatyczne. Poza wpisami, które chyba tylko księdzu Bassantiemu coś mówiły, pełno było dat, zagadkowych działań matematycznych, zestawień liczbowych. Jedyny dłuższy zapis dotyczył intronizacji. Ale z lektury tych trzech stron niewiele wynikało. Nie było tam ani daty, ani oznaczenia miejsca, ani niczego innego, co mogłoby stanowić jakikolwiek punkt zaczepienia. Kolejne

kartki oczywiście wycięto. Co zawierały? Nawet nie próbował się domyślać.

Odłożył wszystko, rozumiejąc jeszcze mniej niż dotychczas. Zakładając, że istniał ktoś, kto chciał mu pomóc, kto robił wszystko, aby go pchnąć na właściwy trop, to albo ten ktoś pomagał mu nieudolnie, bo Christopher kompletnie nic nie dostrzegał, albo to on był za głupi na te puzzle.

Pewną nadzieję dawały dostarczone kilka godzin wcześniej pudła z rzeczami brata. Ale dlaczego akurat ich zawartość miałaby mu coś wyjaśnić? Dlaczego w nich upatrywał pomocy? Przecież nawet nie wiedział, za czym się rozglądać. Nie wiedział, czy klucz znajduje się w zapakowanym księgozbiorze, czy może należy go szukać w stertach powiązanych sznurkiem teczek. Tylko co miałby niby znaleźć w starych rocznikach gazet, w papierach, które mogły być zarówno materiałem do pracy doktorskiej, jak i pożywką dla moli i roztoczy. Czego, do cholery, miałby szukać w mszałach?

Otworzył wszystkie siedemnaście kartonów i jeden po drugim je opróżnił. Całą zawartość ułożył w stosach i piramidach na wypolerowanych deskach parkietu. Gdy tylko uprzątnął pudła, odkorkował butelkę wina i z kieliszkiem w jednej dłoni i butelką w drugiej wrócił do przerwanej pracy.

Już na pierwszy rzut oka było widać, że cały księgozbiór można podzielić na dwie części. Pierwszą stanowiły wydania przedsoborowe, drugą posoborowe. Znakomitą większość zajmowały dzieła związane ze sprawowaniem kultu. Wśród nich były między innymi: księgi liturgiczne, takie jak *Mszał Rzymski, Lekcjonarz, Ewangeliarz, Rytuał, Pontyfikał, Agenda liturgiczna, Liturgia Godzin* (zwana też *Brewiarzem*). Część dawnych ksiąg liturgicznych reprezentowały *Sakramentarz* (*Sacramentarium Leonense, Sacramentarium Veronense*), *Benedykcjonał, Antyfoniarz, Ordines Romani, Epistolarium, Martyrologium, Pasjonał, Psałterz. Graduał* i *Kyriale* były przeznaczone do śpiewania. Oprócz tego znalazł *Żywoty Świętych Pańskich, Prawidła Życia Chrześcijańskiego, Ofiarę Mszy Świętej w Tajemnicach i Cudach, Żywot i bolesną mękę Pana naszego Jezusa Chrystusa*. Ponadto natrafił na *Kodeks Prawa*

Kanonicznego z 1917 oraz z 1983 roku, różne wersje i wydania Biblii, Starego Testamentu oraz Ewangelii, a także *Collectio Rituum* z 1963 roku – przedsoborowy rytuał z adaptacjami.

Pozostałą część księgozbioru stanowiły kryminały Agathy Christie, Raymonda Chandlera i Rossa Macdonalda.

Jednym słowem nic specjalnego. Zero jakichkolwiek wskazówek. Wszystko typowe. Jak przystało na księdza.

Zupełnie inaczej przedstawiała się sprawa ze stertami papierzysk. One zapowiadały się bardzo ciekawie. Ponieważ jednak zbliżała się północ i Christopher nie miał już siły walczyć z zakurzoną makulaturą, przerwał pracę i położył się spać. Planował dokończyć ją z samego rana, tuż przed wylotem do Rzymu.

* * *

Niedziela

Ledwie otworzył oczy, a już stał z kubkiem kawy pomiędzy oceanem dokumentów. I choć jeszcze wczoraj uznał, że otaczające go stosy, w przeciwieństwie do księgozbioru, zapowiadały się obiecująco, dziś zmienił zdanie. Jeśli cokolwiek tu miałoby przynieść jakiekolwiek owoce, to owoce najwyraźniej zgniły.

Christopher cały się zakurzył i ubrudził, a na dodatek dostał kataru. Nie natrafił też na najmniejszy trop, nic nie odnalazł. Fiasko. Powinien był to przewidzieć. Powinien, ale nie przewidział.

Zniechęcony wziął prysznic, zjadł późne śniadanie i zaczął się pakować. Tak jak poprzednio wybrał samolot linii lotniczych Alitalia. I tak jak poprzednio zarezerwował ten sam hotel. Nie lubił zmian, dlatego postanowił trzymać się kilku stałych, na które miał wpływ.

* * *

Rzym, redakcja, poniedziałek

Barbarettiego dopadł parę minut po dziewiątej. Dziennikarz pamiętał Bassantiego. Ale na razie nie dysponował wolnym czasem, zapraszał do redakcji, dokąd Christopher skierował swoje kroki.

Luca Barbaretti zbliżał się do sześćdziesiątki, był średniego wzrostu, miał siwy zarost, sterczące szpakowate włosy, wysokie czoło i brązowe oczy. Ubrany był w jeansy i malinową koszulkę polo. Na nogach miał mokasyny. Zwykle towarzyszył mu plecak.

Dziennikarz już czekał na Bassantiego. Wystarczyła krótka rozmowa, by połknął rzucony przez antykwariusza haczyk. Ledwie Christopher wspomniał o zagadkowej śmierci brata, Barbarettiemu jakby lat ubyło. Młodzieńczy błysk w oku tylko spotęgował to wrażenie. Niestety dłuższa rozmowa musiała zaczekać. Dziennikarz dopinał duży temat, jak sam to określił, i najzwyczajniej w świecie nie miał czasu. W ramach przeprosin zaproponował wspólny obiad. Antykwariusz przystał na jego propozycję i panowie umówili się na godzinę szesnastą.

* * *

Rzym, cmentarz

Z trudem odnalazł miejsce spoczynku brata. Gdyby nie nazwisko, które z ledwością udało mu się odczytać, pomyślałby, że pomylił miejsce, że brat został pochowany w innej części cmentarza. Ale o pomyłce nie mogło być mowy. Zastanawiało go to, że choć od pogrzebu minął niecały tydzień, ziemia jeszcze nie osiadła, a płyta nagrobna, którą pionowo wpuszczono w ziemię, wyglądała tak, jakby wymagała konserwacji, jakby bliżej jej było do zabytkowego nagrobka, na którym czas odbił swe piętno, a warunki atmosferyczne zatarły litery.

Nagrobek wykonano z piaskowca. Piękne zdobienia w postaci motywów roślinnych oraz płaskorzeźba przedstawiająca

archanioła Michała były uszkodzone i popękane. Wilgoć też zrobiła swoje, bo płyta tonęła w różnych odcieniach zieleni. Wykwity mchów i porostów były dosłownie wszędzie. Zadziwiające. Czyżby nagrobek powstał wiele lat temu? Czyżby celowo pozostawiono go na łaskę i niełaskę pogody? Skąd, u licha, tak stara płyta? Jeśli nawet założyć, że nagrobek miał swoje lata, to o ile ktoś, kto wykuwał na nim informacje, mógł znać datę urodzenia starszego Bassantiego, to za nic na świecie nie mógł przewidzieć daty jego śmierci. Dlaczego cyfry ją oznaczające były tak samo nieczytelne jak cały napis?

Stał pogrążony we własnych myślach, gdy nagle usłyszał zbliżające się kroki. Odwrócił się i spostrzegł nadchodzącego od strony kaplicy mężczyznę. Był ubrany w roboczy kombinezon, na nogach miał ciężkie, obite blachą buty, zaś w ręce trzymał młotek. I choć ciężka fizyczna praca dodawała mu lat, poruszał się jak dwudziestoparolatek.

– Dzień dobry – zagadnął. – Widzę, że podoba się panu nagrobek.

– Dzień dobry – odparł Bassanti.

– Jestem Giuseppe Tonanti. Tutejszy kamieniarz – przedstawił się i, wskazując na nagrobek, dodał: – Ktoś bliski?

– Tak, brat.

– Dawno zmarł?

– Nie, został pochowany w ubiegły wtorek. Zmarł dwa dni wcześniej.

– Dziwne.

Mina kamieniarza mówiła wszystko, jakby jej właściciel nie tylko nie uwierzył w to, co przed chwilą usłyszał, ale jakby uważał, że rozmówca celowo wprowadza go w błąd. Ale wbrew wrodzonej ciekawości nie kontynuował wątku, tylko szybko zmienił temat:

– Wie pan, co to za obraz? – zapytał, wskazując na płaskorzeźbę.

– Nie, nie mam pojęcia. Domyślam się, że scena przedstawia archanioła Michała poskramiającego szatana.

– Zgadza się. Płaskorzeźba powstała według obrazu Guido Reniego, źródłem samego motywu jest zaś Apokalipsa św.

Jana. Zwyciężony diabeł wprawdzie ma skrzydła, ale nie są to skrzydła ptaka, lecz nietoperza. To wskazuje, że jest on Księciem Ciemności.

– Dość dobrze zna pan ten nagrobek.

– Mój ociec go rzeźbił. To dlatego.

– Pański ojciec?

– Tak. Miałem wtedy jakieś dziesięć lat, może mniej.

– To znaczy?

– Czterdzieści lat temu. Może więcej.

– Rozumiem.

– Szatan jest już pokonany. Próbuje jeszcze podnieść głowę, ale archanioł Michał mu na to nie pozwala. Depcze go stopą. Tu tego już dobrze nie widać, ale na obrazie archanioł Michał ubrany jest w zbroję torsową, wojskowe sandały *caligae* i płaszcz *paludamentum*, który w rzymskim wojsku przysługiwał wyłącznie wodzowi. W prawej dłoni dzierży miecz, w lewej trzyma potężny łańcuch, który wprawdzie może mu posłużyć do ujarzmienia diabła, ale w rzeczywistości jest częścią wagi.

– Czy to nie ten archanioł, który podczas Sądu Ostatecznego z polecenia Boga będzie ważył dobre i złe uczynki?

– Ten sam.

Rozmawiali jeszcze przez chwilę, krążąc wokół tematu nagrobka. Ale ani Bassanti nie zdecydował się na kolejne pytania, ani kamieniarz nie próbował dostarczyć mu gotowych odpowiedzi.

* * *

Rzym, restauracja jakich wiele

Była za kwadrans szesnasta, gdy Christopher zajął miejsce w restauracyjnym ogródku. Zamówił espresso, zapalił papierosa i czekał. Cztery długości papierosa później zjawił się Barbaretti. Lewie siadł, on też wetknął papierosa do ust i go odpalił. Jego nałóg był silniejszy, niż chciałby się do tego przyznać. Dziennikarz na przemian oddychał i palił, palił i oddychał.

Resztę czynności wykonywał niejako przy okazji. Podobnie rzecz się miała ze spotkaniem z Bassantim. Obiad, na który się umówili, okazał się tylko czynnością pozorowaną. Pozorowaną, bo nić porozumienia dwaj panowie osiągnęli, paląc. A palili, jakby się ścigali. Jakby walczyli o palmę pierwszeństwa, który z nich w krótszym czasie przyjmie więcej nikotyny. W końcu zwycięzca mógł być tylko jeden.

Podczas obiadu wypili morze wina. Podczas deseru – morze kawy. Jedli i rozmawiali. Dialog przybierał na sile, czasem wkradały się monologi, następowały zmiany tematu. Czas płynął.

Najpierw Christopher opowiedział o tajemniczej śmierci brata, o rezultatach śledztwa, rozmowach z Barcco. Dziennikarz słuchał z uwagą. Wreszcie wyznał, że go to nie dziwi, że gliniarz powiązany jest z Watykanem, że od lat pozostaje na ich usługach.

Potem antykwariusz wyciągnął plik zdjęć siostry Łucji, dziennik brata oraz dwie papierowe teczki, które otrzymał od siostry Ursuli. Tym razem dziennikarz milczał i zapamiętale kartkował zapiski poczynione ręką zmarłego, pobieżnie przeglądał pieczołowicie zebrane papiery (w niektóre fragmenty się wczytywał, inne pomijał) i z uwagą oglądał zdjęcia zakonnicy.

Wyglądało na to, że dziennikarzowi obiło się to i owo o uszy, że wiedział co nieco o objawieniach w La Salette i Fatimie oraz kłopotach Widzących. Jego wiedza była wprawdzie bardzo powierzchowna, ale i tak pozwoliła mu sformułować opinię, że pedofilia przy tym to niewielki problem. Problem, podkreślił, a nie przestępstwo. Po czym dodał, że to kwestia semantyki. Jak zawsze zresztą w przypadku tej instytucji.

Wreszcie Barbaretti zapytał, skąd Bassanti ma te wszystkie rzeczy. Christopher wspomniał o siostrze Ursuli i tajemniczym jezuicie. Dziennikarz drążył temat, dopytywał, czy antykwariusz wie, kim był jego gość. Niestety nie wie, jezuita się nie przedstawił. Ale kazał mu się skontaktować z kimś o nazwisku Chiantini.

Na to wszystko dziennikarz wybuchnął śmiechem. Potem wyjął telefon i do kogoś zadzwonił. Rozmawiał ledwie minutę, ale zdążył umówić Bassantiego na spotkanie. W międzyczasie na papierowej serwetce zapisał godzinę oraz nazwę lokalu.

Na koniec Christopher dowiedział się, że z Chiantinim spotka się następnego dnia, i dostał cenną radę: Chiantini uwielbia jedzenie, to jedyne, czym go można kupić – zatem nie należy szczędzić na homara.

* * *

Rzym, wtorek

Zanim Bassanti dotarł na spotkanie, dowiedział się tego i owego o swoim rozmówcy. Dziennikarz nie był związany z Watykanem (co nieczęsto się zdarzało), uznawano go za guru informacji, specjalistę od spraw, które Watykan usiłuje zamieść pod dywan, w tym nieprawidłowości kolejnych konklawe oraz czarnej magii. Miał na swoim koncie liczne publikacje. Prywatnie pozostawał kawalerem, bezdzietnym, majętnym, pracoholikiem.

Alessando Chiantini był nie tylko rodowitym Włochem, ale także rodowitym Rzymianinem. Miał sześćdziesiąt dwa lata, lecz wyglądał o wiele młodziej. Był wysoki, szczupły, z burzą siwych włosów na głowie. Miał ciemne oczy i przenikliwe spojrzenie.

Tego dnia był ubrany w granatowe spodnie o zwężających się nogawkach, niebieską koszulę z podwiniętymi rękawami i skórzaną kurtkę. Na nogach nosił mokasyny, a na prawym nadgarstku zegarek na pasku. Towarzyszyła mu nieodłączna skórzana teczka. Jego *veni, vidi, vici* sprowadzało się do: przybyłem, zamówiłem, zjadłem.

Spotkali się w restauracji, jakich mało: drogiej, wykwintnej, ukrytej pod gwizdkami Michelina. Podczas obiadu Chiantini sypał ciekawostkami.

Nazwa Watykanu pochodzi od rzymskiego bóstwa *Vagitanus* (*Vaticanus*). *Vagitanus* to demon, a właściwie etruskie bóstwo opiekujące się pierwszym krzykiem dziecka po narodzinach.

W całym Watykanie roi się od różnych symboli masońskich, pogańskich czy satanistycznych. I tak krzyż św. Piotra jest niczym innym jak odwróconym krzyżem łacińskim. Jego nazwa nawiązuje do śmierci apostoła Piotra, którego ukrzyżowano głową w dół. Bywa wykorzystywany w symbolice satanistycznej jako odwrotność krzyża chrześcijańskiego i wyraża postawę antyreligijną.

Prawdziwa papieska tiara zawiera trzy korony, symbolizujące trzy władze. Aktualnie papieska tiara została zastąpiona mitrą. Z kolei mitra nie zawiera żadnego chrześcijańskiego symbolu, ponieważ cała pokryta jest symbolami masońskimi, okultystycznymi i gnostyckimi. Jakby tego było mało, papieska stuła symbolizująca jurysdykcję odeszła do lamusa.

Kościół Katolicki staje się narzędziem do wprowadzenia Nowego Porządku Świata.

W Watykanie rządzi szatan.

W trakcie rozmowy Chiantini przeglądał dokładnie te same rzeczy, nad jakimi jeszcze wczoraj pochylał się jego kolega po fachu. Potem poinformował antykwariusza, że poznał kiedyś Portugalczyka, który pracował jako fotograf przy nuncjaturze w Lizbonie i robił wywiad z ojcem Fuentesem. Bassanti nie wiedział, o czym tamten mówił, ale poprosił o kontakt. Dziennikarz obiecał pomoc. Drugie spotkanie wisiało w powietrzu. O jego dacie zdecyduje przypadek, o jego godzinie Chiantini poinformuje Bassantiego osobiście.

Rozdział IV

ODKRYCIE RAMÓNA HERNÁNA ISAZY

Niech was w żaden sposób nikt nie zwodzi, bo [dzień ten nie nadejdzie], dopóki nie przyjdzie najpierw odstępstwo i nie objawi się człowiek grzechu, syn zatracenia, który się sprzeciwia i wynosi ponad wszystko, co nazywa się Bogiem lub tym, co odbiera cześć, tak że zasiądzie w świątyni Boga dowodząc, że sam jest Bogiem. Czy nie pamiętacie, jak mówiłem wam o tym, gdy wśród was przebywałem? Wiecie, co go teraz powstrzymuje, aby objawił się w swoim czasie. Albowiem już działa tajemnica bezbożności. Niech tylko ten, co teraz powstrzymuje, ustąpi miejsca, wówczas ukaże się Niegodziwiec, którego Pan Jezus zgładzi tchnieniem swoich ust i wniwecz obróci [samym] objawieniem swego przyjścia. Pojawieniu się jego towarzyszyć będzie działanie szatana, z całą mocą, wśród znaków i fałszywych cudów, [działanie] z wszelkim zwodzeniem ku nieprawości tych, którzy giną, ponieważ nie przyjęli miłości prawdy, aby dostąpić zbawienia. Dlatego Bóg dopuszcza działanie na nich oszustwa, tak iż uwierzą kłamstwu, aby byli osądzeni wszyscy, którzy nie uwierzyli prawdzie, ale upodobali sobie nieprawość. (2 Tes 2, 3–12)

W 1820 roku powstał masoński dokument *Alta Vendita* przedstawiający plan przejęcia Watykanu przez masonerię poprzez wprowadzenie na tron Stolicy Piotrowej papieża-masona. Co ciekawe, papież Pius IX potwierdził autentyczność tej instrukcji.

Natomiast dziesiątego lutego 1939 roku papież Pius XI został otruty przez agenta Benito Mussoliniego. Za wszelką cenę chciano uniemożliwić duchownemu potępienie faszyzmu i tego, co w kraju wyprawiał duce.

Kardynał Eugène Tisserant, dziekan Kolegium Kardynalskiego, dostał od papieża polecenie zwołania spotkania włoskich biskupów (forum dla antyfaszystowskiego przemówienia głowy Kościoła Katolickiego). W przeddzień spotkania papież poprosił o lekarstwo, które miało go wzmocnić na czas wygłaszania przemówienia. Lek w zastrzyku podał mu doktor Francesco Petacci, ojciec kochanki Mussoliniego, Claretty, wskutek czego kilka godzin później papież umarł.

Jedenastego lutego 1939 roku miała zostać ogłoszona encyklika piętnująca rasizm, do czego jednak nie doszło z powodu śmierci Piusa XI. Jego następca, Pius XII, schował tekst głęboko i nie wyciągnął go aż do końca swojego pontyfikatu.

* * *

Rzym, środa

Drugie i ostatnie spotkanie z Chiantinim odbyło się w znanej i lubianej restauracji serwującej owoce morza. I tym razem Bassanti oraz dziennikarz tonęli w oparach dymu oraz oceanie kawy i białego wina.

Już na początku dziennikarz potwierdził, że Portugalczyk żyje i mimo wieku ma się nie najgorzej. Potem uchylił rąbka tajemnicy w postaci jego imienia i nazwiska (Ramón Hernán Isaza) oraz miejsca zamieszkania (wyspa Ouessant/Bretania). Potem wyjaśnił, gdzie leży wyspa (najdalej na północny zachód wysunięty punkt kontynentalnej Francji) i jak można się tam dostać (prom z Le Conquet). Wreszcie narysował mapę wyspy i zaznaczył na niej latarnię Créac'h i dom Isazy.

Na koniec wręczył Bassantiemu prezent: cztery szpule filmu Standard 8 mm produkcji Eastman Kodak opatrzone napisami „Roma" i „Charleston".

Żegnając swego rozmówcę, poprosił o obejrzenie wszystkich taśm (sam je oglądał wielokrotnie). Jednocześnie przestrzegał przed ich digitalizacją. Nie wyjawił, co uwieczniono na filmach

i nie udzielił odpowiedzi na pytanie, gdzie i przede wszystkim na czym Bassanti mógłby je obejrzeć.

Potem wstał od stolika i zniknął w ulicznym tłumie.

* * *

Zgodnie z kanonem 185 *Kodeksu Prawa Kanonicznego* (1917) „rezygnacja jest nieważna z prawa, o ile wynika z uzasadnionego strachu lub na skutek gróźb, z oszustwa, poważnego błędu lub symonii”[13].

Jakby to powiedzieć? Było jedno konklawe, potem Sobór Watykański II z przerwą na kolejne...

Według oficjalnej wersji, konklawe odbywało się w Kaplicy Sykstyńskiej od dwudziestego piątego do dwudziestego ósmego października 1958 roku. Po jedenastu głosowaniach na papieża został wybrany patriarcha Wenecji, Angelo Giuseppe Roncalli, który przybrał imię Jana XXIII.

Kilka lat później, w 1963 roku, w tym samym miejscu odbyło się kolejne konklawe. Tym razem już po szóstym głosowaniu udało się wybrać nowego papieża, którym został arcybiskup Mediolanu, Giovanni Battista Montini. Przybrał on imię Pawła IV.

Wersję nieoficjalną tych wydarzeń można podsumować ironicznym pytaniem: Kto tu dymi?

Był dwudziesty szósty października 1958 roku. Tego dnia biały dym pojawił się dwukrotnie, a halucynacji uległo ponad dwieście tysięcy osób, które zgromadziły się na Placu św. Piotra. Za pierwszym razem dymiono na biało około południa. Jednak okrzyki wiernych szybko ucichły, ponieważ chwilę później dymiono na czarno. Za drugim razem biały dym pojawił się około godziny osiemnastej.

A pomiędzy dymami doszło do zadymy.

W świat pomknęły informacje telefoniczne i telegramy do największych i najważniejszych agencji prasowych i stacji radiowych, jednak to medialne zamieszanie okazało się przedwczesne. Anulował je czarny dym.

W tym czasie Radio Watykańskie obwieściło wybór nowego papieża, choć jeszcze wstrzymało się z podaniem przybranego

imienia.

W błąd wprowadzono także przewodniczącego konklawe Calloriego Di Vignale i marszałka konklawe Sigismonda Chigiego, którzy udali się na swoje miejsca, by wykonać czynności, jakich wymagały pełnione przez nich funkcje. Czynności te nie doszły do skutku.

Straży pałacowej polecono udać się do Bazyliki św. Piotra na ceremonię ogłoszenia imienia nowego papieża. Zanim jednak straż dotarła do Placu św. Piotra, otrzymała rozkaz powrotu do koszar.

Gwardia Szlachecka dostała identyczne rozkazy.

Podobny chaos panował za zamkniętymi drzwiami Kaplicy Sykstyńskiej. Najpierw papieżem wybrano kardynała Giuseppe Siriego, który przyjął papieskie imię Grzegorza XVII, jednak pod wpływem nacisków zrezygnował z funkcji. Potem na Tron Piotrowy powołano kardynała Federico Tedeschiniego. Ten również w wyniku presji nie przyjął godności papieskich. Tak minął dwudziesty szósty października i kolejny dzień.

Dopiero dwudziestego ósmego października dokonano właściwego wyboru i papieżem został Angelo Giuseppe Roncalli.

Wśród przyczyn tego zamieszania wymienia się kontakt ze światem zewnętrznym, między innymi z żydowską organizacją B’nai B’rith (przez niektórych uznawaną za lożę masońską) oraz brutalne zastraszenie kolejnych kandydatów (w tym groźby zabójstwa).

Aby podkreślić szereg nieprawidłowości, do jakich doszło podczas wyboru, Roncalli przyjął imię Jana XXIII. Co w tym dziwnego? Ano to, że identyczne imię nosił antypapież Baldassare Cossa, którego pontyfikat trwał pięć lat (podobnie jak Jana XXIII). Znak?

Wybór Roncallego został zainicjowany przez Vincenta Auriola w paryskiej loży masońskiej. Papież brał udział w warsztatach masońskich w Istambule. Nazywano go masońskim agentem, papieżem apostazji, antypapieżem, a jego pontyfikat określano czasem puczu masonerii i okupacji Kościoła Katolickiego przez synagogę szatana.

W kwestiach związanych z Fatimą to właśnie Jan XXIII zamknął usta ostatniemu świadkowi objawienia i głęboko ukrył Trzecią Tajemnicę.

Kilka lat później, w 1963 roku, konklawe zebrało się ponownie. Sytuacja wyglądała podobnie do tej sprzed pięciu lat: znów ferment z kardynałem Giuseppe Sirim w samym środku akcji. W wyniku głosowania wybrano go na papieża, jednak pod wpływem nacisków zrezygnował on z godności papieskiej. I znów fałszywe dymy. Tym razem w wybory zamieszana była CIA.

Paul L. Williams w swojej książce *Watykan Zdemaskowany. Mafia, zbrodnie, pieniądze*[14] podaje:

„Obawiając się o wyniki konklawe, Centralna Agencja Wywiadowcza próbowała forsować kandydaturę kardynała Siriego (...). Dzisiaj wiemy już z cała pewnością, że jeden z amerykańskich kardynałów otrzymał na czas konklawe miniaturowy nadajnik radiowy, przez który relacjonował przebieg wydarzeń w Kaplicy Sykstyńskiej. 21 czerwca 1963 roku wiadomość o wyborze Montiniego na papieża dotarła do kwatery głównej CIA, zanim jeszcze z komina na dachu Kaplicy Sykstyńskiej uniósł się obłok białego dymu. Konklawe było na podsłuchu". Urządzenie podsłuchowe wniósł kardynał Francis Spellman.

Jak podała agencja prasowa „The Scheboygan Press", biały dym widać było przez osiem minut (tyle czasu zwykle trwa spalanie kart do głosowania).

Serię knowań, nacisków i gróźb zakończył definitywnie wybór jedynego słusznego kandydata: Giovanniego Battisty Montiniego. To on dwudziestego pierwszego czerwca 1963 roku wstąpił na tron papieski i przybrał imię Pawła VI. Jego pontyfikat trwał aż do roku 1978.

Był ostatnim papieżem, którego koronowano. Często widywano go z zawieszonym na szyi efodem, płytką napierśną symbolizującą wysokiego rangą kapłana żydowskiego.

Jako homoseksualista piętnował osoby o tej samej orientacji. W 1976 roku francuski pisarz Roger Peyrefitte na łamach włoskiego tygodnika „Il Tempo" przypomniał papieżowi, że gdy

ten był jeszcze arcybiskupem Mediolanu, odwiedził po cywilnemu lupanar dla mężczyzn. Miał pecha, bowiem został schwytany przez karabinierów w niedwuznacznej sytuacji z pewnym aktorem, w którym kochał się tak bardzo, że jako papież przyjął jego imię – Paolo. Tym aktorem miał być Paolo Carlini, który zagrał u boku Audrey Hepburn i Gregory'ego Pecka w *Rzymskich wakacjach*.

Był kolejnym papieżem, który usilnie pracował nad burzeniem katolickiej tradycji.

I jeszcze kilka słów o Soborze Watykańskim II. Był to dwudziesty pierwszy sobór powszechny Kościoła Katolickiego. Trwał od jedenastego października 1962 roku do ósmego grudnia 1965 roku. Składał się z czterech sesji. Pierwszej przewodniczył Jan XXIII, trzem kolejnym Paweł VI.

Po raz pierwszy w historii Kościoła Katolickiego dokumenty soborowe spisano bez użycia formuły *anathema sit* (*niech będzie wyklęty*). Sobór oskarżano o judaizację Kościoła. Zmiany wprowadzone przez *Vaticanum II* stanowią „ochrzczoną" wersję niektórych poglądów głoszonych przez tajne stowarzyszenia. Powszechnie słyszało się komentarze: „modernistyczny neokościół", „rewolucja francuska dla Kościoła Katolickiego" czy „konklawe zgwałcone przez bandę francuskich apostatów i konspiratorów z inspiracji najstarszej działającej żydowskiej organizacji na świecie – B'nai B'rith".

* * *

Londyn, czwartek

Bassanti postanowił zostać w Londynie najwyżej dzień, może dwa. Po pierwsze musiał się przepakować, a po drugie załatwić kilka drobnych spraw. W końcu zamknięty na głucho sklep nie wróżył niczego dobrego.

Zarezerwował bilety na Eurostar, potem na TGV relacji Paryż–Brest i na autobus jadący do niewielkiej miejscowości Le Conquet. Na razie nie miał pomysłu, co powinien zrobić. Jechać

i wrócić z Ouessant w ciągu jednego dnia czy też zostać tam na dłużej? Z pomocą, jak zwykle w takich chwilach, przyszła madame Chantal. Gdy tylko wyjawił jej swoje plany, ta wykonała kilka telefonów. Nie minęło pół godziny, a Christopher miał już zarezerwowany domek letniskowy należący do dobrego znajomego spirytystki. Domek był pusty o tej porze roku i Bassanti mógł się w nim zatrzymać na dłużej. To rozwiązało wszystkie jego problemy. Mógł przecież nie zastać Isazy, a podróżowanie między lądem a wyspą jawiło się jako kompletna strata czasu.

Odtwarzaniem taśm od Chiantiniego na razie nie zawracał sobie głowy. I tak nie miał ich na czym obejrzeć, a szukanie kogoś, kto udostępniłby mu sprzęt bez zbędnych pytań, nie wchodziło w rachubę. Sam najpewniej nie umiałby ich odtworzyć. Nadać cyfrowej postaci też im nie potrafił. Wobec takich problemów taśmami postanowił zająć się po powrocie.

Przepakował torbę, wypłacił pieniądze i wymienił sporą kwotę na euro. W końcu przez jakiś czas będzie mieszkał na wyspie. Nie trzeba być strategiem, żeby wpaść na to, że płacenie kartą może być tam co najmniej utrudnione, a wypłata pieniędzy z bankomatu niemożliwa.

* * *

Londyn, piątek

Zamykał mieszkanie, gdy zadzwonił telefon. To Barbaretti, który pilnie poszukiwał Chiantiniego. Jednak Bassanti nie miał kontaktu z dziennikarzem od czasu ich ostatniego spotkania i nie potrafił pomóc dzwoniącemu. Czyżby Chiantini zapadł się pod ziemię? Czyżby był kolejną osobą, która musiała zniknąć?

Wiadomości płynące z Rzymu nie napawały optymizmem. Szpule z filmami, które dzień wcześniej ukrył, postanowił wyjąć i spakować do torby. Chwilę później wyruszyły wraz z nim w drogę na wyspę Ouessant.

* * *

Dwudziestego czwartego października 1925 roku siostra Łucja wstąpiła do postulatu Sióstr św. Doroty w Tuy, drugiego października 1926 roku przyjęła habit zakonny i rozpoczęła nowicjat, a trzeciego października 1934 roku złożyła śluby wieczyste. W ten sposób dzięki trzem październikom została doroteuszką.

* * *

Hiszpania, klasztor w Tuy, 1927 rok

Jezuita przeciął klasztorny korytarz, minął prowadzące na piętro schody i refektarz. Kilka kroków dalej zatrzymał się. Drzwi do klasztornej celi, którą zajmowała siostra Łucja, były uchylone. Mimo to zapukał. Usłyszawszy zaproszenie, wszedł do środka i jak zawsze zajął miejsce na jednym z dwóch krzeseł. Drugie przykrywał habit zakonnicy. Chwilę rozmawiali na różne tematy. W końcu ojciec José Aparício da Silva przystąpił do spowiedzi. Odkąd został przewodnikiem duchowym siostry Łucji, odwiedzał ją regularnie. Zwykle zjawiał się w klasztorze w Tuy raz na trzy tygodnie.

Po niecałym kwadransie oczyszczenie z grzechów dobiegło końca. Wszystko odbyło się dokładnie jak zawsze. Był grzech, była spowiedź, była pokuta. Z jednym tylko wyjątkiem – tego dnia siostra Łucja wydawała się nieobecna, rozkojarzona i niespokojna. Jezuita nie miał wątpliwości, że jej myśli krążyły gdzieś daleko. Był jednak zbyt taktowny, zbyt dobrze wychowany, by próbować nawiązać do swoich przemyśleń. Tajemnica spowiedzi to jedno, a tajemnica skrywana przed światem to coś zupełnie innego. Da Silva postanowił milczeć. Przyjdzie czas, że siostra Łucja sama zechce wyjawić mu swój sekret. Tak też się stało i to o wiele szybciej, niż zakładał spowiednik.

Miał już wychodzić, gdy doroteuszka ocknęła się z zamyślenia i rzuciła, jakby mimochodem, jakby nie zdając sobie sprawy z wagi wypowiedzianych słów, zdanie, które dosłownie zwaliło go z nóg:

– Ojcze, podejrzewam, że ktoś chce mnie otruć.

– Otruć? – Jezuita nawet nie próbował ukryć niedowierzania.

– Tak, otruć. Nie przesłyszał się ojciec. Od jakiegoś czasu mam dziwne dolegliwości żołądkowe. Jem to samo, co inne siostry, a wciąż wymiotuję. Silne bóle brzucha nawracają i stają się coraz silniejsze.

– Podejrzewa siostra kogoś?

– Sęk w tym, że nikogo.

– Od kiedy ma siostra te dolegliwości?

– Już ponad miesiąc. Mniej więcej od tego czasu, gdy rozmawiałam z przeoryszą o Fatimie.

– Myśli siostra, że jest systematycznie podtruwana?

– Nie mam na to dowodów. Jednak po każdym posiłku czuję się fatalnie, nękają mnie torsje, a ból w dolnej części brzucha trwa nawet kilka godzin. Coraz częściej pojawia się też wysoka gorączka.

– Rozmawiała siostra z kimś o tym?

– Nie, z nikim. Teraz wyjawiam to ojcu.

– Rozumiem. A czy przyjmuje siostra jakieś lekarstwa?

– Jedynie zioła. A ściśle mówiąc, mieszankę ziół.

– Sama siostra ją przyrządza?

– Nie. Dostaję ją z klasztornej kuchni.

– Sugerowałbym odstawienie ziół. Tak na wszelki wypadek.

– Podejrzewa ojciec herborystkę?

– Nikogo nie podejrzewam. Ale ostrożności nigdy dość. Na siostry miejscu zrezygnowałbym ze wszystkich wspólnych posiłków i zaczął jadać tylko te rzeczy, co do których ma siostra absolutną pewność.

– Czyli?

– Na szczęście mamy lato. Proszę spróbować jeść tylko owoce z sadu i warzywa z ogrodu. No, chyba że siostra ma zaufanie do piekarza czy mleczarza.

– Tak zrobię, ojcze.

– W takim razie proszę na siebie uważać.
– Mam jeszcze prośbę.
– Tak?
– Chciałabym powierzyć ojcu pewien sekret...

Kilka minut później José Aparício da Silva opuszczał celę Widzącej z Fatimy z kredowobiałą twarzą i włosami jeszcze bardziej siwymi niż przed godziną.

* * *

Watykan, sierpień 1927 roku

Fragment rozmowy:
– Za wszelką cenę trzeba odsunąć od niej jezuitę!
– Oczywiście, Ekscelencjo. Nowy spowiednik już jest w drodze.
– Co z da Silvą?
– Za kilka dni zostanie pilnie przeniesiony w głąb Brazylii.
– Dość daleko...
– Księże kardynale, ja nie uznaję półśrodków.
– A ten nowy, to kto?
– Jezuita, Roberto Rodrigues. Zapewniam, że to dobry wybór.
– Rozumiem, że będzie nas informował o wszystkim?
– Tak. Jeszcze raz zapewniam, że to idealny kandydat na przewodnika duchowego dla tej Portugalki.
– Mimo wszystko miej na niego oko.
– Wypada szpiegować szpiegującego?
– Osobiście odpuszczę ci ten grzech.

* * *

Dwudziestego piątego marca 1948 roku za specjalnym pozwoleniem papieża Piusa XII siostra Łucja odchodzi ze zgromadzenia św. Doroty i wstępuje do zakonu Najświętszej Marii Panny z Góry Karmel w Coimbrze. Tak oto z doroteuszki staje się karmelitanką.

* * *

Watykan, 1949 rok

Fragment rozmowy:

– Pozbądź się jej! – grzmiał kardynał.

– Jak to?

– Tak to! Czego, do cholery, nie rozumiesz? Nie widzisz, że sprawia coraz większe kłopoty, że uwiera jak kamień w bucie? Domaga się publikacji tajemnicy, chce rozmawiać z papieżem! Trzeba ją uciszyć! Raz na zawsze zamknąć jej usta! Tajemnica ma pozostać tajemnicą! I basta!

– Ekscelencjo, będzie jak Ekscelencja każe.

– Zanim tak gorliwie przystąpisz do wykonania zadania, znajdź zakonnicę maksymalnie do niej podobną.

* * *

Portugalia, Coimbra, 1949 rok

Dochodziła druga nad ranem, gdy wzdłuż muru klasztornego przebiegł cień. Nie minął kwadrans, a przez nikogo niezauważony pokonał kamienne ogrodzenie, przeciął dziedziniec i przez uchylone okno wślizgnął się do środka. Chwilę stał, wsłuchując się w panującą wokół ciszę, po czym wyruszył w dalszą drogę. Do celi zostało mu najwyżej dwieście, maksymalnie trzysta metrów. I ten odcinek pokonał bezszelestnie. Równie bezszelestnie otworzył drzwi i przyłożył poduszkę do twarzy zakonnicy. Tylko w tym jednym momencie ciszę skaleczył stłumiony jęk. Ale poduszka była mocno dociśnięta do twarzy. Wprawne dłonie cienia nie pozwoliły na najmniejszy błąd. Miał zabić i zabił.

* * *

Portugalia, 15 sierpnia 1960 roku

José Aparício da Silva wrócił do Portugalii, by piętnastego sierpnia wziąć udział w obchodach stulecia założenia nowicjatu jezuitów w Soutelo. Tego też dnia doznał największego rozczarowania w swoim życiu, albowiem nie pozwolono mu porozmawiać z siostrą Łucją.

* * *

Wyspa Ouessant, sobota

Drogi, jaką przebył Bassanti, nie ma po co opisywać. Lepiej skupić się na samej wyspie. Wypada jedynie wspomnieć, że nocnym pociągiem przeciął Francję ze wschodu na zachód. Tym sposobem nad ranem wylądował w Breście. Stamtąd pierwszym autobusem dotarł do Le Conquet. Teraz stał w porcie oparty o balustradę, palił i gapił się na malowniczą latarnię Kermorvan wieńczącą przylądek Finistère. Prom odpływał za kilka minut, dokładnie o siódmej trzydzieści pięć.

W Le Conquet było dość słonecznie. Bassanti miał nadzieję, że pogoda nie spłata mu figla i po drodze będzie mógł podziwiać piękne widoki. Ale jego nadzieje okazały się płonne. Ledwie minęli wyspę Molène, pogoda zaczęła się gwałtownie pogarszać. Wiatr wyraźnie ustał i, nie wiadomo skąd, pojawiła się mgła.

Do Ouessant dopłynęli otoczeni przez mlecznobiałą poświatę, która oblepiła statek, nie dając nic w zamian. Jedynie kompletna cisza przeszywana co rusz wyjącą syreną przypominała o toczącym się na morzu życiu. Bassanti miał wrażenie, że płynęli w zawieszeniu, że wokoło nic nie ma. Na szczęście było to tylko wrażenie, bo płynęli, tnąc gęstą kurtynę drobnych

kropelek wody, wprost ku klifom wyspy. Ale o tym wiedziały jedynie urządzenia nawigacyjne.

Dochodziła jedenasta, gdy jego stopy dotknęły nabrzeża, a wzrok próbował znaleźć jakiekolwiek kształty. Ponieważ nie tylko nie miał pojęcia, dokąd iść, ale w dodatku niewiele widział, postanowił ruszyć w ślad za innymi pasażerami, którzy razem z nim płynęli promem. Dobrze zrobił, bo już po kilku minutach jechał busem, ufając kierowcy, że ten – wiedziony chyba tylko instynktem – dowiezie ich na miejsce. Tym miejscem była wioska Lampaul. A w zasadzie sklep, który się w niej znajdował. Tam planował zrobić większe zakupy.

Wyjaśniono mu, że dom, który wynajął, stał na skraju wioski jednocześnie odgrywającej rolę stolicy wyspy, tuż przy drodze D81 Mez Ar Reun. Ale w panującej wokoło mgle odnalezienie go graniczyło z cudem. Chwilę błąkał się wzdłuż drogi, nim mijający go rowerzysta powiedział mu, że właściwie jest już na miejscu. Faktycznie kamienny budynek o niebieskich, drewnianych okiennicach pojawił się tuż przed nim, jak tylko skręcił z asfaltowej drogi na usypaną żwirem dość szeroką ścieżkę. Odszukał klucze, otworzył drzwi i wszedł do środka. Mgła, która jeszcze kilka sekund wcześniej otulała wszystko niczym płaszczem, zniknęła, a on poczuł się tak, jakby odzyskał wzrok.

Zarwana noc dała o sobie znać, bo ledwie zjadł odgrzaną w mikrofalówce pizzę, poczuł senność. Zasnął, jak tylko przyłożył głowę do poduszki. Obudził go szum deszczu. Przez chwilę wsłuchiwał się w jego miarowy dźwięk, ale tylko przez chwilę. Ciekawość, czy mgła ustąpiła, wygnała go z łóżka, nim zegar wskazał piątą. Mgła jednak królowała niepodzielnie. Przetarł zaspane oczy, ale i tak nic to nie dało. Mlecznobiała kurtyna opadła i nic nie wskazywało na to, żeby w najbliższym czasie miała się rozwiać. Cofnął się od okna zniechęcony i nieco rozżalony brakiem krajobrazu. Nie miał pojęcia, jak w takich warunkach trafić do Isazy. Na szczęście na jednym z regałów z książkami odnalazł mapę wyspy. Domek Isazy znajdował się w tej samej części, nieopodal latarni Créac’h. Skonstatował, że od Portugalczyka dzieliły go niecałe

dwa kilometry. To była dobra wiadomość. Idąc wzdłuż głównej drogi, nie powinien się zgubić. Postanowił zaryzykować. Nim się ubrał, przestało padać. Ledwie wyszedł, poczuł na twarzy delikatny wietrzyk. Do domu Isazy dotarł bez trudu. Ale Portugalczyka nie zastał. Obszedł jego zabudowania dwukrotnie, łudząc się, że być może wyjdzie on z któregoś budynku gospodarczego i będzie mógł zamienić z nim kilka słów. Ale spotkania się nie doczekał. Dom był zamknięty, a niewielkie gospodarstwo wyglądało na opuszczone. Postanowił zostawić Portugalczykowi krótką wiadomość. Bez względu na to, kiedy ten wróci, będzie wiedział, że Bassanti go szukał.

* * *

Wyspa Ouessant, niedziela

Ze snu wyrwało go miarowe dudnienie. Otworzył oczy. Upłynęła dłuższa chwila, zanim skojarzył, gdzie jest. Wstał z łóżka. Łomot się nasilał. Chwilę nasłuchiwał. Nie ulegało wątpliwości, że ktoś walił z całych sił w drewniane okiennice. Zdziwiło go to bardzo, bo na zewnątrz ledwie się rozwidniało. Spojrzał na zegarek. Dochodziła piąta trzydzieści. Dziwna pora jak na odwiedziny – pomyślał. Włożył spodnie i poczłapał do drzwi. Ledwie je otworzył, do środka wpadł niewysoki mężczyzna odziany w sztormiak, wodery i kalosze. I choć był ubrany jak ktoś, kto dopiero co wrócił z połowów, z łatwością można było zauważyć, że jest bardzo szczupły. Ubranie wisiało na nim jak na kiju. I tylko czerwona czapka przywodząca na myśl kapitana Cousteau pasowała do jego głowy jak ulał. Ogorzała od słońca twarz poprzecinana licznymi bruzdami i zmarszczkami była jak drogowskaz, z którego wynikało, że przybysz ma na karku co najmniej siedemdziesiątkę.

– Szukał mnie pan – rzucił, jednocześnie wyszarpując z kieszeni spodni kartkę.

Bassanti wziął od mężczyzny pognieciony papier i od razu rozpoznał swoje pismo.

– Pan Isaza? – Pytaniu towarzyszyło stłumione ziewnięcie.

– A niby kto? – W głosie Portugalczyka wyczuwało się szorstkość. Bassanti pomyślał, że albo jest on gburem, albo człowiekiem nienawykłym do kontaktów międzyludzkich.

– Byłem wczoraj u pana. Nazywam się Bassanti. Jestem... – Ale nie udało mu się dokończyć, bo w słowo wpadł mu Isaza:

– Wiem, kim pan jest. Ze dwa dni temu dzwonił do mnie Chiantini. Wspomniał, że pan przyjedzie. Wczoraj byłem na morzu, dlatego pan mnie nie zastał. Dopiero co wróciłem. Stąd mój ubiór.

– Rozumiem.

– Podobno chciał pan ze mną porozmawiać.

– Mam kilka pytań dotyczących Fatimy.

– Fatimy, powiada pan... – Portugalczyk nie próbował nawet ukryć zdziwienia. Jakby tego było mało, jeszcze bardziej usztywnił się w swojej postawie.

– Tak. Interesuje mnie też kwestia tajemnicy fatimskiej – Bassanti niezrażony brnął dalej – i samej siostry Łucji.

– Nie owija pan w bawełnę.

– Nie, nie owijam. Wolę, aby mój rozmówca, w tym wypadku pan, wiedział, po co przyjechałem. Nie mam czasu na krążenie wokół tematu. Jeśli pan nie chce ze mną rozmawiać, zrozumiem.

– Wprost przeciwnie. Spodobał mi się pan. Zjednał mnie pan tą swoją bezceremonialnością. Porozmawiam z panem. Czternasta panu odpowiada? – zapytał, jednocześnie zerkając na ukryty pod żółtym, gumowym rękawem sztormiaka zegarek.

– Jak najbardziej.

– W takim razie zapraszam. Skoro pan do mnie trafił we mgle, to tym bardziej dotrze pan w piękną pogodę – rzucił na odchodne.

– Myśli pan, że pogoda się poprawi?

– Ja to wiem. Za parę godzin będzie tu piękne słońce. Sam pan się przekona.

– Oby się pan nie mylił. – W głosie Bassantiego pobrzmiewała nuta niedowierzania.

Dom Ramóna Hernána Isazy znajdował się w tej samej części wyspy, niemalże w cieniu latarni Créac'h. Tradycyjnie parterowy, z pomalowanymi na niebiesko drewnianymi okiennicami, ukryty za kamiennym murkiem, który co jakiś czas przechodził a to w kolcolist, a to w krzak jeżyn, wyglądał jak z bajki. Marynistycznego charakteru dodawał mu umieszczony na dachu wiatrowskaz, tak zwany *giruette*, w kształcie galeonu z czerwonymi żaglami.

Była za kwadrans druga, gdy oczom Bassantiego ukazała się położona niedaleko Bourg de Lampaul klasyczna Phare du Créac'h. Kamienna wieża latarni pomalowana w biało-czarne poziome pasy, która jeszcze kilka minut wcześniej tonęła w chmurach, nagle – jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki – wyłoniła się z nich, ukazując całe swoje piękno. Chwilę stał urzeczony, podziwiając ją z oddali, nim ruszył w dalszą drogę. Jedna z najpiękniejszych latarni morskich świata działała nieprzerwanie od grudnia 1863 roku niecały kilometr od domu Portugalczyka.

Isaza już na niego czekał. Tym razem był ubrany w granatową bluzę z polaru oraz jeansy, spod których wystawały granatowe crocsy. Na nosie miał okulary w szylkretowej oprawie.

– Mówiłem, że będzie słońce – powiedział na powitanie.

– Muszę przyznać, że panu nie wierzyłem – odrzekł Bassanti.

– Błąd. Mieszkam na wyspie od końca lat osiemdziesiątych i o tutejszej pogodzie wiem chyba wszystko.

– Dlatego wypłynął pan na łowiska?

– Mgła nigdy mi nie była straszna. W końcu od czego są urządzenia nawigacyjne? Dawniej też sobie człowiek radził, ale teraz kutry naszpikowane są taką ilością elektroniki, że po morzu Iroise ślepy by mógł pływać.

Nagle Isaza zmienił temat, zjawiska meteorologiczne przestały go zajmować.

– Co pana tak naprawdę do mnie sprowadza?

– Chciałbym, aby pomógł mi pan rozwiązać sprawę śmierci brata.

– Nie bardzo rozumiem, jak miałbym pomóc. O śmierci pańskiego brata nic nie wiem. Cała moja wiedza sprowadza się do tego, co usłyszałem od Chiantiniego.

– Jak już wspomniałem, chciałbym wyjaśnić sprawę śmierci brata, dowiedzieć się, kto go zamordował lub pchnął ku samobójstwu, poznać powody jego decyzji, wreszcie ustalić, kto za tym stoi i co próbuje ukryć.

– Uważa pan, że ktoś upozorował samobójstwo? Dlaczego sądzi pan, że śmierć pańskiego brata nie jest zwykłym samobójstwem?

Początkowo Bassanti był zdziwiony, a może nawet rozczarowany postawą Portugalczyka. W końcu nie tego się spodziewał po osobie rekomendowanej przez Chiantiniego. Jednakże po chwili zastanowienia uznał jego postawę za typową, a zachowanie za naturalne i pozbawione wszelkich póz.

Chcąc nie chcąc, Bassanti postanowił odkryć wszystkie karty. W końcu Isaza miał mu pomóc, a nie zaszkodzić. Nie był wrogiem, a mógł zostać sprzymierzeńcem. Krótko zrelacjonował mu okoliczności śmierci brata, opowiedział o umorzonym śledztwie, ustaleniach poczynionych przez włoskich dziennikarzy, o tym, czego dowiedział się od siostry Ursuli, o jej przeniesieniu. Na koniec wyjawił Isazie, że od sercanki otrzymał plik zdjęć siostry Łucji (nie bardzo wiedział, co z nimi zrobić), zaś od Chiantiniego cztery rolki taśmy filmowej.

Gospodarz słuchał Bassantiego z uwagą, ale dopiero słowa dotyczące taśmy filmowej wywołały u niego prawdziwe zainteresowanie i wyraźnie się ożywił, jakby ubyło mu lat.

– Skąd pan ma te taśmy?

– Dostałem je od Chiantiniego.

– Nie o to mi chodzi. Skąd on je miał? Wie pan, od kogo je dostał?

– Nie, nie pytałem o to. On sam też o tym nie wspomniał. Czy to ważne?

– Nie mam pojęcia. Wie pan może, co na nich jest?

– Niestety nie. Na dwóch pudełkach widnieje napis „Roma” na kolejnych dwóch „Charleston”. Adnotacje uczynione są odręcznie mocno wyblakłym już tuszem.

– Co to za taśmy?

– Osiem milimetrów.

– Chodziło mi o wymiary pudełka. Zauważył pan może, ile cali?

– Dziewięć i siedem. To znaczy dwie dziewiątki i dwie siódemki.

– Dziewiątka to jakieś czterdzieści cztery minuty filmu, zaś siódemka to około dwudziestu pięciu minut.

– Czyli w sumie około stu czterdziestu minut?

– Plus minus. Jestem pewny, że będzie tego ponad dwie godziny. Ma je pan za sobą?

– Nie. Zostawiłem w domu.

– To nic. Obejrzymy je następnym razem.

– Ma pan sprzęt, na którym można to zrobić?

– Oczywiście. – Portugalczyk był szczerze ubawiony pytaniem Bassantiego. – O to niech pana głowa nie boli. A wracając do powodów pana wizyty, to co chce pan wiedzieć? Co tak naprawdę pana interesuje?

– Szczerze? Nie wiem, po jaką wiedzę sięgnąć, o co zapytać, na co skierować rozmowę, co może mi się przydać do rozwiązania tej sprawy. Nie mam pojęcia również, co pan ma do zaoferowania, czym mógłby się pan za mną podzielić, co opowiedzieć bez narażania siebie na niebezpieczeństwo czy jakiekolwiek problemy. Tak naprawdę to chciałbym zrozumieć niezrozumiałe.

– I myśli pan, że po rozmowie za mną tak się stanie?

– A nie?

Isaza zbył pytanie uśmiechem. Stali jeszcze kilka sekund przed domem, po czym weszli do środka. Przywitał ich zapach gotowanych warzyw. Bassanti był słabym kucharzem i nie potrafił sobie nawet wyobrazić, co mógł na jego przyjście przygotować gospodarz. Ten, widząc jego zdziwioną minę, pospieszył z wyjaśnieniem:

– To gulasz *cotriade*. Za jakieś dziesięć, piętnaście minut będzie gotowy.

– Kompletnie nic mi to nie mówi.

– Nieważne. Zanim siądziemy do stołu, chciałbym pokazać panu kilka rzeczy. Po rozmowie z Chiantinim przekopałem cały dom w poszukiwaniu śladów z przeszłości. Cały strych mam zawalony różnymi pudłami. Prawie dwa dni zajęło mi ich porządkowanie. W pokoju obok stoi sporych rozmiarów karton, a w nim sterty zdjęć papieży Jana XXIII, Pawła VI, papieskich oficjeli, ważniejszych dostojników kościelnych, siostry Łucji, wycinki z gazet oraz notatki. Uznałem, że przyda się to panu.

– Będę wiedział, co z tym zrobić?

– Jestem pewny, że tak. Najpierw jednak proponuję usystematyzować informacje. Trzeba to zrobić, aby unaocznić panu rolę Kościoła w tej historii. – Isaza bardzo szybko wszedł w rolę prelegenta, jakby całe życie czekał na chwilę, w której będzie mógł się podzielić swoimi wiadomościami, przypuszczeniami i teoriami. – Teraz porozmawiamy o siostrze Łucji i zawirowaniach wokół niej. We wtorek spotkamy się ponownie. Pasuje panu taki termin? Będzie pan chyba jeszcze na wyspie?

– Oczywiście.

– Wtedy opowiem panu o tajemnicy fatimskiej, jej historii, wariantach i próbie ukrycia jej treści. Zaznaczam jednak, że moja wiedza w tym zakresie jest ograniczona. Nigdy tak naprawdę nie interesowałem się tym w jakimś szerszym aspekcie. Jako katolik chyba powinienem, ale przyznam szczerze, że nigdy nie kusiło mnie, aby węszyć wokół tej sprawy. Znam kogoś, kto to robi, i to mi zupełnie wystarczy.

– Mogę zapytać, czym pan się zajmował w przeszłości?

– Ależ tak. Byłem dziennikarzem. Początkowo pracowałem jako wolny strzelec. Potem, gdy wyrobiłem sobie odpowiednią pozycję, a moje nazwisko stało się znane, zostałem akredytowanym dziennikarzem przy nuncjaturze papieskiej w Lizbonie. Przeprowadzałem wywiady, fotografowałem, kręciłem filmy. Ale to dawne dzieje.

– Czyli był pan blisko Kościoła?

– Tak. Kiedyś byłem blisko Kościoła, teraz jestem blisko Boga.

– To dlatego zgodził się pan za mną porozmawiać?

– Opowiem panu pewną historię. Sam pan wyciągnie wnioski. W moim wieku nie ma sensu trzymać tajemnic tylko dla siebie. Po telefonie Chiantiniego dużo nad tym wszystkim myślałem. Doszedłem do wniosku, że nie mam nic do stracenia, że pewne rzeczy muszą wreszcie ujrzeć światło dzienne, muszą wyjść na jaw.

– Nie będzie pan żałował?

– Wysłucha pan mojej opowieści, a potem sam zdecyduje, co z nią zrobić. Gdyby potrzebował pan pomocy albo wiedzy, umówię pana z odpowiednią osobą. Ale o tym zdecyduje pan. Nie zamierzam niczego sugerować. Musi pan wiedzieć tylko tyle, że mierzy się z bardzo potężnym przeciwnikiem.

Cotriade okazał się wyśmienity. Specjalność rybna z południowej Bretanii była czymś w rodzaju tradycyjnego *bouillabaisse* z Marsylii. Popularne gatunki ryb, trochę skorupiaków i warzywa dodane do tradycyjnego przepisu sprawiły, że potrawa stała się jeszcze smaczniejsza. Towarzyszące jej grzanki z kozim serem posypane solą morską dopełniały uczty.

– Im dłuższa lista ryb, tym lepszy *cotriade* – wyjaśniał Isaza. – Jestem południowcem i jedyną rzeczą, którą zmieniłem w przepisie, jest zastąpienie ziemniaków warzywami. Nie uznaję ziemniaków w zupie. Zamiast nich dodaję pomidory, czosnek, cebulę i oliwki. Do tego oczywiście obowiązkowy *bouquet garni*.

– Co to takiego?

– Bukiet ziół. Składa się z jednej części tymianku, jednej części liści laurowych i ośmiu części pietruszki. Wszystko owinięte sznurkiem, by nie rozpadło się w gotowaniu.

Jak przystało na człowieka, który dokumentował największe katolickie wydarzenia w Portugalii, asystował przy większości kluczowych momentów dla Kościoła Katolickiego w tym kraju, ukryty za obiektywem rejestrował to, o czym zwykły śmiertelnik może tylko pomarzyć. Isaza dysponował olbrzymią wiedzą. I ewidentnie chciał się nią podzielić, ewidentnie chciał ją przekazać Bassantiemu. I robił to doskonale. Wspomnienia, które w nim odżyły, co rusz przychodziły mu z pomocą, co rusz też sięgał do kartonowego pudła, by pokazać swojemu gościowi

ten czy inny wycinek z gazety dokumentujący to czy inne wydarzenie. A Bassanti słuchał, robił notatki i znów słuchał.

Siedzieli w jednym z pokojów, w wygodnych fotelach klubowych ustawionych na wprost siebie i rozmawiali, popijając calvados. A w zasadzie Bassanti siedział wsłuchany w monolog Isazy:

– Cyrk wokół siostry Łucji zaczął się jeszcze w latach pięćdziesiątych. Lata sześćdziesiąte to przejęcie przez Watykan całkowitej kontroli nad tą zakonnicą. Potem było już tylko gorzej. Najpierw jednak fakty. Potem przypuszczenia, może nawet odrobinę teorii spiskowych.

– Zamieniam się w słuch.

– Jak już wspomniałem, wszystko zaczęło się na początku lat pięćdziesiątych, a dokładniej w 1952 roku. Wtedy to papież Pius XII posłał austriackiego jezuitę i teologa, ojca Schweigla, do Fatimy w celu zbadania kolejności objawień. Wykładowca Papieskiego Uniwersytetu Gregoriańskiego, w skrócie *Gregorianum*, otrzymał również polecenie przesłuchania siostry Łucji. Tematem była oczywiście trzecia tajemnica fatimska. Jezuita wypełnił powierzoną mu misję i spotkał się z siostrą Łucją drugiego września 1952 roku.

– Wiadomo, co takiego wyjawiła mu zakonnica?

– Nie.

– Jak to?

– Ojciec Schweigl zmarł w 1964 roku i tak się składa, że zabrał tajemnicę do grobu. Z kolei Święte Oficjum już w 1952 roku... przypominam, że wywiad miał miejsce we wrześniu... nałożyło embargo na publikację rozmowy z siostrą Łucją. *Nota bene* obowiązuje ono do dziś.

– Ktoś chyba musiał poznać relację z tego spotkania?

– Pewnie tak. Zakładam, że zarówno papież, jak i kilku dostojników kościelnych doskonale znali przebieg rozmowy. Tyle że nikt z nich nie miał interesu w upublicznieniu jej treści.

– Zmowa milczenia?

– Raczej próba ukrycia prawdy.

– Nikt inny nigdy nie próbował porozmawiać z siostrą Łucją?

– Próbował, ale z zerowym skutkiem. Zgodę wydawał sam papież, a jak wiemy, Watykan robił wszystko, aby do zakonnicy nikogo nie dopuścić.

– Nikomu nie udzielono nigdy zgody?

– Udzielono. Doszło do tego również w latach pięćdziesiątych.

– Kto otrzymał pozwolenie? Od kogo? Na jakich warunkach? – Bassanti dosłownie zalał Isazę pytaniami.

– Otrzymał je ojciec Augustine Fuentes.

– Kto to?

– Postulant w procesie beatyfikacyjnym Hiacynty i Franciszka.

– Dwójki Widzących?

– Dokładnie. Zgodę na kontakt ze świadkiem objawienia dał sam papież. Postulator odbył dwie rozmowy z siostrą Łucją. Pierwsza miała miejsce dziesiątego sierpnia 1955 roku, druga zaś ponad dwa lata później, dwudziestego szóstego grudnia 1957 roku.

– Znana jest treść tych rozmów?

– Tak. O dziwo, za zgodą władz kościelnych opublikowano treść rozmowy ojca Fuentesa z siostrą Łucją. Nastąpiło to wprawdzie w Stanach Zjednoczonych na łamach czasopisma ojca Ryana „Fatima Findings”, ale jednak – mówiąc to, Isaza zaczął czegoś usilnie szukać w jednej z papierowych teczek wypełniających kartonowe pudło. – Wywiad – kontynuował, odnalazłszy pożółkłą gazetę – został również opublikowany na łamach portugalskiego dziennika „A Voz”. Proszę, niech pan spojrzy – powiedział, wręczając Bassantiemu stary egzemplarz czasopisma.

– Niestety nie znam portugalskiego...

– To nic. Wszystko panu przetłumaczę. Proszę tylko pobieżnie przekartkować. To dowód, że mówię prawdę.

– Nawet nie przyszło mi do głowy kwestionować pańskie słowa. Wierzę panu. Proszę mi lepiej powiedzieć, czemu tym razem zdecydowano się upublicznić treść rozmowy? Czemu tym razem Watykan niczego się nie obawiał? Co się zmieniło przez te trzy, góra pięć lat?

– Zaskoczę pana. Wywiad udzielony przez ojca Fuentesa został objęty pierwszą wielką cenzurą i wywołał pierwszą

prawdziwą polemikę w Kościele. I choć wywiad był opatrzony kościelną aprobatą, kuria w Coimbrze na początku 1959 roku opublikowała bardzo ostrą ocenę działań ojca Fuentesa. Kuria grzmiała między innymi, że postulator w procesie dwojga pastuszków pozwolił sobie na zbyt wiele.

– A mianowicie?

– Oskarżono go o publikowanie mocno sensacyjnych oświadczeń o charakterze profetycznym, eschatologicznym, wręcz apokaliptycznym, które rzekomo miał usłyszeć z ust samej Widzącej.

– Przecież była akceptacja? Przecież, zanim udzielił wywiadu, otrzymał aprobatę?

– Oczywiście. *Imprimatur* udzielił arcybiskup Vera Cruz.

– Co zrobił Fuentes?

– Złe pytanie. Powinien pan raczej zapytać, co zrobiono z Fuentesem?

– Polowanie na czarownice?

– Tak właśnie było. Wkrótce po ukazaniu się artykułu rozpoczęła się nagonka na księdza Fuentesa. Z kurii w Coimbrze wyszedł anonim, autora nigdy nie ujawniono, a ten oskarżał ojca Fuentesa o manipulację, przekręcanie faktów i wymyślenie całych fragmentów rozmowy.

– Co się stało z Fuentesem?

– Został odsunięty od powierzonego mu zadania. Odebrano mu funkcję postulatora procesu beatyfikacyjnego. – Mówiąc to, Isaza ponownie zanurkował w pudle. Wreszcie wyprostował się, trzymając w ręce wycinek z kolejnej portugalskiej gazety. Tym razem było to jakieś katolickie czasopismo lokalnej parafii. – Proszę posłuchać fragmentu. Zaraz go panu przetłumaczę: „Szatan jest w nastroju, by rozpocząć decydującą walkę przeciwko Najświętszej Dziewicy. A ponieważ zna to, co najbardziej obraża Boga, w krótkim czasie zawładnie dla siebie największą liczbę dusz. Czyni on to wszystko, by zawładnąć [przede wszystkim] duszami konsekrowanymi dla Boga, ponieważ w ten sposób doprowadzi do upadku dusz wiernych opuszczonych przez swoich [duchowych] przywódców, przez co tym łatwiej będzie mógł nimi zawładnąć”.

– Wygląda na to, że wypowiedź siostry Łucji jest kwintesencją całego przesłania fatimskiego.

– Ta, którą zacytowałem, owszem.

– To znaczy?

– Ledwie wyschła farba drukarska, kuria ogłosiła oświadczenie siostry Łucji, w którym ta kategorycznie wszystkiemu zaprzeczyła.

– Zanegowała publikację?

– A jakżeby inaczej. Oczywiście najwięksi badacze Fatimy, jak ojciec Alonso, a nawet następca Fuentesa, postulator ojciec Luis Kondor, twierdzili zgodnie, że opublikowana treść rozmowy z siostrą Łucją była prawdziwa, a ojciec Fuentes oddał jej rzeczywistą treść.

– Kłamstwa wyszły z Kurii Biskupiej?

– Niestety tak.

– Wygląda na to, że odkąd Watykan przejął całkowitą kontrolę nad świadkiem objawienia, wszystko odbywało się wbrew temu, o co prosiła Matka Boża.

– Cóż... w końcu Stolica Apostolska dopięła swego i trzeciej tajemnicy fatimskiej nie tylko nie ujawniono, ale i samą siostrę Łucję zmuszono do milczenia.

– Jak to?

– Alienacja, nakaz milczenia, zakaz kontaktów ze światem oraz ze spowiednikiem. To z grubsza tyle.

– Od kiedy?

– Od mniej więcej 1960 roku Watykan przejął całkowitą kontrolę nad siostrą Łucją. Najpierw zablokowano dostęp do jej zapisków, potem do niej samej.

– A rodzina? Nie miała żadnego rodzeństwa? Żadnych krewnych?

– Miała. Jej rodzona siostra Karolina twierdziła, że już w pięćdziesiątym ósmym roku ograniczono jej spotkania z Łucją. Widzenia były udzielane bardzo rzadko, siostry nigdy nie mogły przebywać same i zawsze dzieliła je spora odległość.

– Mocno to podejrzane. Proszę mnie poprawić, bo mogę się mylić, ale po wysłuchaniu pańskiej opowieści nasuwają się wątpliwości, co do tożsamości siostry Łucji.

– Chodziły słuchy, że prawdziwa siostra Łucja została zamordowana. Jedni podawali, że Watykan usunął ją w czterdziestym dziewiątym roku, inni że pozbyto się jej dziesięć lat później, być może jeszcze w pięćdziesiątym ósmym, najdalej w pięćdziesiątym dziewiątym. Niektórzy sugerują nawet, że ojciec Fuentes spotkał się z sobowtórem Widzącej.

– Myśli pan, że to prawda? Że Watykan posunął się do czegoś takiego? Że w miejsce siostry Łucji podstawiono jakąś kobietę, która przejęła jej tożsamość?

– Nie wiem, szczerze powiedziawszy, nie wiem. Coś jest chyba na rzeczy, bo siostra Łucja, mimo że rozpoczęto proces beatyfikacyjny, nie została błogosławiona ani tym bardziej kanonizowana. W przeciwieństwie do pozostałej dwójki.

– Faktycznie. Przecież i Hiacynta, i Franciszek zostali błogosławieni.

– Jeśli to prawda – kontynuował Isaza – to jest to jedno z największych fałszerstw w dziejach Kościoła Katolickiego. Gdyby to dotyczyło kogoś innego, pewnie sprawa by się rozmyła, ale niestety mamy do czynienia z bardzo ważną osobą w tej historii, ze świadkiem objawienia, posłańcem orędzia fatimskiego.

– Dlatego logika zawodzi? Dlatego logiczne wnioski stają się mniej logiczne?

– Tak, właśnie dlatego. Ciężko uwierzyć, że instytucja kościelna dopuściła się czegoś tak nikczemnego. Przecież część wysoko postawionych hierarchów musiała o tym wiedzieć.

– Kto mógł zlecić jej zabójstwo?

– Mówiono, że zlikwidowano ją z rozkazu kościelnej masonerii, a główną przyczyną mordu na karmelitance była trzecia tajemnica fatimska.

– Masoneria nie chciała dopuścić do jej ujawnienia? Ale dlaczego?

– Bo to by jej pokrzyżowało plany przejęcia Kościoła od wewnątrz.

– Kiedy siostra Łucja, mam na myśli tę prawdziwą, była widziana po raz ostatni?

– Prawdopodobnie w 1957 roku i prawdopodobnie to ojciec Fuentes był ostatnią osobą, która widziała prawdziwą siostrę Łucję. Podmiana nastąpiła między 1957 a 1967 rokiem, choć pierwsze wątpliwości co do tożsamości siostry Łucji pochodzą dopiero z roku 1992.

– Jak to możliwe, że przez tyle lat nikt się nie zorientował, nie poddawał nawet w wątpliwość oficjalnej narracji?

– Może to zasługa ścisłej klauzury?

– Wątpliwości pojawiają się w 1992, prawda?

– Tak.

– A kiedy po raz pierwszy zjawia się na scenie „nowa" siostra Łucja?

– Trzynastego maja 1967 roku, dokładnie w pięćdziesiątą rocznicę objawień fatimskich.

– Ta kobieta nigdy nie udzieliła żadnego wywiadu? Nie występowała publicznie?

– Udzieliła. Zaprzeczyła w nim kilku istotnym punktom przesłania fatimskiego, zanegowała fakt jego ogłoszenia w 1960 roku i stwierdziła, że papież miał prawo zachować tajemnicę tylko dla siebie.

– Czyli stwierdziła coś zgoła odmiennego niż jeszcze dziesięć, piętnaście lat wcześniej?

– Jej twierdzenia w zasadzie przeczyły wszystkiemu. Jej wypowiedź była nie tylko nieakceptowalna dla „tradycyjnych" katolików, ale wręcz nie do przyjęcia. Po wywiadzie pojawiły się nawet głosy, że to nie siostra Łucja udzieliła wywiadu, a jakaś kobieta, która się pod nią podszyła.

– Co zrobił Watykan?

– Błyskawicznie zmieniono narrację. Okazało się, że to tłumacz wszystkiemu zawinił, że wywiad udzielony przez świadka objawienia został źle przetłumaczony.

– Czyli tym razem to tłumacz poniósł odpowiedzialność za zniekształcenie słów Widzącej?

– Cóż... Watykan za wszelką cenę chce ukryć prawdę o trzeciej tajemnicy fatimskiej i wygląda na to, że zrobi wszystko, aby to osiągnąć.

– Nie wie pan, czy ta podstawiona Łucja jeszcze żyje?

– Zmarła niedawno. Podobno po jej śmierci pokój, który zajmowała, został zapieczętowany na polecenie papieża.

– Kolejna zagadka. Skąd pan o tym wie?

– Mam swoje kontakty. – Tym razem uśmiech Isazy był o wiele bardziej tajemniczy.

Zanim Bassanti opuścił dom Isazy, otrzymał od emerytowanego dziennikarza kolejny stos zdjęć karmelitanki oraz namiary na francuskiego inspektora policji.

– To na wypadek, gdyby zapragnął pan węszyć wokół tej sprawy – powiedział Portugalczyk, wręczając Bassantiemu tekturowe pudło z fotografiami zakonnicy oraz wizytówkę specjalisty od antropometrii.

Bassanti nie krył zdziwienia. W końcu Isaza zachowywał się tak, jakby od dłuższego czasu przygotowywał się na takie spotkanie, jakby Bassanti był narzędziem służącym do odkrycia prawdy o świadku objawienia, jakby Isaza zakładał, że bez względu na wszystko jego gość będzie podążał wskazanym tropem.

– Proszę nie zapomnieć o naszym wtorkowym spotkaniu. W poniedziałek płynę na sąsiednią wyspę. Mam kilka spraw do załatwienia na Île-Molène. Gdyby się pan nudził, proszę się wybrać na spacer północnym wybrzeżem. W okolicach Pointe de Cadoran są całe kolonie szarych fok.

Przez całą drogę powrotną i wieczór Bassanti rozmyślał o tym, co usłyszał od Isazy. Nim się położył, zanotował kolejne pytania:

Dlaczego podmieniono siostrę Łucję?
Co się stało z prawdziwą siostrą Łucją?
Kim była kobieta podająca się za siostrę Łucję?
Kto wydał decyzję o operacji na taką skalę?
Dlaczego nikt nigdy nie protestował?

* * *

Londyn, noc z niedzieli na poniedziałek

Włamywacza dostrzegła madame Chantal. To ona wstała w nocy do toalety i dostrzegła migające światło latarki w mieszkaniu Bassantiego. Wreszcie to ona stała przez chwilę ukryta za zasłoną i wezwała policję. Jednak patrol zjawił się dopiero po kwadransie. Całe dziesięć minut po tym, jak włamywacz opuścił dom antykwariusza. Policjanci zastali otwarte drzwi. Zamki oczywiście nie nosiły śladów uszkodzeń.

Wydawało się, że ktoś otworzył drzwi oryginalnym kluczem.

Dom wyglądał, jakby przeszło przez niego tornado. Wszędzie walały się porozrzucane rzeczy. Pewne było jedno – ktoś tu usilnie czegoś szukał. Nasuwa się pytanie, czy znalazł?

* * *

Fragment rozmowy:

– Nie ma.

– Jak to nie ma?

– No po prostu nie ma. Nie wiem, gdzie to schował. Przetrząsnąłem cały dom i nie znalazłem.

– Może ma to ze sobą?

– Cholera go wie.

– Prosiłem, aby pan przy mnie nie przeklinał.

– Wyspowiadam się przed księdzem w stosownym czasie.

– Gdzie on teraz może być?

– Nie mam pojęcia. Nie ma go ani w Londynie, ani w Rzymie.

– Tyle to i ja wiem.

* * *

Wyspa Ouessant, poniedziałek

Obudził go dzwonek telefonu. Dzwoniła madame Chantal. Gdy rozpoczynał rozmowę, był totalnie nieprzytomny, gdy ją

zakończył – przytomny jak nigdy. Czyżby szukano taśm Chiantiniego? – zastanawiał się na głos.

Dzień minął mu na włóczeniu się po wyspie. Najpierw odwiedził Pointe de Cadoran. Tam niczym dziesięciolatek podziwiał baraszkujące w wodzie i wylegujące się na skałach szare foki. Potem skierował kroki do latarni Phare du Créac'h oraz Musée des Phares et Balises, gdzie w budynku dawnej maszynowni podziwiał zbiór boi. Ekspozycja w muzeum zrobiła na nim spore wrażenie. W końcu brzegi wyspy znaczone są historiami dziesiątek morskich katastrof. Jest o czym czytać i co oglądać. Następnie udał się do Lampaul. Tam zjadł obiad i zrobił zakupy. Do domu wrócił przed osiemnastą.

W trakcie kolacji przerzucał zdjęcia otrzymane od siostry Ursuli i Portugalczyka. Po raz kolejny przeglądał też własne notatki. Wizytówka, którą dostał od Isazy, wciąż jednak leżała na stole. Przeczytał z uwagą wytłoczone na niej imię i nazwisko: Philippe Edery. Wreszcie schował ją do notesu i włączył telewizor. Kryminał, na którym się zatrzymał na dłużej, okazał się mocno przewidywalny, wręcz nudny. Sen zmorzył go przed północą.

* * *

Wyspa Ouessant, wtorek

Dochodziła piętnasta, gdy jego oczom ukazał się dom Isazy. Zanim jednak wszedł przez furtkę dzielącą gospodarstwo emerytowanego dziennikarza od drogi, do jego nozdrzy doleciał zapach palonego drewna. Odszukał wzrokiem źródło dymu. Kamienny, murowany grill pracował pełną parą. Przy nim uwijał się Portugalczyk.

Ledwie Bassanti postawił nogę na terenie Isazy, ten od razu dostrzegł swojego gościa.

– Chyba ubrał się pan trochę za ciepło? – zaczął Isaza, mający na sobie spodenki do kolan, crocsy i koszulkę polo.

– Chyba tak – przyznał Bassanti, zdejmując goreteksową kurtkę i spoglądając na długie jeansy i zbyt grube trekkingowe buty, jakie miał na stopach. – Nie umiem się tu ubrać adekwatnie do pogody. Wygląda na to, że kompletnie się na niej nie znam i nie potrafię przewidzieć ani temperatury, ani tego, czy będzie padać. Cóż z tego, że sprawdzam pogodę. Ona jest zbyt dynamiczna jak na mój gust. Kapituluję wobec niej. Wolę mieć coś ciepłego na sobie i to zdjąć, niż marznąć.

– Rozumiem – powiedział gospodarz, taksując wzrokiem Bassantiego. – A teraz zapraszam do stołu. Zaraz podam coś pysznego.

– Czyżby przyjął pan sobie za punkt honoru wyżywienie mnie?

– Nie, ale lubię gotować. Lubię również przyjmować gości i serwować im różne dania. Dla mnie to przyjemność.

– Nie znoszę gotować – przyznał Bassanti.

– To się dobrze składa. Postanowiłem, że dziś spróbuje pan sardynek. Od czerwca do września można je podawać prosto z morza. To idealny czas na ich degustację.

– Będziemy jeść grillowane sardynki?

– Tak, tradycyjny portugalski przepis i równie tradycyjne portugalskie danie. Na klasycznym opalanym drewnem grillu. Nie jakimś tam węglu drzewnym polewanym cuchnącą podpałką. Za chwilę powinny być gotowe. Teraz podam oprószone solą i świeżo zmielonym pieprzem. Oczywiście z dodatkiem *salada mista*.

– Czego?

– To sałata lodowa, ogórek, pomidor i cebula skropione oliwą i octem winnym.

– Zapowiada się znakomicie.

– To nie wszystko. Potem podam drugi wariant sardynek.

– Myśli pan, że my to wszystko zjemy?

– Oczywiście. Celowo nie podam pieczywa. Bazą posiłku są sardynki i to na nich się skupimy. A nawet nie my, ale nasze kubki smakowe. Drugą porcję natrę masłem i skropię oliwą. Sam pan zobaczy, jak odmiennie smakują... Gruba morska sól

oraz gałązki rozmarynu, tymianku i ząbki czosnku w koszulkach rzucone tu i ówdzie nadadzą im niespotykany smak.

– Już się nie mogę doczekać.

– Zatem zapraszam do stołu. Zaraz otworzę butelkę czerwonego wina i będziemy mogli spokojnie porozmawiać. Proszę dać mi chwilę.

Jak tylko sardynki pojawiły się na drewnianym stole ustawionym w samym rogu zadaszonej werandy, a wino na dobre zagościło w kieliszkach, rozpoczęła się rozmowa.

– Zanim zacznie pan opowiadać o trzeciej tajemnicy fatimskiej, muszę panu coś powiedzieć.

– Coś się stało? – Isaza wydawał się mocno zaniepokojony.

– Wczorajszej nocy ktoś włamał się do mojego londyńskiego mieszkania.

– Coś zginęło?

– Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że cały dom został zdemolowany. Ewidentnie czegoś szukano. Mam nawet pewne podejrzenia.

– Myśli pan, że szukano taśm, które dał panu Chiantini?

– Albo tego, co dostałem od siostry Ursuli.

– Stawiałbym na taśmy. Chce je pan dziś obejrzeć?

– Nie. Wolałbym, aby najpierw opowiedział mi pan o tajemnicy fatimskiej. Dopóki taśmy znajdują się u pana, są bezpieczne. Nic nie stoi na przeszkodzie, abyśmy obejrzeli je w najbliższym czasie.

– W takim razie zrobimy to jutro. Dziś i tak pewnie byśmy nie obejrzeli całości, bo muszę jeszcze skoczyć do miasta odebrać pocztę.

– Spokojnie. Skoro mogły tyle poczekać, poczekają jeszcze jeden dzień. O której miałby pan czas, żeby je obejrzeć?

– Obojętne. Ale chyba wolałbym po południu. Może tak jak dziś? Piętnasta panu pasuje?

– Jak najbardziej.

– No to jesteśmy umówieni. A teraz zajmijmy się tajemnicą fatimską.

I tym razem Isaza opowiadał z pamięci, nie sięgając do żadnych dokumentów. Referował tak, jakby czekał na tę chwilę

od lat, jakby czekał, aż coś lub ktoś uruchomi lawinę informacji.

– W połowie października 1943 roku – zaczął – biskup diecezjalny Leirii, José Alves Correira da Silva wydał siostrze Łucji ostateczne, formalne polecenie spisania trzeciej tajemnicy. Ale minęły blisko trzy miesiące, nim otrzymał informację o ukończeniu zadania. Było to dokładnie dziewiątego stycznia czterdziestego czwartego roku. Pierwszy dokument z opisem wizji został spisany przez siostrę Łucję trzeciego stycznia, drugi zaś, zawierający słowa Matki Bożej, które wyjaśniają wizję, ukończono dziewiątego stycznia albo kilka dni wcześniej. Orędzie zostało zapisane na zwykłej kartce papieru, wyjaśnienia zaś do wizji w notatniku.

– Prorocze ostrzeżenie, które Matka Chrystusa dała Kościołowi i światu zostało skreślone w kilku linijkach? – Bassanti nie krył niedowierzania.

– Tak. Wbrew temu, co wszyscy sądzą, proroctwo nie było zbyt obszerne w swej treści. Siostra Łucja spisała je, a później zachowała do czasu odebrania go przez posłańca biskupa da Silvy. Arcybiskup Manuel Maria Ferreira da Silva otrzymał tajemnicę fatimską z rąk Łucji dokładnie siedemnastego czerwca. Tuż przed przekazaniem biskupowi Lerii-Fátimy zapieczętowanej koperty z trzecią częścią tajemnicy siostra Łucja napisała na zewnętrznej kopercie, że można ją otworzyć dopiero po 1960 roku. Jeszcze tego samego dnia, to jest siedemnastego czerwca, arcybiskup wręczył kopertę swojemu przełożonemu, a biskup da Silva złożył ją w sejfie.

– Strasznie dużo tych da Silvów.

– To bardzo popularne nazwisko w Portugalii.

– Rozumiem. Jak długo tam leżała?

– Do roku 1957.

– Czy to pewna informacja?

– Wydaje się, że tak. Biskup da Silva pokazał kopertę kilku uprzywilejowanym osobom. Jedną z nich był dziennikarz amerykańskiego czasopisma „Life”, M. Pazen, który sfotografował kopertę. Zdjęcie opublikowano trzeciego stycznia 1949 roku.

– Z tego, co pan mówi, wynika, że istnieją dwa manuskrypty trzeciej tajemnicy.

– Tak. Zresztą sama siostra Łucja też potwierdziła, że istnieją dwa manuskrypty. Jeden to napisany na pojedynczej kartce papieru list, a drugi to ten znajdujący się w notatniku.

– Oba miały zostać ujawnione w roku 1960?

– Wydaje się, że tak. Zarówno biskup da Silva, jak i ordynariusz Leirii i patriarcha Lizbony, kardynał Cerejeira, kierując się wskazówkami danymi przez Matkę Bożą za pośrednictwem siostry Łucji, zapowiedzieli, że trzecią tajemnicę ujawnią właśnie wtedy. Także ojciec Valinho, bratanek siostry Łucji, potwierdził, że relacji dotyczącej trzeciej tajemnicy towarzyszył list, w którym ciotka pisała, że Matka Boża zastrzegła, iż tajemnicę można ujawnić w tymże czasie.

– I co się stało?

– Jak to co? Oczywiście interweniowało Święte Oficjum.

– W Watykanie postanowiono „chronić” tajemnicę?

– Dokładnie. Dlatego zamknięto ją na dobre w kasie pancernej.

– Kiedy to się stało?

– Wszystko zmieniło się w roku pięćdziesiątym siódmym. Wtedy to Kongregacja Nauki Wiary, czyli Święte Oficjum, zażądała kopii wszystkich pism Łucji wraz z tajemnicą.

– Watykan się obudził?

– Tak. Za pośrednictwem nuncjusza Cento Watykan zażądał przekazania sekretu. Biskup diecezjalny Leirii, José Alves Correira da Silva zlecił to biskupowi pomocniczemu Leirii, Joâo Pereirze Venâncio. Ten, po otrzymaniu tekstu tajemnicy, gnany ciekawością obejrzał powierzoną mu kopertę pod silnym światłem żarówki. Udało mu się zobaczyć pojedynczą kartkę z marginesami o szerokości jakichś trzech czwartych centymetra z obu jej stron. Kartkę zapisano drobnym odręcznym pismem. Następnie skontaktował się z nuncjuszem apostolskim Fernando Cento i osobiście wręczył mu kopertę. Ten ostatni, z kolei, przekazał ją prefektowi Kongregacji Nauki Wiary kardynałowi Alfredo Ottavianiemu. Dokumenty ostatecznie

dotarły do Rzymu szesnastego kwietnia 1957 roku. Tego też dnia kuria Leirii otrzymała potwierdzenie ich odbioru.

– Czy koperta trafiła do słynnego archiwum Świętego Oficjum?

– Dobre pytanie. I tak, i nie.

– To znaczy?

– Pewne jest, że papież Pius XII polecił umieścić ją w swoim apartamencie. Arcybiskup Pierre Caillon otrzymał taką informację z ust dziennikarza Roberta Serrou.

– Od dziennikarza?

– Tak. Serrou to francuski dziennikarz, który udał się do Watykanu w celu zrobienia dokumentu o papieskich apartamentach dla „Paris Match". Zlecenie dostał zaledwie miesiąc po tym, gdy słynna koperta została dostarczona do Watykanu. Dziennikarz dostał pozwolenie, a potem pod nadzorem siostry Pasqualiny miał możliwość zwiedzenia papieskich apartamentów.

– Co to za kobieta? – Bassanti niezbyt taktownie przerwał opowieść Isazy.

– Matka Pasqualina to przełożona sióstr zajmujących się gospodarstwem domowym papieża, a zarazem powiernica jego tajemnic.

– Krótko mówiąc, ktoś zaufany?

– I to bardzo. Jak już nadmieniłem, to właśnie pod jej nadzorem dziennikarz odwiedził papieski apartament. Wtedy też natknął się na stojącą na stole drewnianą kasetkę z napisem „Secretum Sancti Officii", czyli tajemnica Świętego Oficjum. Zapytawszy o to siostrę Pasqualinę, usłyszał, że to trzecia tajemnica fatimska. Proszę chwilę zaczekać. Zaraz panu coś przyniosę – powiedział Isaza, raptownie wstając od stołu, i ruszył w kierunku domu. – Proszę spojrzeć na te fotografie – kontynuował Portugalczyk, gdy wrócił z gazetami. – „Paris Match" opublikował fotografię dwukrotnie. Po raz pierwszy, gdy zmarł papież. Było to osiemnastego października 1958 roku, w numerze 497 – powiedział, zerkając na okładkę czasopisma. – A także w specjalnym zeszycie, który ukazał się w ostatnim

kwartale tego samego roku. Numer dwa, gdyby chciał pan wiedzieć.

– W takim razie co trafiło do archiwum?

– I tu robi się ciekawie. Watykańska broszura Posłanie z Fatimy, wydana w połowie dwutysięcznego roku, informowała, że trzecia tajemnica fatimska była przechowywana w archiwum Świętego Oficjum. Poinformował o tym nie kto inny jak Tarcisio Bertone, Sekretarz Kongregacji Nauki i Wiary. Według niego koperta trafiła tam czwartego kwietnia pięćdziesiątego siódmego roku.

– Ktoś kłamie?

– I znowu odpowiem: i tak, i nie.

– Dwa dokumenty?

– Myślę, że tak. Bertone, a w zasadzie sam Watykan za pośrednictwem jego pióra, podaje nam zapis wydarzeń dotyczący tekstu wizji, a nie tekstu ze słowami Matki Bożej.

– Czyli manuskrypt traktujący o wizji trafia do archiwum, zaś manuskrypt ze słowami Najświętszej Panienki do papieskich apartamentów?

– Na to wygląda. Przecież nikt się nie nabierze na opowieść o fotokopii trzeciej tajemnicy. Po jaką cholerę trzymać fotokopię dokumentu, którego treść ukryta jest w archiwum? To bez sensu.

– Zgadzam się. Ale bez względu na to, czy faktycznie mamy do czynienia z dwoma rękopisami, czy też jednym, faktem jest, że tajemnica wbrew woli siostry Łucji nie ujrzała światła dziennego.

– Ma pan rację. Jeszcze przed przekazaniem biskupowi Leirii-Fátimy zapieczętowanej koperty siostra Łucja napisała na zewnętrznej kopercie, że tajemnicę można otworzyć po roku sześćdziesiątym. Potwierdza to również bratanek siostry Łucji, ojciec Valinho.

– Wygląda na to, że aby tego uniknąć, interweniowało Święte Oficjum?

– Watykan postanowił „chronić” tajemnicę. Podjęto decyzję o jej niepublikowaniu, co związało ręce wszystkim następcom

papieża Jana XXIII i jakimś cudem zbiegło się z definitywnym uciszeniem siostry Łucji. Kojarzy pan, o czym mówię?

– Na mocy ślubu posłuszeństwa nakazano jej milczenie.

– Dokładnie. Tajemnicę należało zneutralizować, a najlepiej ośmieszyć.

– Tak się stało?

– Tak. Wszystko zaczęło się jeszcze za Jana XXIII. Tajemnica fatimska dotarła do niego siedemnastego sierpnia 1959 roku. Przywiózł ją komisariusz Świętego Oficjum, Paul Philippe. Z jej treścią zapoznał się zarówno papież, jak i Alfredo Ottaviani. Zresztą obaj mieli zastrzeżenia do tekstu, obaj uważali, że treść jest mocno niejasna. Jedno jest pewne. Tekst spisano w dialekcie portugalskim. Po przeczytaniu rękopisu papież podzielił się spostrzeżeniami na jego temat z kilkoma osobami. Jedni mówią, że treść tajemnicy poznało sześć, inni, że dziesięć osób. Nieważne, ile osób widziało tekst, ważne, że wszyscy doszli do wniosku, że konieczna jest pomoc tłumacza.

– Najpierw zapoznali się z tekstem, a potem posłali po tłumacza? Trochę to dziwne.

– Nie wnikajmy. Na wezwanie papieża przybył monsignore Paulo José Taveres z Sekretariatu Stanu. Późniejszy biskup Macau.

– Gdzie?

– W Macau, w Chinach. To on na polecenie papieża tłumaczył tekst tajemnicy.

– Rozumiem, że tekst uznano za szkodliwy dla Kościoła?

– Ma się rozumieć, bo na powrót trafił do zaklejonej koperty.

– Czyli udajemy, że tajemnica nie istnieje?

– Nieistnienie to jedno, ale o wiele gorszy był pomysł jej ośmieszenia.

– Zrobiono to publicznie? – dopytywał się Bassanti.

– Tak. Wykorzystano do tego portugalską agencję informacyjną Agencia Nacional de Informaçao.

– Czy ona działała na polecenie papieża?

– Podobno komunikat był nadany z osobistego polecenia Jana XXIII, który zdecydował o nieujawnianiu Tajemnicy.

Ósmego lutego 1960 roku agencja nadała informację, iż koperta z rękopisem siostry Łucji pozostanie zamknięta.

– Nikt nie interweniował?

– A kto niby miał to zrobić? Kto stanąłby na drodze papieżowi?

– Nie mam pojęcia.

– Ano właśnie. Mało tego, decyzja o odłożeniu tajemnicy *ad acta* została potwierdzona w liście papieża skierowanym do pielgrzymów w związku ze światowym dniem modlitwy w Fatimie.

– Wierzący chyba byli rozczarowani taką decyzją Watykanu?

– Ojciec Alonso stwierdził, że jest to największe rozczarowanie w całej historii Fatimy.

– Kto?

– Ojciec Joaquin Maria Alonso, teolog i mariolog. Alonso to ktoś, kto przez dziesięć lat zajmował się pracami nad Fatimą.

– Taki ogrom czasu i nic?

– Prace rozpoczął w sześćdziesiątym szóstym roku na specjalne polecenie pomocniczego biskupa Fatimy, João Venâncio i kontynuował je aż do roku siedemdziesiątego szóstego. W tym czasie miał nie tylko nieograniczony dostęp do wszystkich dokumentów fatimskich, ale i możliwość odbycia rozmowy z siostrą Łucją.

– Czyli jednym słowem miał dostęp do źródła.

– Proszę słuchać dalej. W siedemdziesiątym szóstym roku powstało monumentalne dzieło złożone z dwudziestu czterech tomów.

– Ilu?

– Dwudziestu czterech. Każdy po około osiemset stron.

– Ależ to kolos!

– Ten kolos zawierał blisko pięć i pół tysiąca oryginalnych dokumentów.

– Rozumiem, że nie było to w smak Watykanowi?

– Jak zawsze. Nie zdziwi się pan pewnie, gdy powiem, że w wyniku nacisków Watykanu udaremniono publikację.

– Zakazano jej?

– W zawoalowany sposób. Oficjalnie nałożono ścisłe restrykcje. Do dziś ze wszystkich dwudziestu czterech tomów ukazały się raptem dwa, i to mocno ocenzurowane.

– Czyli pozbawione najistotniejszych fragmentów?

– Pewnie tak.

– Wiadomo, co zawierały pozostałe dwadzieścia dwa tomy?

– Niestety nie. To pozostaje ścisłą tajemnicą.

– Jednym słowem trzymający władzę robili wszystko, by wyciszyć sprawę?

– Można tak to ująć.

– Trwa to do dziś?

– A jak pan myśli? Zaczęło się od Jana XXIII i trwa po aktualnie sprawującego urząd papieża.

– Czy papież Paweł VI też był tak krytycznie nastawiony do objawień fatimskich?

– Chodziły słuchy, że nie został jeszcze oficjalnie wprowadzony na urząd, jeszcze nie udzielił audiencji wszystkim odpowiedzialnym za różne dykasterie, jeszcze nie przejrzał całego *dossier*, a już spotkał się z „emisariuszami" i zapoznał z tekstem tajemnicy.

– I ledwie to zrobił, podtrzymał decyzję swego poprzednika?

– Tak. Paweł VI był w tej kwestii kalką Jana XXIII. – Mówiąc to, Isaza wymownie spojrzał ku górze.

– Czyżby szykowała się zmiana pogody? – zapytał Bassanti, podchwytując spojrzenie gospodarza.

– Zbiera się na deszcz. Przy tym wietrze najdalej za jakieś pół godziny zacznie się ulewa.

– Ulewa?

– Proszę spojrzeć na chmury od zachodu. Chyba nie ma pan wątpliwości, że nadciąga deszcz?

– Nie, nie mam – odparł Bassanti, wstając w popłochu od stolika i zbierając się do wyjścia.

– Pan niech zmyka. Ja z kolei postaram się szybko uprzątnąć wszystko.

– Pomóc panu?

– Nie, dziękuję. Proszę już iść. Ma pan wprawdzie niedaleko, ale lepiej w czasie takiej pogody nie przebywać na zewnątrz.

– To jesteśmy na jutro umówieni?
– Oczywiście. Do zobaczenia!
– Do widzenia!

Można by pomyśleć, że Isaza chciał się pozbyć gościa. Ale to nieprawda. Bassanti wiedział, że jedynym powodem zakończenia wizyty był nadciągający ku wyspie front burzowy. Ciężkie ołowiane chmury sunące znad Atlantyku i silny porywisty wiatr, który raptownie się zerwał, gnały go ku domowi. Ledwie zamknął za sobą drzwi i opadł na fotel, za oknem rozpętało się prawdziwe piekło.

* * *

Wyspa Ouessant, środa

Tym razem Bassanti nie mógł się doczekać spotkania z Isazą. Ciekawiła go zawartość taśm, zastanawiał się, co dzięki nim chciał mu przekazać Chiantini. Jego myśli krążyły wokół wielu pytań. Co było na nich zarejestrowane? Czy taśmy z opisem „Charleston” miały wspólny mianownik z tymi, na których ktoś skreślił nazwę stolicy Włoch? Czy to filmy dokumentalne? Prywatny zapis czy może zlecony? Jeżeli zlecony, to przez kogo? Czy nagrania dotyczą dwóch różnych historii tak od siebie odległych jak miejsca, w których je nakręcono? Skąd w ogóle pewność, że na taśmach są tylko dwa zdarzenia, a nie cztery? Dokładnie tyle, ile jest taśm? A może na szpulach nic nie ma? Albo nie uda się ich odtworzyć? Albo może są tam nagrania zupełnie nieistotnych rzeczy? Dla niego zupełnie niezrozumiałych. Co będzie, jeśli po obejrzeniu taśm nie posunie się w swoim śledztwie nawet o krok? Nie znał Chiantiniego, ale nie wyglądał on na faceta skorego do żartów, na kogoś, kto podsunąłby mu do obejrzenia filmy z rodzinnego spotkania czy jakieś tego typu historie.

Te i inne pytania wypchnęły go z domu o wiele za wcześnie. U Portugalczyka zjawił się blisko dwadzieścia minut przed czasem.

– Czyżby zżerała pana ciekawość? – zapytał Isaza, wpuszczając gościa do domu.

– Dzień dobry! – przywitał się Bassanti. – Faktycznie, tym razem nie mogłem doczekać się spotkania. Wiem, że sam odkładałem obejrzenie tych taśm, ale chyba najwyższa pora do nich zasiąść. Pan też się obawia, że może na nich nic nie być? Albo, że nie uda się ich odtworzyć?

– Tak. Ale w przeciwieństwie do pana szybko zweryfikowałem te pytania.

– Obejrzał pan filmy?

– Ależ skąd. Gdzieżbym śmiał. Ale sprawdziłem każdą szpulę i mogę pana zapewnić, że na każdej jest czarno-biały film, który odtwarza się bez żadnych problemów. Puściłem po około dziesięć sekund każdego i wygląda na to, że wszystko z nimi w porządku.

– Żadnych mechanicznych uszkodzeń?

– Chyba nie. Ale ze stuprocentową pewnością będę to mógł powiedzieć dopiero po obejrzeniu wszystkiego.

Gdy tak rozmawiali, Bassanti zdjął kurkę, zsunął buty i wszedł do pokoju, który wskazał mu Isaza. Pomieszczenie, w którym się znalazł, wyglądało jak mała sala kinowa. Na wysokości mniej więcej trzech czwartych pokoju stały dwa fotele. Pomiędzy nimi znajdował się niewysoki stolik z dziwacznym urządzeniem o nazwie Retro-8. Na wprost foteli ustawiono metalowy stojak z rozwieszonym ekranem. Biała powierzchnia projekcyjna miała na oko wymiary dwa na dwa i pół metra.

– Czy to jest urządzenie, na którym będziemy mogli obejrzeć filmy od Chiantiniego? – Bassanti nie krył ciekawości.

– Tak. Wiem, że wygląda jak skrzyżowanie projektora filmowego z magnetofonem, ale zapewniam, że to genialne urządzenie, które może obsługiwać zarówno taśmę osiem milimetrów jak i Super 8. Co więcej, może także obsługiwać dwa filmy na raz, łącząc je ze sobą.

– Poważnie? Kto na to wpadł? Japończycy?

– Nie, Amerykanie. A dokładnie ludzie z Moviestuff. To taka firma z Teksasu – dorzucił Isaza dla wyjaśnienia, widząc zbolałą minę Bassantiego.

– Nie wygląda na nowoczesną.

– Może i nie wygląda. Ale Retro-8 bez najmniejszego problemu łączy się z komputerem za pośrednictwem kabla USB. Odpowiednie oprogramowanie, które było w komplecie, pozwala na obsługę obrazów kolorowych i czarno-białych. Proszę mi wierzyć, to bardzo dobry sprzęt.

– Będzie pan mógł dokonać digitalizacji tych taśm?

– Oczywiście. Myśli pan, że materiał, który za chwilę obejrzymy, będzie tego wart?

– Liczę na to. A poza tym chciałbym mieć ich kopię. Tak na wszelki wypadek.

Dom Isazy stanowił jak na razie idealne schronienie dla szpul. Niebawem miało się to jednak zmienić. Ale nie wiedział o tym ani Portugalczyk, ani jego gość.

Nim zasiedli do oglądania, Bassanti zamknął drewniane okiennice, a Isaza otworzył butelkę pommeau od lokalnego producenta i naszykował szklanki. Dochodziła piętnasta trzydzieści, gdy zgasło światło, a ze stojącego pomiędzy nimi urządzenia zaczął dobiegać jednostajny szelest taśmy. Po dłuższej dyskusji zdecydowali, że na pierwszy ogień pójdą szpule z napisem „Charleston”. Ledwie rozpoczęli odtwarzanie dziewięciocalowej szpuli, ich oczom ukazał się zagadkowy tytuł: *Intronizacja Lucyfera. 29.06.1963. Charleston 1.*

Pierwsza część filmu trwała dokładnie czterdzieści trzy minuty. Druga (*Intronizacja Lucyfera. 29.06.1963. Charleston 2*) była o osiemnaście minut krótsza. Obie zrobiły ogromne wrażenie na oglądających. Zarówno Isaza, jak i Bassanti nie mogli uwierzyć w to, co zobaczyli. Podobnie było z taśmami z napisem „Roma”. Prawie siedemdziesiąt minut czarno-białego filmu (*Intronizacja Lucyfera. 29.06.1963. Roma 1 oraz Intronizacja Lucyfera. 29.06.1963. Roma 2*) dosłownie wgniotło obu mężczyzn w fotele.

* * *

USA, Charleston w Karolinie Południowej, kaplica,
29 czerwca 1963 roku, noc

W uwiecznionym na filmie wydarzeniu uczestniczyli mężczyźni i kobiety. Wszyscy wysoko urodzeni i piastujący jeszcze wyższe urzędy.

Zaraz po wejściu do kaplicy wszyscy uczestnicy mszy rozebrali się do naga, potem założyli pojedyncze szaty bez szwów, przypisane im z okazji intronizacji. Wszystkie szaty były długie do kostek, z wycięciem pod szyją w kształcie litery „V". Naga pozostała tylko kapłanka odgrywająca rolę ołtarza, na którym miała dokonać się profanacja *sacrum*.

Kapłan miał białą szatę z zawieszonym na piersi łańcuchem z symbolem szatana – pentagramem z głową Bafometa, mistrzyni ceremonii ubrana była w szkarłatną szatę, mistrz ceremonii – w purpurową, a zgromadzeni wierni mieli na sobie czarne stroje.

W tle rozbrzmiewał hymn *Maran atha!* (*Nasz Pan przyszedł*).

Zgromadzeni przeszli obok misy z piszczelami, następnie zanurzyli w niej rękę, by wyciągnąć garść kości, i zajęli miejsca na klęcznikach ustawionych w półkolu na wprost ołtarza. Przed nimi był rozłożony wydrukowany tekst ceremoniału.

Na ołtarzu krucyfiks szczytem zwrócony ku północy oraz pentagram umieszczony pomiędzy dwiema czarnymi świecami. Oprócz tego pięć świeczników, a w nich czarne świece, tabernakulum ze srebrnym pentagramem przykryte krwawoczerwoną zasłoną, patery z czarną hostią błogosławioną w imię Księcia Ciemności oraz kielich. Nad ołtarzem wizerunek Bafometa. Po lewej stronie ołtarza tron. Ściany pokryte freskami przedstawiającymi sceny z życia Chrystusa i Apostołów zasłonięto czarnymi draperiami bramowanymi złotem w kształcie figur symbolizujących historię Księcia Ciemności.

Mszę rozpoczęła inwokacja do szatana, po czym nastąpiło wyznanie wiary:

– Wierzę w jednego Księcia, Szatana, który włada tą Ziemią, w jedno Prawo ponad wszystkim. Wierzę w jedną Świątynię, naszą Świątynię Szatana, i w jedno Słowo ponad wszystkimi:

w Słowo ekstazy. Wierzę w Prawo Eonu, którym jest ofiara, i w puszczanie krwi, przy którym nie ronię łez, gdy chwalę mego Księcia, dawcę ognia, i oczekuję Jego panowania oraz rozkoszy, które nadejdą.

Po wyznaniu wiary podano w wątpliwość założenia chrześcijaństwa i przyjęto deklarację, że szatan jest władcą ziemi.

Następnie rozpoczęło się ofertorium.

Mistrz wezwał szatana, by ten przybył i przyjął ofiarę. W tym czasie kadzielnicą okadzano kielich, patery, a także wizerunek Bafometa nad ołtarzem i sam ołtarz.

Po pozdrowieniu zebrani trzykrotnie zawołali:

– *Salve*![15]

Potem wyrecytowano kanon. Kapłan zwrócił się do Księcia Ciemności, wymieniając przy okazji inne imiona postaci demonicznych: Lucyfera, Belzebuba, Beliala, Lewiatana, Abaddona, Asmodeusza, Asztarte, Nergala, Bafometa, Belfegora, Adrameleka i Baalberit:

– *Nos praepotens Lucifer, juvante Satan, Belzebub, Leviathan, Elimi, atque Astaroth, allisque, hodie habemus acceptum pactum foederis Urbani Grandieri qui nobis est. Et huic pollicemur amorem mulierum, florem virginum, decus monacharum, honores, voluptates et opes*[16].

Po kanonie rozpoczęto główną część mszy, czyli konsekrację, podczas której odbyło się misterium przemiany chleba i wina w ciało i krew. Następnie wysławiano silnych i dumnych, a przeklinano słabych. Potem zgromadzeni całowali się ze sobą, kapłan dokonał desakralizacji hostii i podał je kapłance, która przeklęła chrześcijaństwo i nawoływała do korzystania z życia, co zwieńczono orgią.

Na sam koniec przybyli złożyli zobowiązanie świętej przysięgi. Każdy z nich podszedł do ołtarza, aby dać dowód oddania. Na Akcie Autoryzacyjnym obok swojego imienia każdy z przybyłych naniósł odcisk palca. Złota szpilka pomagała uwolnić krew, którą znaczyli swą obecność. Odtąd życie i praca każdego z nich miała koncentrować się na transformacji papiestwa.

* * *

Włochy, Rzym, kaplica,
29 czerwca 1963 roku, noc

W rzymskiej ceremonii uczestniczyli sami mężczyźni. Zgromadzeni ubrani byli w szaty i paliusze stosowne do rangi kościelnej, a osoby świeckie w nienagannie skrojone garnitury. Kapłan odprawiający uroczystość miał na sobie czarny ornat ze złotymi zdobieniami i czarną stułę.

Ołtarz stanowił replikę tego z Charleston. Wokół ustawiono pentagramy, czarne świece, patery z czarną hostią błogosławioną w imię Księcia Ciemności.

W tle słychać hymn:

Gloria in profundis Satanae,
In profundis Satanae Gloria.
Introibo ad altare dei nostri Sataniae,
Ad Deum qui nunc oppressus resurget et triumphabit.
Quid velis?
Ad sacrificium offerre corpus meum –
Suscipe, Sancte Pater, hostiam hanc.
Accipe etiam sanguinem nostrum.
Laus Satanae[17].
In nomine dei nostri Satanae: Lucifere excelle!
Introibo ad altare Satanae,
Ad Satanas, qui laetificat gloriam meam.
Satan, Beelzebub, Leviathan, Asmodeus, Abaddon.
Gloria Satanaae, et Belial et Spiritui malo.
Sicut erat in principio, et nunc, et semper, et in saecula saeculorum. Amen.
Satanae gratias.
Satanas vobiscum.
Et cum spiritu tuo.
Eva, ave Satanas. Vade Lilith, vade retro Pana. Deus maledictus est. Gloria tibi, Domine Lucifere, per omnia saecula

saeculorum. Amen.
Rege, Satanas.
Ave Satanas.[18]

* * *

Film dawno się skończył, a Bassanti z Isazą nadal siedzieli pogrążeni w milczeniu, zatopieni w ciemnościach. Każdy na swój sposób pochłonięty tym, co przed chwilą zobaczył. Siedzieli w niedowierzaniu niczym dwa zaklęte kamienie. Pierwszy wstał Isaza. Gdy tylko zapalił światło, Bassanti dostrzegł na jego twarzy przerażenie. Portugalczyk wyglądał tak, jakby runął cały jego spokój, jakby jego świat zatrząsł się w posadach i zawalił.

– Co to, kurwa, miało być?

– Zsynchronizowana w czasie intronizacja Lucyfera – odparł prawie szeptem Portugalczyk.

– Tyle to i ja wiem. Pytałem, co to wszystko znaczy?

– Nie mam pojęcia.

– Nie ma pan pojęcia, czy nie chce o tym rozmawiać? – Bassanti naparł na Isazę.

– Kiedyś, dawno temu, chodziły słuchy, że w Watykanie dokonano wyniesienia na ołtarze Lucyfera, upadłego anioła.

– Czarna msza?

– Byłem pewny, że to bujda na resorach. Plotka mająca na celu zdyskredytowanie Kościoła w oczach wiernych.

– A tu proszę...

– Wygląda na to, że faktycznie doszło do odprawienia bliźniaczych ceremonii, podczas których dokonano intronizacji Księcia Ciemności.

– Filmy nie kłamią.

– Gdy byłem jeszcze początkującym dziennikarzem, podsłuchałem rozmowę dwóch księży o uczestnictwie telefonicznym niektórych wysokich urzędników Kościoła w amerykańskiej czarnej mszy.

– Chodziło o Charleston?

– Teraz tak myślę. Wcześniej nie miałem pojęcia, o czym mówią. Wtedy nie rozumiałem sensu ich słów.

– Ale po jaką cholerę urządzono taką szopkę?

– Domyślam się, że po pierwsze chodziło o intronizację Lucyfera na prawdziwego Księcia Rzymu.

– Ale na czym niby miałaby polegać ta intronizacja?

– Zakładam, że podczas orgii urządzonej w kaplicy w Charleston zostało poczęte dziecko.

– Aha... A po drugie?

– Chciano popełnić bluźnierstwo przeciwko męczeństwu Piotra i Pawła podczas kościelnego święta ku ich czci.

– Nie rozumiem. – Bassanti najwyraźniej się pogubił.

– Proszę zwrócić uwagę na datę ceremonii.

– Dwudziesty dziewiąty czerwca?

– Tak. Dwudziesty dziewiąty czerwca to święto obu apostołów, Piotra i Pawła. To liturgiczne święto ku czci męczeństwa obu tych świętych.

– Teraz rozumiem.

– Proroctwo krążące wśród okultystów i masono-satanistów zapowiadało, że Książę Ciemności zostanie intronizowany, gdy papież przyjmie imię apostoła Pawła.

– Paweł VI był wtedy papieżem? – upewnił się Bassanti.

– Tak. Jak już wspomniałem, zgodnie z satanistyczną tradycją czas Księcia miał rozpocząć się w chwili, gdy papież wybierze imię apostoła Pawła.

– Zadziwiająco dużo pan wie na ten temat jak na kogoś, kto chce uchodzić za niezorientowanego w temacie.

– To przypadek, proszę mi wierzyć. Kiedyś, na jakiejś dziennikarskiej imprezie, spotkałem kilku włoskich kolegów po fachu, którzy drążyli ten temat.

– I co?

– Byłem lekko wypity i nie słuchałem ich uważnie. Zresztą nigdy nie byłem specjalnie zainteresowany tym tematem. Zawsze myślałem, że to bujda. Uważałem to za zbyt nieprawdopodobne, aby mogło być prawdziwe. Nie wierzę w proroctwa.

– Teraz zmienił pan zdanie?

– Zmieniłem. Choć dalej nie mogę uwierzyć, że ledwie tydzień po koronacji Montiniego na papieża doszło do detronizacji Jezusa Chrystusa.

– Taka mała inwersja? Szkoda tylko, że w tak nietypowym miejscu.

– Ano właśnie. Kto by pomyślał, że Watykan dopuści do intronizacji Księcia Piekieł.

– Nikt – odparł Bassanti z zadumą w głosie.

– Chociaż... – Isaza na chwilę zawiesił głos, jakby się nad czymś zastanawiał. – Ktoś kiedyś węszył wokół tej sprawy.

– Naprawdę? Zna pan kogoś?

– Znałem. Nie wiem, czy jeszcze żyje.

– Kto to jest?

– Emerytowany kardynał. Ostatni raz rozmawiałem z nim jakieś dwa lata temu.

– Gdzie on jest?

– W Awinionie. W jednym z Domów Księży Emerytów.

– Mógłby pan to sprawdzić?

– Trochę późna pora na takie telefony, ale spróbuję.

– Nie ma jeszcze dziewiętnastej.

– Proszę dać mi chwilę. Muszę tylko odnaleźć skorowidz adresowy. Tam mam zapisany jego numer.

– Udało się? – dopytywał Bassanti, gdy tylko zobaczył wracającego Portugalczyka.

– Tak. Wprawdzie kardynał senior już śpi, ale recepcjonista potwierdził, że nadal jest pensjonariuszem tego ośrodka.

– Da mi pan telefon i adres kardynała?

– Oczywiście. A myśli pan, że po co tam dzwoniłem? – odparł Isaza, jednocześnie przepisując na wyrwaną z notatnika kartkę dane teleadresowe kardynała Jacquesa Fourniera.

– Zadzwoni pan do niego, żeby uprzedzić moje przybycie?

– Tak. Jutro z samego rana.

Zanim pożegnał się z Portugalczykiem, ten dokonał digitalizacji wszystkich czterech rolek filmów, po czym wręczył Bassantiemu pendrive’a. Oryginały emerytowany dziennikarz postanowił zostawić u siebie. Ukrył je w jednym z budynków gospodarczych przylegających do niewielkiego domu.

* * *

Dwudziestego dziewiątego czerwca 1972 roku, w święto Apostołów Piotra i Pawła, a jednocześnie w dziewiątą rocznicę swej koronacji, ku zaskoczeniu wszystkich zgromadzonych w Bazylice św. Piotra papież Paweł VI powiedział w trakcie homilii:

– Dym szatana dostał się do świątyni Boga...

Trzydziestego pierwszego grudnia 1993 roku w kościele św. Ignacego Loyoli w Rzymie, papież Jan Paweł II wygłosił homilię, w której powiedział:

– Antychryst jest wśród nas.

* * *

Czwartek

Czwartek był ostatnim dniem, jaki Bassanti spędził na wyspie. Wstał wcześnie rano, posprzątał dom, wyrzucił śmieci i wyszedł o wiele za wcześnie. Prom, który miał go odwieźć na ląd, odchodził dopiero za dwie godziny.

Na promie zrobił kolejne notatki. Gdy wreszcie dotarł do Awinionu, Jacques Fournier już na niego czekał.

Rozdział V

JACQUES FOURNIER PRZERYWA MILCZENIE

A gdy otworzył pieczęć czwartą, usłyszałem głos czwartego Zwierzęcia mówiącego: «Przyjdź!» I ujrzałem: oto koń trupio blady, a imię siedzącego na nim Śmierć, i Otchłań mu towarzyszyła. I dano im władzę nad czwartą częścią ziemi, by zabijali mieczem i głodem, i morem, i przez dzikie zwierzęta. (Ap 6, 7–8)

* * *

Awinion, Dom Księży Emerytów, kilka dni wcześniej

Gdy zadzwonił telefon, emerytowany kardynał jadł śniadanie. Przy drugim sygnale otarł delikatnie kąciki ust śnieżnobiałą serwetą, która jeszcze kilka sekund wcześniej leżała na jego kolanach, odsunął krzesło i powoli podszedł do aparatu. Wiedział, że ten będzie dzwonił, dopóki nie podniesie słuchawki. Gdzie niby miałby być o tej porze? Chyba tylko w toalecie. Budynku nie opuścił od blisko dwóch lat, swojego apartamentu od ponad roku. Nawet lekarz, odkąd pojawiły się problemy z sercem, osobiście zaczął składać mu wizyty.

Ledwie podniósł słuchawkę i przystawił ją do ucha, usłyszał radosny głos przyjaciela. Edery był w doskonałym humorze.

– Miło mi cię słyszeć – powiedział kardynał.

– Wasza Eminencja też chyba w nie najgorszej formie?

– Daj spokój, Philippe. Moja forma jest adekwatna do wieku, czyli żadna. Powiedz mi lepiej, jak rezultaty twojej pracy.

– Rozumiem, że pytasz o postępy mojego nieoficjalnego śledztwa?

– Oczywiście.

– Ekspertyzy są jednoznaczne.

– To znaczy?

– To znaczy, że nie powinniśmy o tym rozmawiać przez telefon.

– Daj spokój. Uchyl rąbka tajemnicy. Zapomniałeś, kto dał ci to zlecenie?

– Nie zapomniałem, ale nie chcę narażać cię na jakiekolwiek niebezpieczeństwo.

– Pod latarnią jest najciemniej. Nic mi tu nie grozi. Mów.

– Badania antropometryczne i wszystkie inne ekspertyzy, jakie wykonałem, przeczą temu, co głosi twój Kościół.

– Mój Kościół to Jezus.

– Zgoda, niech ci będzie. W takim razie przeczą temu, co głosi instytucja, której służysz od ponad pół wieku.

– Jesteś pewny, że to dwie różne osoby?

– Całkowicie.

– Czyli nie ma najmniejszych wątpliwości, że... – Nie dokończył, bo w słowo wpadł mu Edery:

– Czy ci się to podoba, czy nie, prawda jest taka, że mamy do czynienia z sobowtórem.

– Rozumiem...

– Nie, nie rozumiesz. Przyjąłeś tylko do wiadomości to, co ci zakomunikowałem. Znam cię dobrze. Teraz będziesz to trawił w sobie, a potem spróbujesz podważyć wyniki moich badań.

– Niekoniecznie.

– Masz rację. Tak się nie stanie, gdy zobaczysz je na własne oczy.

– Czy ja śnię? Czy ty się do mnie wybierasz?

– Mam do wykorzystania nadgodziny i pomyślałem, że cię odwiedzę. Wycieczka do Awinionu chyba dobrze mi zrobi? Chciałbym zajrzeć do ciebie w najbliższy poniedziałek. Co ty na to?

– Jak wiesz, nudzę się całe dnie jak mops, więc nie każ mi, proszę, zaglądać do kalendarza, żeby sprawdzić, czy mam wtedy wolne.

– Ok. W takim razie zadzwonię w sobotę, żeby wszystko potwierdzić.

– Zjesz ze mną obiad?
– Jeszcze się pytasz? Oczywiście.
– W takim razie do zobaczenia.
– Do zobaczenia.
Pożegnali się jak dwaj świeccy.

* * *

Paryż, nadal czwartek

Blisko czterogodzinna podróż z Brestu odebrała mu siły. Gdy dojeżdżał do Paryża, był zmęczony i ubrany w resztki snu. Gare Montparnasse przywitał go zgiełkiem i tłumem. Opuszczając Ouessant, był pewny, że wieczorem będzie w Awinionie. Teraz pewność stopniała do zera. Była szesnasta trzydzieści. Obliczył w myślach, że zanim przeprawi się na Gare de Lyon, zanim złapie pociąg do Marsylii przez Awinion, to w dawnej siedzibie papieży wyląduje najwcześniej o dwudziestej drugiej. Szybko doszedł do wniosku, że to stanowczo zbyt późno. Pozostało mu znaleźć hotel. Jedna noc w Paryżu nie robiła mu różnicy. I tak miał wrażenie, że jego prywatne śledztwo dotyczące śmierci brata utknęło w martwym punkcie, a jeśli nawet przyjąć, że minimalnie posunęło się do przodu, to tempo żółwia było przy nim sprintem.

Kryteria wyboru hotelu ograniczył do odległości, w jakiej znajdował się on od dworca Gare de Lyon. Nie uśmiechało mu się rano przepychać w taksówce przez zakorkowane miasto. Tego akurat postanowił sobie oszczędzić. Dochodziła osiemnasta, gdy meldował się w recepcji. Jednoosobowy pokój na szczęście miał okno od podwórza. Zostawił torbę, otworzył okno i zszedł do hotelowej restauracji. Poza małą kanapką, która zjadł w pociągu, nie miał nic w ustach. Był zbyt zmęczony, by docenić wymyślne potrawy z hotelowego menu. Postanowił, że zadowoli się stekiem z frytkami i bukietem sałat. Do picia zamówił karafkę wody mineralnej. Zanim wrócił do pokoju, wypił jeszcze espresso.

Cały wieczór upłynął mu na próbach skontaktowania się z Chiantinim na zmianę z oglądaniem telewizji. Zarówno jedna, jak i druga czynność okazała się fiaskiem. Telefon Chiantiniego milczał, a telewizja wypluwała więcej reklam niż ciekawych treści. Dochodziła dwudziesta druga, gdy postanowił zadzwonić do Barbarettiego. Dziennikarz odebrał po pierwszym sygnale. Bassanti zrugał się w myślach za to, że wcześniej nie wpadł, aby tą drogą uzyskać informację o Chiantinim. Gdy tylko o niego zapytał, Luca Barbaretti poinformował go, że Alessandro miał planowany jakiś zabieg i z tego powodu musiał położyć się do szpitala na kilka dni. Z tego, co sobie przypomina, miał chyba wyjść w czwartek. Skoro nie odbiera, to najpewniej wyłączył dźwięk i odpoczywa. Na koniec rozmowy zalecił Bassantiemu cierpliwość i doradził, aby ponowił próby kontaktu z jego starszym kolegą kolejnego dnia po południu.

* * *

Paryż, piątek

Zanim opuścił hotel, rozważał skontaktowanie się z Ederym, o którym wspominał Isaza. Po dłuższym namyśle zrezygnował jednak z tego pomysłu. Uznał, że akurat ten telefon może zaczekać.

* * *

Rzym, 26 października 1958 roku

A teraz przyspieszony kurs z pozbywania się świadka. Wiemy już, że w tym czasie trwa konklawe. Tego dnia biały dym pojawił się dwukrotnie. A czego do tej pory nie wiedzieliśmy?

Po nadaniu komunikatu przez Radio Watykańskie, a następnie przedłużającej się w nieskończoność ciszy

informacyjnej książę Paul Scortesco zadzwonił do jednego ze swych kuzynów. Obaj wywodzili się z książęcych rodów (Borghese i Sforza), obaj służyli w Gwardii Szlacheckiej.

Wykręcił numer tego, który był odpowiedzialny za ochronę konklawe, i czekał. Telefon milczał. I tak przez prawie godzinę. W końcu udało mu się dodzwonić i usłyszał w słuchawce głos kuzyna.

– Co tam się dzieje, do cholery? – wrzeszczał do słuchawki Scortesco.

– Lepiej nie pytaj. – Głos gwardzisty także był podniesiony. Mężczyzna ewidentnie przejawiał zdenerwowanie, za wszelką cenę próbował uciąć rozmowę.

– Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo. Nawet jak odłożysz słuchawkę, tylko mnie zachęcisz do wycieczki w stronę Watykanu.

– Przy tym, co się teraz dzieje za zamkniętymi drzwiami Kaplicy Sykstyńskiej, chaos jawi się jako ład i porządek.

Enigmatyczna odpowiedź niczego nie załatwiła.

– Co to znaczy? – Scortesco nie ustępował, naciskał, domagał się bardziej jednoznacznych odpowiedzi.

– No dobrze. – Gwardzista skapitulował. – Powiem, co wiem, ale obiecaj, że zatrzymasz to dla siebie.

– Obiecuję.

– Najpierw na papieża wybrano kardynała Giuseppe Siriego, który przyjął imię Grzegorza XVII.

– Dlatego pojawił się pierwszy dym?

– Tak, ale pod wpływem nacisków zrezygnował z funkcji. W drugim głosowaniu wybrano kardynała Federico Tedeschiniego, ale ten również, z tych samych powodów, nie przyjął godności papieskich.

– Drugi dym.

– Dokładnie.

– I co teraz?

– Nie mam pojęcia. Wygląda na to, że brutalne zastraszenie kolejnych kandydatów oraz kontakt ze światem zewnętrznym wreszcie osiągną zamierzony cel.

– Kontakty ze światem zewnętrznym? Co przez to rozumiesz? Masonerię?

– Dokładnie. A ściślej – żydowską lożę masońską.

– Czyli jak na razie same nieprawidłowości i blamaż za blamażem.

– Tak. I wszystko na oczach wiernych.

– Kiedy to się wreszcie skończy?

– Gdy wybiorą swojego kandydata.

– Czyli?

– W kuluarach mówi się, że papieżem zostanie Angelo Giuseppe Roncalli.

– To i ja wiem. Pytam, kiedy ten cyrk dobiegnie końca?

– Góra dwa dni. Założę się, że konklawe dobiegnie końca najdalej dwudziestego ósmego października.

– Ciekawe, jakie imię przyjmie Roncalli.

– Jana XXIII – odparł bez namysłu gwardzista.

– Ja pierdolę. – Niezbyt elegancko skomentował Scortesco, jednocześnie kończąc rozmowę.

Książę Paul Scortesco był poruszony. Nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał, a jednak wierzył. W końcu rozmawiał nie z kim innym, tylko z własnym kuzynem, nota bene księciem, który od lat służył w Gwardii Szlacheckiej.

Postał jeszcze chwilę w milczeniu pośrodku ogromnej biblioteki pałacu, by w końcu zasiąść za biurkiem. Sięgnął po papier listowny, odkręcił pióro i skrzętnie zanotował, co usłyszał. Na koniec schował spisane informacje do sejfu.

* * *

Rzym, 31 października 1958 roku

Trzy dni po wyborze Jana XXIII doszło do spotkania dwóch kuzynów księcia Scortesco. Członkowie Gwardii Szlacheckiej zjedli wspólny obiad, podczas którego wymienili swe poglądy na temat wydarzeń ostatniego tygodnia. Na koniec rozmowy jeden z nich przyznał, że o wszystkim opowiedział Paulowi Scortesco.

Wbrew temu, co przypuszczał, jego rozmówca uznał, że uczynił słusznie. Zapewnił go, że gdyby to o niego chodziło, postąpiłby dokładnie w ten sam sposób.

* * *

Rzym, 19–21 czerwca 1963 roku

Trwało konklawe, na którym ponownie zagościł ferment i kardynał Giuseppe Siri w samym środku akcji. Większością jednego głosu wybrano go na papieża, jednak i tym razem pod wpływem nacisków zrezygnował on z godności. Drugie głosowanie zakończyło się sukcesem, bo gdy kardynał Tissierant musiał wyjść do telefonu, kardynałowie Achille Liénart, Franz König i Julius Döpfner podmienili karty do głosowania. Papieżem został Montini.

W tym roku to drugi gwardzista odpowiedzialny za eliminację kontaktów kardynałów ze światem zewnętrznym i spokrewniony z Paulem Scortesco wściekł się i w rozmowie telefonicznej poinformował kuzyna o kolejnych nieprawidłowościach podczas konklawe. Wyjawienia poufnych informacji nigdy nie żałował.

Tym razem w wybory zamieszana była także Centralna Agencja Wywiadowcza, która wyposażyła kardynała Francisa Spellmana w urządzenie podsłuchowe. To on wniósł nadajnik radiowy do sali obrad i relacjonował przebieg wydarzeń w Kaplicy Sykstyńskiej. To wreszcie on poinformował kwaterę główną CIA o wyborze Montiniego. Dopiero po tym fakcie nad dachem Kaplicy Sykstyńskiej pojawił się obłok białego dymu. Pracownicy CIA rozpoczęli świętowanie. Najwyższy czas, aby dołączyli do nich wierni.

Podsumowując, konklawe było na podsłuchu, a kardynałowie Achille Liénart, Franz König i Julius Döpfner, którzy podmienili karty do głosowania – związani z masonerią.

I tym razem książę Scortesco sporządził notatkę z rozmowy, która wylądowała obok poprzedniej w sejfie.

* * *

Rzym, Boże Narodzenie 1975 roku

Spotkanie rodzinne. W pałacu księcia Paula Scortesco spotkała się cała familia, w tym służący w Watykanie kuzyni. Ci ostatni odbyli rozmowę, do której doszło późnym wieczorem w bibliotece. W końcu triumwirat zawiązał się już dawno. Tajne, nieformalne porozumienie trwało od ponad siedemnastu lat. Trzech mężczyzn łączyła tajemnica, o losach której mieli zadecydować. A ściślej, o dalszych losach dwóch listów. Dyskusja była burzliwa, jednak przed północą udało im się dojść do porozumienia. Zdecydowali się wszystko upublicznić i tego zadania miał podjąć się właśnie Scortesco.

Tego dnia widzieli się po raz ostatni. Żaden nie spodziewał się nadchodzących wydarzeń. Na razie żyli w nieświadomości. Na razie żyli...

* * *

Rzym, trzecia dekada sierpnia 1976 roku

Paul Scortesco spotkał się z dziennikarzem i przekazał mu list, który ten miał upublicznić.

W opublikowanym liście ujawniono wszelkie nieprawidłowości dotyczące wyboru Jana XXIII i Pawła VI. Wyjawiono, że odbyło się kilka rund głosowania, że wybrano kardynała Siriego, innym razem kardynała Tedeschiniego czy nawet reprezentującego Liban kardynała Grégoire'a-Pierre'a XV Agagianiana, że w końcu sprawujący urząd kamerlinga anulowali wszystkie wybory, że komunikowano się ze światem zewnętrznym, że kardynał Tisserant opuścił konklawe, by spotkać się z przedstawicielami loży B'nai B'rith.

Skandal wisiał w powietrzu.

* * *

Rzym, pałac księcia Scortesco, 4 września 1976 roku

Zwęglone szczątki księcia leżały na samym środku łóżka. W sypialni unosił się swąd spalenizny. Ściany i sufit były okopcone. Płomienie nawet nie musnęły znajdujących się w pomieszczeniu mebli. Pożar miał jedno źródło, którym był Scortesco.

Badania wykazały, że spłonął żywcem. Ciężko obronić tezę, że nie było to podpalenie, jak również ciężko polemizować z faktem, że zapłacił życiem za to, co ujawnił.

I w ten sposób kurs z pozbywania się świadka został ukończony, a dyplomy rozdane.

* * *

Rzym, druga połowa września 1976 roku

Najpierw z dziennikarzem, z którym pod koniec sierpnia spotkał się Scortesco, umówili się dwaj jego kuzyni. Na spotkanie przynieśli dowody na poparcie teorii, że za śmiercią księcia stał Watykan. Dokumenty są niebezpieczne. To bomba z opóźnionym zapłonem.

Dwa dni później żurnalista odbył spotkanie z anonimowym informatorem, o którym wiedział tylko tyle, że to wysokiej rangi mason, pozostający w kontaktach z Watykanem. Rozmówca potwierdził informacje pozyskane od Scortesca i dorzucił, wbijając tym samym gwóźdź do watykańskiej trumny, że papież pojednania, Jan XXIII, został wybrany przez masonów. Na pytanie dziennikarza o to, czy wolnomularze byli obecni na konklawe, odpowiedział z rozbrajającą szczerością:

– Kościół jest w naszych rękach.

Lont już płonął. Artykuł się pisał. Redaktor jeszcze żył. Za kilka godzin miało się to zmienić. On na razie o tym nie wiedział i niczego się nie domyślał, jednak już od kilku godzin mieszkał nad Styksem. Niedługo Charon miał go przeprawić na drugi brzeg.

Ciało dziennikarza wyłowiono z Tybru, artykuł nigdy nie ujrzał światła dziennego, a wszelkie dokumenty rozpłynęły się w powietrzu. Problem rozwiązano.

* * *

Awinion, nadal piątek

Dochodziła dwunasta, gdy pociąg relacji Paryż–Marsylia wtoczył się na peron dworca w Awinionie. Bassanti wysiadł jako jeden z pierwszych i od razu skierował swe kroki do hotelu. Jeszcze w Paryżu zarezerwował pokój na dwie noce z możliwością skrócenia pobytu. Teraz pozostało jedynie dopełnić formalności. Nie miał pojęcia, ile zabawi w Awinionie, gdyż nie miał pewności, kiedy uda mu się spotkać z Fournierem. Czekało go kilka telefonów i od przebiegu odbytych rozmów uzależniał długość pobytu w tym mieście.

Najpierw wybrał numer Chiantiniego. O dziwo, dziennikarz odebrał po pierwszym sygnale. Dzwoniąc do redaktora, chciał wiedzieć tylko jedno: czy taśmy są autentyczne. Z kolei Chiantini chciał się koniecznie dowiedzieć, jakie Bassanti poczynił postępy w sprawie zagadkowej śmierci brata. Przez kilka sekund dwaj panowie przekrzykiwali się wzajemnie, nie dając dojść drugiemu do słowa.

– Proszę mi wreszcie powiedzieć, czy taśmy, które dostałem od pana, są autentyczne!

– Za kogo mnie pan ma? – Chiantini był wyraźnie urażony i nie próbował nawet tego ukryć. – Uważa pan, że mógłbym dać panu jakieś spreparowane filmiki tylko po to, aby zszokować pana ich treścią? Pan oszalał?

– Czyli są autentyczne?

– Oczywiście.

– Oglądał je pan?

– Nawet kilkukrotnie.

– Wie pan o intronizacji Lucyfera?

– Nie jestem idiotą. Wiem, co obejrzałem.

– Od kogo je pan dostał? Kto je panu dał?

– Tego akurat panu nie powiem. Tajemnica dziennikarska. Zresztą ujawnienie tożsamości osoby, która przyniosła mi te taśmy, oznaczałoby wydanie na nią wyroku śmierci. A tego czynić nie zamierzam.

– Rozumiem.

– Poważnie? – Bassanti wreszcie zauważył ironiczny ton Chiantiniego.

– Weryfikował pan obejrzane treści?

– A jak pan myśli? Że uwierzyłem na słowo obrazkom? Oczywiście, że weryfikowałem. Jestem dziennikarzem. To mój zawód. Blisko rok spędziłem na ustalaniu tożsamości uczestników obu ceremonii.

– I co?

– Rozpoznałem blisko pięćdziesięciu duchownych i kilku świeckich.

– Kogo pan rozpoznał? I w jaki sposób pan to zrobił?

– Kilku kardynałów, biskupów, arcybiskupów i szeregowych księży. Porównałem taśmy ze zdjęciami, jakie miałem z innych, o ile można tak powiedzieć, uroczystości kościelnych z tamtego okresu. Wyniki mojej pracy były jednoznaczne.

– Jakieś nazwiska?

– Nie, nie przez telefon.

– Ok. To na pewno te same osoby?

– Oczywiście. Wprawdzie żadnych badań nie przeprowadziłem, ale proszę mi wierzyć, że to z całą pewnością te same osoby.

Drugi telefon wykonał do Isazy. Chciał powiedzieć Portugalczykowi, że taśmy, które u niego ukryli, są autentyczne. Na Ouessant jednak nikt nie odbierał. Trudno. Spróbuję później – pomyślał.

Trzecie połączenie było lokalne. Fournier odebrał, chyba jeszcze zanim zadzwonił telefon, jakby czekał na znak od Bassantiego. Ponieważ staruszek nie miał zbyt wielu zajęć, umówili się jeszcze tego samego dnia.

W efekcie Bassanti zdążył się tylko odświeżyć po podróży. Tyle czasu dał mu kardynał senior.

Dochodziła czternasta, gdy opuścił hotel, przebiegł przez ulicę i szybkim krokiem udał się w kierunku największej budowli gotyckiej w Europie. Pałac Papieski wręcz przyzywał. Ale to nie tam kierował swe kroki Bassanti.

Wszedł do budynku, w którym mieścił się Dom Księży Emerytów. Recepcja znajdowała się na wprost wejścia, a drzwi wejściowe niemiłosiernie skrzypiały. Skonstatował, że nie sposób dostać się do środka niezauważonym. Ledwie przekroczył próg, a towarzyszący jego pojawieniu się zgrzyt zaalarmował portiera. Siedzący za wysokim kontuarem młodzian błyskawicznie podniósł wzrok. Miał czujny wzrok i napiętą twarz. Składający wizytę przedstawił się i zapytał o kardynała seniora. Cerber odwzajemnił się pytaniem o powód wizyty. Gdy wymieniono się informacjami, Bassanti otrzymał wskazówki, dokąd się udać.

– Ksiądz kardynał już na pana czeka – rzucił sztampowo portier, ale Bassanti puścił uwagę mimo uszu.

Gdy tylko za Bassantim zatrzasnęły się drzwi windy, cherubin o mocno zniewieściałym wyglądzie złapał za telefon.

– Właśnie udał się do Fourniera – rzucił do słuchawki falsetem, który nie tylko nie korespondował z rolą donosiciela, w jaką się wcielił, ale i ranił ucho jego rozmówcy.

– Jak tylko wyjdzie, proszę mnie od razu powiadomić – usłyszał.

– Wedle życzenia.

– To nie jest, kurwa, moje życzenie. – Uniżony ton recepcjonisty najwyraźniej nie przypadł do gustu jego rozmówcy, bo ten wpadł we wściekłość. W słuchawkę poleciało całe morze wulgaryzmów. Dopiero gdy duchowny nieco się uspokoił, dodał jakby na usprawiedliwienie wszystkiego: – To polecenie Stolicy Apostolskiej, idioto!

Jak na osiemdziesiąt cztery lata Jacques Fournier prezentował się wręcz nienagannie. Mimo lekko pochylonej sylwetki był bardzo wysoki i szczupły. Jego pociągłą twarz o piwnych oczach skrytych za okrągłymi okularami w rogowej oprawie rozjaśniał miły uśmiech. Resztki siwych włosów nadawały mu przy tym wygląd mnicha. Jak co dnia miał na sobie czarną sutannę z koloratką odstającą dobre kilka centymetrów od chudej szyi, czarne buty i czarne spodnie w kant. I tylko pierścień kardynalski, jaki nosił, był jedyną oznaką jego godności.

Właśnie miał zamknąć okno, gdy rozległo się ciche pukanie. Ruszył ku drzwiom. Gdy tylko je uchylił, twarz na widok gościa jeszcze bardziej mu się rozpromieniła. Bassanti przedstawił się i napomknął o Isazie.

– Wejdź, mój synu – usłyszał. – Napijesz się czegoś?

Pokój Fourniera był jasny, przestronny i bardziej przypominał ascetyczną celę mnicha niż mieszkanie emerytowanego dostojnika kościelnego. Poza łóżkiem, nad którym wisiał surowy, piękny krzyż, szafką nocną i stolikiem z dwoma fotelami była tam tylko niewielka biblioteczka oraz dwudrzwiowa szafa. Żadnego telewizora, żadnego radia – nic, co mogłoby rozproszyć uwagę.

– Nie, dziękuję. Nie chcę sprawiać kłopotu.

– To żaden kłopot. Zadzwonię do siostry Marii, a ona nam wszystko przygotuje. Chcesz kawy czy herbaty?

– Poproszę o kawę.

– To rozumiem – skwitował Francuz, ciesząc się jak dziecko.

Chwilę rozmawiali o pogodzie i innych trywialnych sprawach, które były przeznaczone dla uszu mającej się pojawić siostry zakonnej. Wreszcie, gdy ta zjawiła się z tacą, na której stały dwie filiżanki kawy, dzbanuszek z mlekiem oraz cukierniczka, odetchnęli z ulgą. Odczekali grzecznie, aż wyjdzie i przystąpili do właściwej rozmowy.

Zaczął kardynał:

– Od Isazy wiem, co cię do mnie sprowadza. Z ostrożności nie podał mi szczegółów.

– Rozumiem – odparł jego gość, sięgając po filiżankę kawy.

– Powiedz mi w skrócie, o czym wiesz, a ja postaram ci się jakoś pomóc.

– Jest tego trochę.

– Mamy czas. W każdym razie ja go mam aż nadto. Ty się gdzieś spieszysz?

– Ależ skąd.

– Zatem opowiadaj.

Przez blisko kwadrans Bassanti referował Fournierowi to, czego do tej pory się dowiedział, co rusz wertując kartki notatnika i czegoś szukając.

Podsumowanie wyglądało mniej więcej tak:

W październiku1943 roku biskup diecezjalny Leirii José Alves Correira da Silva wydał siostrze Łucji polecenie spisania Trzeciej Tajemnicy. Pierwszy dokument opisujący wizję powstał 3 stycznia 1944 roku, drugi zaś, zawierający słowa Matki Bożej, które wyjaśniają wizję, został ukończony albo 9 stycznia 1944 roku, albo kilka dni wcześniej. Orędzie zostało zapisane na zwykłej kartce papieru, zaś wyjaśnienia do wizji poczynione w notatniku. Arcybiskup Manuel Maria Ferreira da Silva otrzymał Tajemnicę Fatimską z rąk Łucji dokładnie 17 czerwca 1944 roku. Jeszcze tego samego dnia wręczył on kopertę swojemu przełożonemu, a biskup da Silva złożył ją w sejfie. Pozorny spokój trwał do roku 1957. Wtedy to Kongregacja Nauki Wiary zażądała kopii wszystkich pism Łucji wraz z Tajemnicą. Zrobiła to za pośrednictwem nuncjusza Cento. I tak biskup José Alves Correira da Silva powierzył zadanie biskupowi pomocniczemu Leirii, João Pereirze Venâncio. Ten, gnany ciekawością, obejrzał powierzoną mu kopertę. Dostrzegł pojedynczą kartkę z marginesami zapisaną drobnym odręcznym pismem. Następnie skontaktował się z nuncjuszem apostolskim Fernandem Cento i osobiście wręczył mu kopertę. Ten ostatni, z kolei, przekazał ją prefektowi Kongregacji Nauki Wiary, kardynałowi Alfredowi Ottavianiemu. Dokumenty ostatecznie dotarły do Rzymu 16 kwietnia 1957 roku. I tu zaczęły się schody, bo z jednej strony wiemy, że papież Pius XII polecił umieścić ją w swoim apartamencie. Z drugiej Tarcisio Bertone,

sekretarz Kongregacji Nauki i Wiary twierdził, że koperta wraz z Tajemnicą w dniu 4 kwietnia 1957 roku trafiła do Archiwum Świętego Oficjum.

Jeśli chodzi o Jana XXIII to Tajemnica Fatimska dotarła do niego 17 sierpnia 1959 roku. Przywiózł ją komisariusz Świętego Oficjum, Paul Philippe. Pewne jest, że z jej treścią zapoznał się zarówno papież, jak i Alfredo Ottaviani.

– Co do Pawła VI to nie mam pojęcia, kiedy to się stało – zakończył nagle swoją opowieść Bassanti.

Przez cały monolog kardynał siedział zapatrzony w dal, a na jego twarzy malował się zagadkowy uśmiech.

– Powoli poukładamy wszystko. Dorzucę kilka cegiełek do tej twojej wiedzy i zobaczysz, że wszystko zacznie się układać w całkiem logiczną całość.

– Ksiądz kardynał długo był księdzem, zanim odszedł na emeryturę?

– Mój synu, księdzem jest się do końca życia. Ale wiem, o co pytasz. Służyłem Kościołowi trzydzieści dziewięć lat, a dokładnie od końca drugiej wojny światowej do 1984 roku. Wtedy pojawiły się pierwsze problemy z sercem, zaliczyłem kilka pobytów w szpitalach, miałem jedną, potem drugą operację. Aż wreszcie wszczepiono mi rozrusznik. Z czasem musiałem iść w odstawkę i ograniczyć swoją aktywność jedynie do pracy naukowej. Nadal próbuję być aktywny, ale o ile umysł nie szwankuje, to ciało nie pozwala na długie ślęczenie nad książkami. Sprawność dłoni też już nie taka jak dawniej. Ostatnio zauważyłem, że zdecydowanie wolniej piszę na komputerze.

Rozmawiali o problemach ze zdrowiem Fourniera, gdy rozległo się pukanie i do pokoju weszła zakonnica z pytaniem, czy czegoś nie potrzebują. Nagłe pojawienie się siostry Marii wyraźnie poirytowało rozmówcę Bassantiego. Kardynał senior rzucił oschle, że gdyby czegoś potrzebował, to by zadzwonił i szybko odprawił kobietę.

– Nie powinienem tak mówić, ale nigdy nie lubiłem tej zakonnicy. W dodatku mam wrażenie, że od jakiegoś czasu mnie szpieguje.

Bassanti nie bardzo wiedział, jak zareagować na te uwagi. W dodatku nie był pewny, czy informację o szpiegowaniu należy traktować poważnie, czy też zrzucić ją na karb wieku gospodarza. Czyżby Fournier nie był jednak w pełni władz umysłowych? Czyżby jego świat nawiedzały omamy i inne przewidzenia? Do tej pory nie brał tego pod uwagę, ale to jedno stwierdzenie uchyliło drzwi i wpuściło kroplę niepewności.

Fournier nie był zaskoczony brakiem jakiejkolwiek reakcji ze strony swego gościa. W końcu Bassanti nie miał pojęcia o życiu za murami przybytku, w którym przyszło mu czekać na śmierć.

Kardynał senior odczekał stosowną chwilę i już miał rozpocząć opowieść, gdy nagle poderwał się z fotela i udał w kierunku biblioteczki. Z części zamykanej na kluczyk, która znajdowała się na samym dole, wyjął laptop.

– To moja pamięć zewnętrzna – dodał jakby na usprawiedliwienie. – Wolę się do niej odwoływać, bo moja czasami troszkę szwankuje. Za dużo tu wszystkiego, żeby mieć pewność, że człowiek niczego nie pomyli.

– Jakoś mnie to nie dziwi. Czasami mam wrażenie, że laptop wie więcej o moich interesach niż ja sam – podsumował ze zrozumieniem Bassanti.

– Zatem wiesz, o co mi chodzi, mój synu?

– Oczywiście.

– Jak już wiesz, Jan XXIII dowiedział się o trzeciej tajemnicy fatimskiej zaraz po wyborze na urząd papieża. Ale cofnijmy się na chwilę do roku 1957. Wtedy to nuncjusz apostolski w Portugalii, kardynał Cento, przywiózł kopertę z tajemnicą do Watykanu, jednocześnie ostrzegając ojca świętego przed siostrą Łucją. Może nie tyle przed samą zakonnicą, co przed rozpowszechnianiem przez nią orędzia.

– Kościół się wystraszył?

– Już w pierwszych dniach stycznia pięćdziesiątego dziewiątego roku w Watykanie miało miejsce spotkanie najwyższych hierarchów Kościoła. W związku z obawami, że Widząca z Fatimy może wyjawić światu to, co powiedziała jej Matka Boża, podjęto decyzję o całkowitej izolacji siostry Łucji.

Nie muszę chyba dodawać, że wszystko to działo się z woli papieża.

– O ile mnie pamięć nie myli, tajemnica miała być ujawniona w 1960 roku.

– W rzeczy samej. Ale Jan XXIII postanowił utajnić orędzie. I zrobił to bez żadnego tłumaczenia. Swej decyzji nie wyjaśnił ani Kościołowi, ani światu, do koperty zawierającej tajemnicę dołączył zaś adnotację będącą swego rodzaju opinią, według której orędzie może być przejawem działania Bożego, ale może również nim nie być.

– Dla mnie to kompletnie niezrozumiałe – stwierdził Bassanti, odstawiając na stolik opróżnioną do połowy filiżankę.

– Nie tylko dla ciebie. Mówi się, że to jeden z najbardziej niezrozumiałych paradoksów dotyczących Fatimy. O objawieniach i zawartym w nich orędziu mogli mówić wszyscy, tylko nie jedyny żyjący świadek. Ten musiał milczeć.. Jak wiesz, od tego czasu siostra Łucja mogła przyjmować jedynie członków najbliższej rodziny lub osoby, które uzyskały zgodę Watykanu. Nikt poniżej rangi kardynała nie mógł się spotkać z siostrą Łucją bez upoważnienia. Dotyczyło to także jej długoletniego spowiednika, ojca Aparicio, który w jednym z listów żalił się nie tylko, że nie był w stanie rozmawiać z siostrą Łucją, ponieważ arcybiskup Leirii-Fátimy nie dał mu pozwolenia na spotkanie, ale twierdził, że izolacja została na nią nałożona przez Stolicę Apostolską.

– Czego tak bardzo boi się Kościół? Co może zawierać koperta?

– Tego możemy się tylko domyślać. Pewne jest jedno: zanim Jan XXIII podjął decyzję o izolacji siostry Łucji, musiał przeczytać tekst trzeciej tajemnicy. Zrobił to w dziesięć miesięcy po wyborze na papieża. Przebywał wtedy w Castel Gandolfo. Siedemnastego sierpnia pięćdziesiątego dziewiątego roku poprosił o dostarczenie koperty z tajemnicą. Dostarczył mu ją ojciec Paul Philippe, superintendent Świętego Oficjum, przyszły kardynał. Po otrzymaniu zalakowanej koperty papież nie zdecydował się jej otworzyć, albowiem chciał poczekać do czasu przybycia jego własnego spowiednika. Spowiednikiem

Jana XXIII był monsignore Alfredo Cavagna. Pojawił się on w Castel Gandolfo kilka dni później, jednakże trudności z tłumaczeniem tekstu, które napotkali, doprowadziły do tego, że trzeba było posłać po tłumacza. Mimo iż tekst był napisany po portugalsku, to liczne wyrażenia pochodzące najprawdopodobniej z lokalnego dialektu sprawiły duchownym trudność. Tekst tajemnicy przetłumaczył dla papieża późniejszy biskup Macau, Paulo José Tavares z Sekretariatu Stanu. Po zapoznaniu się z tekstem ojciec święty zdecydował o powtórnym zaklejeniu koperty. Jednocześnie uczynił osobistą adnotację, która została dołączona do koperty zawierającej tajemnicę: „Nie wydaję żadnych ocen. [Zachowuję] milczenie wobec tego, co może być wyrazem boskości (divine), choć również może nim nie być”[19]. Tak brzmi jedna z wersji. – Kardynał urwał nagle, spoglądając na Bassantiego znad laptopa.

– Jak to? To jest ich więcej? – Bassanti nie potrafił ukryć zdziwienia.

– Według drugiej wersji, oprócz papieskiego spowiednika z tekstem tajemnicy zapoznał się kardynał Alfredo Ottaviani, prefekt Świętego Oficjum oraz kilku innych dostojników kościelnych.

– Kto tak twierdzi?

– Chociażby osobisty sekretarz Jana XXIII, ksiądz prałat Loris Capovilla.

– On też poznał zawartość koperty?

– Wszystko na to wskazuje.

– A inni? Znane są ich nazwiska?

– Capovilla twierdził, że konsultacje w sprawie treści tajemnicy objęły wielu różnych współpracowników, a treść samego listu podano do wiadomości wszystkim wysokim urzędnikom Świętego Oficjum i Sekretariatu Stanu oraz pewnym innym osobom.

– Czyli jak zwykle krąg osób może być absolutnie dowolny.

– Niestety tak. To jednak nie zgadza się z nadzwyczajnym trybem bezpieczeństwa, który obowiązywał w Watykanie od czasów papieża Piusa XII.

– To znaczy?

– Pewnie słyszałeś, że Pius XII po otrzymaniu koperty zawierającej tajemnicę ukrył ją w drewnianej kasetce, we własnych apartamentach.

– Faktycznie.

– Zatem skąd przyniesiono kopertę Janowi XXIII, skoro miał ją u siebie?

– Nie mam pojęcia. Z archiwum Świętego Oficjum? – dopytywał Bassanti.

– Dokładnie. Da Silva, biskup Leirii oddał ją nuncjuszowi apostolskiemu, którym był wtedy biskup Cento, a ten przekazał ją Kongregacji Nauki Wiary, zgodnie z żądaniem siostry Łucji. Watykan przejął tekst za pontyfikatu Piusa XII, ale wszystko wskazuje na to, że papież nie zapoznał się z jego treścią.

– Jak to?

– Skoro koperta pozostawała zapieczętowana, gdy przekazano ją Janowi XXIII, to jak myślisz, była ona otwierana przez jego poprzednika czy nie?

– No chyba nie. Ale jakim cudem Pius XII jej nie przeczytał? Nie był ciekaw, jaką prawdę kryją spisane przez siostrę Łucję słowa?

– Nie mam pojęcia. Ale jest tego inne wytłumaczenie.

– Jakie?

– Nie domyślasz się?

– Istnieją dwa teksty?

– Dwa teksty albo dwie części tajemnicy. Potwierdzają to różne publikacje na temat objawień fatimskich.

– Serio?

– Znawcy tematu twierdzą, że dwie części tajemnicy przybyły do Rzymu w dwóch różnych terminach. *Frère* Michel wspomina, że dokument przybył do Rzymu szesnastego kwietnia 1957 roku.

– Kto to jest ten brat Michel?

– Nieistotne. To kolejna postać uwikłana w sprawę siostry Łucji. Najważniejsze jest to, że nigdy nie zdementowano tej informacji. Mało tego, twierdzi on również, że z diecezji Leirii przyszła zwrotna informacja o doręczeniu przesyłki. Swoje

twierdzenia *frère* Michel opiera na autorytecie ojca Alonso. Z kolei w jednej z oficjalnych publikacji watykańskich, to już rok 2000, biskup Bertone stwierdził, że koperta została przekazana do Archiwum Świętego Oficjum dnia czwartego kwietnia 1957 roku.

– Jak to możliwe, że ten sam dokument dostarczono do Rzymu w dwóch różnych terminach?

– Ano możliwe! Oba źródła mówią prawdę, jeżeli przyjmiemy, że nie jest to ten sam dokument. *Frère* Michel mówi o tekście zawierającym słowa Matki Bożej (tak zwanej kopercie biskupa Capovilli), z kolei Bartone o tekście wizji, ujawnionym w 2000 roku.

– O ja cię chrzanię! – wyrwało się Bassantiemu.

– Mój synu! – Tym razem ton głosu Fourniera był karcący.

– Przepraszam księdza. Ale w głowie mi się nie mieści, że mogą być dwa dokumenty.

– Nie tylko mogą, ale i są. Prześledźmy to jeszcze raz. Według relacji *Frère* Michela – zaczął Fournier, zerkając w laptop – w styczniu pięćdziesiątego siódmego roku do kurii w Leirii, za pośrednictwem nuncjusza Cento, przyszło żądanie przesłania do Rzymu wszystkich pism siostry Łucji. Kiedy ukończono sporządzanie fotokopii, biskup da Silva zapytał nuncjusza o trzecią tajemnicę. Ten zwrócił się z pytaniem do Rzymu i otrzymał odpowiedź: „Oczywiście! Także tajemnicę! Przede wszystkim tajemnicę!”. W międzyczasie João Pereira Venâncio, biskup pomocniczy w diecezji Leirii, spotkał się z wówczas osiemdziesięciopięcioletnim biskupem da Silvą, prosząc go o otwarcie koperty z tajemnicą. Ten jednak odmówił. Chcąc nie chcąc, biskup Venâncio, nie poznawszy treści tajemnicy, udał się do nuncjatury w Lizbonie i doręczył opieczętowaną kopertę nuncjuszowi Cento. *Frère* Michel podaje, że było południe dnia pierwszego marca pięćdziesiątego siódmego roku. Powyższa data i godzina zostały zapisane przez biskupa Venâncio w notatce, która jest przechowywana od 1992 roku w Sekcji Studiów i Popularyzacji Sanktuarium w Fatimie (SESDI). Zapiski siostry Łucji dotarły do Watykanu szesnastego kwietnia i od razu zostały przekazane bezpośrednio Piusowi XII,

który umieścił kopertę w drewnianej kasetce w swoim apartamencie.

– I nie zapoznał się z jej treścią.

– Niestety tak. Wszelkie dostępne informacje wskazują, że z sejfu opatrzonego napisem „Secretum Sancti Officii" tajemnica nigdy nie została wyjęta.

– I dlatego do rąk Jana XXIII trafia zalakowana koperta?

– Dokładnie. I tu pojawiają się dwie wersje. Według jednej Jan XXIII postanowił odesłać opieczętowaną kopertę do Świętego Oficjum, nie ujawniając trzeciej tajemnicy. Z kolei według świadectwa biskupa Capovilli, papież Paweł VI znalazł tekst tajemnicy ukryty w szufladzie biurka sypialni swego poprzednika, Jana XXIII.

– Czyli, jeśli przyjmiemy, że istnieją dwa różne teksty, które składają się na trzecią tajemnicę, a kronikarski zapis wydarzeń, jakiego dostarcza nam Watykan piórem kardynała Bertone, dotyczy tekstu wizji (a nie tekstu zawierającego słowa Matki Bożej), to śmiało można założyć, że obydwaj dostojnicy mówili prawdę.

– Tak. Obaj hierarchowie się nie mylili. Z całą pewnością Jan XXIII odesłał do Świętego Oficjum tylko część zawierającą wizję.

– A tekst ze słowami Matki Bożej zatrzymał u siebie – dodał Bassanti. – Myśli ksiądz, że zrobił tak, bo uznał spisany ręką siostry Łucji tekst za szokujący?

– Wydaje mi się, że... – Fournier nie zdążył dokończyć, bo w drzwiach pojawiła się głowa siostry Marii. Żaden z rozmówców nie usłyszał ani jej kroków, ani pukania. Czyżby przez cały ten czas stała pod drzwiami? – przebiegło przez myśl obydwu mężczyznom.

– Chciałam tylko zapytać – zaczęła usprawiedliwiająco kobieta – czy mam podać kolację do pokoju i czy gość księdza kardynała życzy sobie zjeść z księdzem kardynałem posiłek.

– Oczywiście. To jest odpowiedź na oba siostry pytania – uciął autorytarnie Fournier, nie pytając Bassantiego o zdanie. Po czym dodał: – Proszę nam więcej nie przeszkadzać.

Kobieta cicho zatrzasnęła za sobą drzwi.

* * *

Dwaj purpuraci siedzieli na wprost siebie w jednej z bibliotek Pałacu Laterańskiego i rozmawiali:

– Ile on już tam siedzi?

– Ponad trzy godziny. I nic nie wskazuje, aby jego wizyta miała się ku końcowi.

– Nocować tam zamierza, czy co?

– A skąd ja mam wiedzieć?! Z tego, co wiem, spotkanie się przedłuża i został na kolację.

– Szlag. Mówiłem, żeby uciszyć dziada.

– Wiem.

– Wiem, wiem, wiem. – Biskup Corsini był mocno podenerwowany. – I co z tego, że wiesz?! Już dawno trzeba było się go pozbyć. Teraz tylko napyta nam biedy.

– Myślisz, że wszystko wypapla?

– A jakżeby inaczej. A jeśli nie, to i tak trzeba być na to gotowym. Fournier zawsze był niebezpieczny ze względu na informacje, jakie posiadał.

* * *

Dopiero gdy siostra Maria pojawiła się po raz trzeci, Bassanti przyjrzał się zakonnicy. Nie wiedział, czy jego skojarzenia wywołały słowa Fourniera, ale nie ulegało wątpliwości, że aparycja siostry zakonnej przywodziła na myśl zdjęcia psychopatycznych morderczyń. Wcześniej nie zwrócił na to uwagi, ale siostra Maria faktycznie wyglądała, jakby zamiast kolacji miała serwować arszenik. Na dodatek jej postawa daleka była od chrześcijańskiego miłosierdzia. Ledwie postawiła na stoliku tacę z kolacją, a już przystąpiła do ataku. Celem był oczywiście kardynał senior. Ale grad pytań o leki, ciśnienie, przewietrzenie pokoju na tyle rozsierdziły Fourniera, że nie tylko odprawił ją w złości, ale na koniec kazał jej iść do diabła. Zakonnica odwdzięczyła mu się za to monologiem o demencji i stale powtarzających się podejrzeniach o wszystko.

– No dobrze – przerwał ciszę Bassanti. – A co z Pawłem VI?

– Montini został papieżem dwudziestego pierwszego czerwca 1963 roku, w piątek. Nie został jeszcze oficjalnie wprowadzony na urząd, bo mszę świętą odprawiono dwudziestego dziewiątego czerwca, a już w czwartek dwudziestego siódmego czerwca spotkał się z biskupem Leirii i nuncjuszem apostolskim w Lizbonie.

– Zaledwie sześć dni po wyborze – wyrwało się Bassantiemu.

– Dokładnie. Nie będziesz zdziwiony, jeśli ci powiem, że również i on postanowił nie ujawniać tajemnicy.

– Ale przeczytał ją?

– Tak. Wszystko wskazuje na to, że oba dokumenty były mu doskonale znane. Paolini – tym razem Bassanti nie zapytał, kim jest wspomniana przez Fourniera osoba, ale ku swojemu zdziwieniu kardynał senior sam pospieszył z wyjaśnieniami – a chcąc być bardziej precyzyjnym, Solideo Paolini, włoski dziennikarz, który w swych publikacjach podważał prawdomówność hierarchów Watykańskich, twierdzących, że trzecia tajemnica fatimska została już ujawniona, utrzymywał, że Paweł VI przeczytał jej treść w czwartek po południu.

– Mówimy o słynnej zapieczętowanej kopercie biskupa Caapovilliego zawierającej słowa Matki Bożej?

– Tak, tej bardziej wstrząsającej części tajemnicy.

– Proszę mówić dalej – zachęcał Bassanti, kreśląc kilka zdań w swoim notesie.

– Z kolei oficjalny watykański dokument stwierdza, że papież wraz ze swym zastępcą, biskupem Angelem Dell'Acqua, przeczytał treść tajemnicy dopiero dwudziestego siódmego marca sześćdziesiątego piątego roku. Czyli prawie dwa lata później.

– Chodzi o wizję ujawnioną w 2000 roku?

– Tak, chodzi o kopertę kardynała Bertone.

– Kardynała?

– Nie przesłyszałeś się, mój synu. Tarcisco Bertone został wyniesiony do godności kardynalskich w 2003 roku. Na marginesie, jestem pod wrażeniem twojej czujności. Czyżby mój wykład aż tak bardzo cię zainteresował?

– Oczywiście, ale proszę nie zapominać, że przez cały czas robię notatki – odparł z uśmiechem młodszy z mężczyzn.

– Notuj, mój synu, nigdy nie wiadomo, która z tych informacji może ci się przydać i kiedy.

– Ten Bertone to chyba niezła figura?

– Mogę tylko przytaknąć. W końcu to jemu papież powierzył zadanie ogłoszenia trzeciej tajemnicy fatimskiej. On też był w lutym 2005 roku specjalnym wysłannikiem papieża na pogrzebie siostry Łucji. Ale wróćmy może do losów koperty.

– Ta została odesłana do archiwum Świętego Oficjum? – Pytanie Bassantiego padło w tym samym czasie, co propozycja Fourniera.

– Tak wraz z decyzją o niepublikowaniu tekstu.

– I znowu obie te daty okazały się prawdziwe?

– Nie inaczej. Dwudziestego siódmego czerwca sześćdziesiątego trzeciego roku papież przeczytał słowa Matki Bożej, a dwudziestego siódmego marca sześćdziesiątego piątego roku wizję, której treść świat poznał w roku dwutysięcznym. Pozwól, że zacytuję ci wypowiedzi kilku osób, które zetknęły się z tekstem tajemnicy, i potwierdzają, że istnieją dwa różne teksty tajemnicy. Bo musisz wiedzieć, mój synu, że trzecia tajemnica została napisana w formie listu adresowanego do biskupa da Silvy. Tekst wizji opublikowany przez Watykan nie ma takiej formy.

– O jakich osobach mówimy?

– O ojcu Jongenie, kanoniku Galambie, kardynale Cerejeirze i biskupie Capovillim. Ojciec Jongen to ten, który się spotkał z siostrą Łucją w 1946 roku. Od zakonnicy usłyszał wtedy: „Już przekazałam trzecią część w liście adresowanym do biskupa Leirii”. Kanonik Galamba nadmienia: „Kiedy biskup odmówił otwarcia listu, Łucja kazała mu przyrzec...”. Kardynał Cerejeira, patriarcha Lizbony, w dniu siedemnastym września czterdziestego szóstego roku napisał: „Trzecią część tajemnicy ujawniono w opieczętowanym liście, który zostanie otwarty w 1960 roku” oraz „Łucja napisała tajemnicę w liście”. Z kolei biskup Capovilla, jeden z niewielu, którzy poznali treść

dokumentu, w wywiadzie udzielonym dla „Prospettive Nel Mondo” aż czterokrotnie użył słowa „list”.

– Czyli jak nic mamy do czynienia z dwoma dokumentami.

– Pamiętasz biskupa Venâncio?

– Tego, co doręczył kopertę nuncjuszowi?

– Tak.

– Co z nim?

– Zanim to zrobił, zbadał pod światło jej zawartość. W większej kopercie zobaczył mniejszą, a w niej zwykłą kartkę. Mniejsza koperta miała wymiary dwanaście centymetrów na osiemnaście.

– Czyli standardowa wielkość.

– Wyobraź sobie – kontynuował Fournier – że Venâncio nie tylko rozpoznał pismo siostry Łucji, ale zdołał też policzyć linijki tekstu. Było ich od dwudziestu do dwudziestu pięciu.

– Udało mu się odczytać tekst?

– Niestety nie. Odnotował też, że kartka miała marginesy szerokości trzech czwartych centymetra.

– Czyli wiemy jedynie, że ostatnia część tajemnicy fatimskiej została zapisana na małej kartce papieru. A wizja ujawniona w 2000 roku?

– Tę z kolei zapisano na czterech kartkach pozbawionych marginesów. Tekst liczy sześćdziesiąt dwie linijki. Przeczytam ci, co na ten temat mówi siostra Łucja: „Powiedziano mi, abym pisała zarówno w zeszycie, w którym kazano mi zapisywać mój duchowy dziennik, jak i na kartkach z zeszytu, które potem miały zostać włożone do koperty, opieczętowane i zalakowane”.

Po tej tyradzie słownej Bassanti zanotował podstawowe różnice pomiędzy dwoma dokumentami:

Dokument pierwszy:

1) Spisany lub ukończony 9 stycznia 1944 r. (lub kilka dni przed tą datą).
2) Napisany na pojedynczej kartce papieru.
3) 20–25 linijek, marginesy.
4) Napisany jako list, tzn. zaadresowany i podpisany.
5) Przekazany do Świętego Oficjum 16 kwietnia 1957 r.

6) Zawiera słowa Matki Bożej.
7) Przechowywany przy łóżku papieża.
8) Wspominany przez świadków. Nieopublikowany przez Watykan.
9) Wyjaśnia wizję.

Dokument drugi:
1) Spisany lub ukończony 3 stycznia 1944 r.
2) Napisany na czterech kartkach papieru.
3) 62 linijki, bez marginesów.
4) Nie ma formy listu, tzn. niezaadresowany i niepodpisany. Zapis w notatniku siostry Łucji.
5) Przekazany do Świętego Oficjum 4 kwietnia 1957 r.
6) Nie zawiera słów Matki Bożej.
7) Przechowywany w budynku Świętego Oficjum.
8) Opublikowany przez Watykan 26 czerwca 2000 r.
9) Opisuje wizję, jaką miała trójka dzieci pochodzących z Fatimy.

– Zapisałeś sobie wszystko?

– Chyba tak.

– To dopisz jeszcze przy dokumencie drugim informację, że ten opublikowany tekst tajemnicy został zbadany przez profesor Mariagrazię Russo.

– Kto to?

– Lingwistka i ekspertka języka portugalskiego.

– Coś znalazła?

– Wprost przeciwnie. W ogłoszonym tekście stwierdziła nie tylko brak obecności dialektu, ale i jakichkolwiek regionalizmów.

– Czyli tego, do czego ściągnięto Tavaresa z Sekretariatu Stanu?

– To taka wisienka na torcie.

– Jeśli już bawimy się w spożywcze metafory, to powiedziałbym raczej, że to, co wyrabia Watykan, to niezły pasztet.

– To jeszcze nie koniec rewelacji.

– Jak to?

– Jeśli chcesz, opowiem ci jeszcze o odrzuceniu prośby siostry Łucji o audiencję i o wywiadzie, jakiego udzieliła w 2001 roku.

– Oczywiście, że chcę. Serio papież odmówił audiencji Widzącej?

– Tak.

– Który? Roncalli czy Montini?

– Paweł VI.

– Kiedy?

– W sześćdziesiątym siódmym roku. Był wtedy z pielgrzymką w Fatimie. Portugalska dziennikarka Aura Miguel tak opisała spotkanie siostry Łucji z papieżem: „Zakonnica podchodzi do papieża, prosi o rozmowę z nim, mówi, że ma mu do przekazania orędzie, jednak Paweł VI wydaje się nie być należycie do tego usposobiony i odsyła ją na rozmowę z jej biskupem". Z kolei Tornielli tak to opisuje: „siostra Łucja klęka, widać, że coś mówi do papieża, ale tutaj zachowanie się zmienia, wyczuwa się na podstawie gestów, że ten odmawia i prosi zakonnicę o nienaleganie. Łucja chciałaby porozmawiać w cztery oczy, papież prosi ją uprzejmie, ale stanowczo, aby zwróciła się do swojego biskupa". W istocie papież „nie chce rozmawiać z nią prywatnie", a „odmowa papieża została utrwalona na zawsze na taśmach filmowych".

– Papież publicznie odmówił siostrze Łucji?

– Jean Guitton, który był przyjacielem i powiernikiem papieża Pawła VI, wbił kolejny gwóźdź do trumny, wspominając: „Szorstko odpowiedział: Zwróć się do swojego biskupa".

– To się w głowie nie mieści.

– I nie powinno. Ale to nie jedyny powód zdziwienia w całej historii objawień fatimskich.

– Co ksiądz kardynał ma na myśli?

– Chociażby wywiad, jakiego udzieliła siostra Łucja arcybiskupowi Tarcisco Bertone.

– W 2001 roku był już arcybiskupem?

– Widzę, że nic nie umknie twojej uwadze.

– Kiedy doszło do ich spotkania?

– Siedemnastego listopada w klasztorze w Coimbrze. Tego dnia arcybiskup Bertone, pełniący wówczas funkcję Sekretarza Kongregacji Nauki Wiary, spotkał się z siostrą Łucją. Chciał wyjaśnić kilku aspektów dotyczących publikacji orędzia fatimskiego.

– Chodzi o publikację z czerwca 2000 roku? – upewnił się Bassanti.

– Tak. Rozmowa odbyła się w obecności ojca Luísa Kondora, wicepostulatora w procesie beatyfikacyjnym Franciszka i Hiacynty, oraz przełożonej Karmelu świętej Teresy, za zgodą Jego Eminencji kardynała Josepha Ratzingera oraz biskupów Leirii-Fatimy i Coimbry.

– Sporo świadków i jeszcze więcej pozwoleń.

– Słuchaj dalej. Trwająca ponad dwie godziny rozmowa odbyła się w sobotę po południu. Siostra Łucja, jak na dziewięćdziesięcioczterolatkę, wydawała się być w dobrej formie.

– Czy wywiad nagrywano?

– Ależ skąd!

– Chyba ksiądz kardynał żartuje! – wyrwało się Bassantiemu.

– Niestety nie. Wyobraź sobie, że z wywiadu z jedyną Widzącą z Fatimy nie sporządzono nie tyko nagrania, ale i nawet transkrypcji stenograficznej.

– Nikt tego nie nagrał, naprawdę? Żadnego zapisu wideo albo chociaż audio? Nic?

– Nic. Nie istnieje również żaden spis pytań i odpowiedzi, którego przygotowanie byłoby raczej obowiązkowe w przypadku tak ważnego wywiadu.

– To idiotyczne! Przecież ta kobieta miała prawie sto lat i każdy głupi wiedział, że i zdrowie, i wiek za chwilę pozbawią jej kolejnych okazji do wyjawienia całej prawdy.

– Może właśnie o to chodziło?

– Ksiądz kardynał jest niezłym prowokatorem – stwierdził autorytarnie Bassanti.

– A ty tak nie sądzisz?

– Ja to co innego.

– Doprawdy? – Pytanie było z gatunku retorycznych, bo nim gość Fourniera zdążył otworzyć usta, kardynał senior wznowił swój wywód: – Arcybiskup Bertone miał spotkać się z siostrą Łucją w celu rozwiania wszelkich wątpliwości, które narosły wokół trzeciej tajemnicy oraz uciszenia polemik, jakie rozpoczęły się w przestrzeni publicznej po jej wyjawieniu przez Watykan. Takie było założenie. A co otrzymali wierni?

– Pewnie niewiele.

– To i tak za dużo powiedziane. Z rozmowy z Widzącą arcybiskup Bertone przekazał jedynie zwięzłe streszczenie z niewielką liczbą zacytowanych wypowiedzi zakonnicy.

– Aż tak źle?

– Ojciec Paul Kramer zdołał wyłowić z tego jedynie czterdzieści dwa słowa, które przypisano siostrze Łucji.

– Czterdzieści dwa słowa na dwie godziny wywiadu? – Bassanti nie krył niedowierzania.

– Ni mniej, ni więcej. Aby rozbudować wypowiedź siostry Łucji, przypisano Widzącej wykorzystanie bardzo długiego cytatu z teologicznego komentarza Ratzingera. Oczywiste jest, że z racji wieku zakonnica nie mogła przytoczyć tekstu z pamięci.

– Dołączono go do wypowiedzi siostry Łucji tylko po to, żeby wydłużyć streszczenie?

– Najwyraźniej.

– A co z pozostałym czasem? O czym wtedy rozmawiano?

– Tego się już raczej nie dowiemy.

– Dlaczego Watykan tak bardzo obawiał się zarejestrować wypowiedź siostry Łucji? Dlaczego uznał, że to aż takie ryzykowne?

– Jeśli już nawet nie zdecydowano się na zapis wideo czy nawet audio, to czemu nie skorzystano z pomocy stenografa? – zastanawiał się na głos Fournier.

– Ano właśnie. Najlepszym rozwiązaniem byłby zapis wideo, bo to ucięłoby wszelkie spekulacje i rozwiało wątpliwości. Ale tak się nie stało.

– Nawet nie zdecydowano się na zorganizowanie rozmowy z osobami *super partes* – skwitował, kręcąc głową Fournier.

– Jakimi osobami?

– Bezstronnymi. Takimi, które nie byłyby związane z Kościołem, zachowałyby obiektywizm, a co za tym idzie: bezstronność w przypadku jakiegokolwiek sporu.

– W dodatku to wywiad z odizolowaną od świata staruszką, która przyjęła śluby posłuszeństwa. A to chyba daje do myślenia?

– I tu dochodzimy do sedna sprawy.

– Co ksiądz kardynał przez to rozumie?

– Nakazano jej milczenie, zatem nie mogła wypowiadać się swobodnie, dementować czy zaprzeczać czemukolwiek. W dodatku arcybiskup Bertone był jej zwierzchnikiem.

– W mojej ocenie przytoczone przez księdza kardynała okoliczności pozbawiają wszelkiej wiarygodności nawet te nieliczne słowa, które przypisano jedynemu żyjącemu świadkowi objawienia.

– Nawet jeśli tak nie jest i siostra Łucja w trakcie spotkania wypowiedziała kilka prawdziwych słów, to nie dotyczyły one tajemnicy fatimskiej a były jedynie luźnymi wspomnieniami z dzieciństwa, jak choćby te o wakacjach, które jako dziecko spędzała w „Bradze u signory Filomeny Mirandy, świadka bierzmowania”.

– A proszę mi jeszcze powiedzieć, w jakim języku prowadzono rozmowę? Tylko niech ksiądz kardynał mi nie mówi, że po włosku.

– Nie, skądże. Jedynie sprawozdanie z rozmowy opatrzone podpisami arcybiskupa Bertone oraz siostry Łucji opublikowano w tym języku.

– Ale to nie zmienia faktu, że siostra Łucja chyba nie mówiła po włosku?

– No nie. Z informacji, jakie posiadam, wynika, że rozmawiano po portugalsku i hiszpańsku.

– Dlaczego zatem nie istnieje tekst portugalski?

– Na to pytanie nie umiem ci niestety odpowiedzieć.

– Czyli na tym koniec tajemnic?

– Niekoniecznie – odparł Fournier z tajemniczą miną.

– To znaczy?

– Wiem od Isazy, że wspomniał ci o pewnym policjancie.

– Faktycznie. – Bassanti usiłował sobie przypomnieć imię i nazwisko mężczyzny, którego wizytówkę wrzucił do notesu. Niestety doszedł jedynie do tego, że jego nazwisko zaczynało się na piątą literę alfabetu.

– Philippe Edery to mój serdeczny przyjaciel, znamy się od lat. Ma być u mnie w najbliższy poniedziałek. Może byś do nas dołączył?

– Nie bardzo rozumiem, co policjant ma wspólnego z naszą rozmową? – W głosie Bassantiego można było wyczuć wahanie.

– Zaufaj mi. To, nad czym ostatnio pracował Edery, ma aż za wiele z tym wspólnego.

– Zaciekawił mnie ksiądz kardynał.

– Zatem rozważ moją propozycję. Masz jakieś zobowiązania na poniedziałek? To jakiś problem, żebyś został w Awinionie na kilka dni?

– Rozważę propozycję księdza kardynała. Czy mógłbym jutro dać odpowiedź?

– Oczywiście.

– Zanim jednak wyjdę, chciałbym zadać jedno pytanie.

– Pytaj, synu. Co chciałbyś jeszcze wiedzieć?

Pytanie, jakie zadał Bassanti, dosłownie wbiło Fourniera w fotel. Nie tyle go ono zaskoczyło, co spowodowało, że zabrakło mu powietrza w płucach. Był pewny, że zbladł. Temat intronizacji Lucyfera w ogóle nie powinien się pojawić podczas tej rozmowy.

– Ksiądz kardynał wygląda, jakby dostał obuchem w głowę albo jakby zobaczył diabła – stwierdził Bassanti, patrząc na bladą jak kreda twarz swego rozmówcy.

– Bo i zobaczyłem.

– Nie chce ksiądz kardynał rozmawiać na ten temat?

– Nie powiedziałem, że nic chcę. Nie mogę o tym rozmawiać – stwierdził z całą stanowczością.

– Ale nie neguje ksiądz kardynał, że intronizacja miała miejsce?

– Powiem tak: nie zaprzeczam ani nie potwierdzam.

– W takim razie proszę obejrzeć film, który wgrałem na pendrive. –Mówiąc to, Bassanti wyciągnął z torby nośnik, na który zgrał cyfrowy zapis ceremonii.

– Chcesz mi to zostawić? – dopytywał z niedowierzaniem Fournier, jednocześnie ściskając zachłannie zdobycz i nerwowo się rozglądając.

– Tak. Chcę poznać zdanie księdza kardynała na ten temat. Proszę do mnie koniecznie zadzwonić, jak tylko ksiądz kardynał to obejrzy – poprosił na odchodne, wręczając gospodarzowi kartkę z numerem do hotelu, w którym się zatrzymał. – Godzina nie gra roli. Proszę śmiało dzwonić.

– Przecież mogę cię obudzić.

– Co z tego?

Ledwo za Bassantim zatrzasnęły się drzwi, a portier drugi raz tego dnia zabawił się w donosiciela.

* * *

We wrześniu 1989 roku Watykański Sekretariat Stanu zwrócił się z apelem do zakonów o stałą modlitwę w intencji oddalenia trzeciej tajemnicy fatimskiej i unicestwienia groźby jej spełnienia.

* * *

Podczas gdy kardynał senior oglądał w samotności dokument o intronizacji Lucyfera, dyrektor Domu Księży Emerytów odbył krótką rozmowę z siostrą Marią. Informacje, jakich dostarczyła mu zakonnica, były co najmniej niepokojące. Musiał zadzwonić do Watykanu. Sprawa była pilna i nie mogła czekać do rana. Wtedy byłoby już za późno. Im szybciej podejmie środki ostrożności, tym lepiej. Pierre Lambert nie lubił problemów. Szybko odprawił żeński habit i jeszcze szybciej wybrał numer do osobistego sekretarza papieża. Giancarlo Roberto Russo odebrał po pierwszym sygnale.

– Wasza Eminencjo, przepraszam, że niepokoję o tak późnej porze, ale sprawa jest poważna.

– O co chodzi? – zapytał spokojnym głosem kardynał nienawykły do poddawania się jakimkolwiek emocjom.

– Chodzi o Jacques'a Fourniera.

– Coś się stało kardynałowi seniorowi?

– Nie. Ale miał dzisiaj gościa.

– Tak, wiem. Odwiedził go Bassanti.

– Nic nie umknie uwagi księdza kardynała.

– Może powie pan wreszcie, o co chodzi.

– O film z ceremonii, która odbyła się dwudziestego dziewiątego czerwca 1963 roku. Fournier właśnie go ogląda.

– Z intronizacji? – W głosie sekretarza Russo pobrzmiewało niedowierzanie. – Skąd go ma? Jest pan pewny, że to na pewno ten dokument?

– Jestem pewny – odparł stanowczo Lambert. – Najwyraźniej dostał go od Bassantiego. Siostra Maria zajrzała do Fourniera tuż po wyjściu jego gościa i zauważyła pendrive'a wystającego z laptopa. Na szczęście jej wprawny wzrok uchwycił także kilka kadrów, zanim kardynał senior zamknął klapę laptopa i wygonił ją z pokoju.

– Jest pan pewny, co do nagrania?

– Oczywiście. Zresztą nie po to w każdym pokoju zainstalowałem ukryte kamery, abym teraz miał jakiekolwiek wątpliwości. Nawet w tej chwili oglądam, co robi Fournier.

– Rozumiem.

– Co mam z tym zrobić?

– Uciszyć go. Pendrive też ma zniknąć z jego pokoju. Jutro przyślę kogoś po nagranie.

* * *

Hotel, noc z piątku na sobotę

Gdy wybierał numer Portugalczyka, w głowie nadal słyszał głos Fourniera. Mimo uwag uczynionych przez siostrę Marię pozostawał pod wrażeniem bystrości umysłu kardynała seniora. Był pewny, że podczas ich rozmowy poza sprawdzeniem kilku

cytatów duchowny ani razu nie spojrzał do laptopa. Kardynał senior był dosłownie naszpikowany informacjami, które wyrzucał z siebie jedna po drugiej. Czyżby potrzebował słuchacza? – przebiegło przez myśl Bassantiemu. Czyżby nigdy z nikim na ten temat nie rozmawiał? To niemożliwe. A może chciał się tym wszystkim podzielić z Bassantim, tylko dlatego, że i jemu zostało niewiele czasu? Szybko skarcił się za tę ostatnią myśl. Kardynał był w dobrym zdrowiu i poza wiekiem nic nie uprawniało go do takich przemyśleń. Musiał być inny powód. Tylko jaki? Czyżby była nim prośba Isazy? Mało prawdopodobne. W takim razie co?

Isaza oczywiście nie odebrał. Jego telefon milczał. Bassantiemu nie pozostało nic innego, jak tylko wziąć szybki prysznic i położyć się do łóżka. Tak też zrobił.

Miał wrażenie, że ledwie zasnął, obudził go telefon. To pewnie Fournier obejrzał film i chciał się podzielić odczuciami – pomyślał, sięgając po słuchawkę. Ale ku jego zdziwieniu po drugiej stronie panowała kompletna cisza. Miał się już rozłączyć, gdy usłyszał niezrozumiały szept, po nim słowo „ratunku”, następnie ciche charczenie, a w końcu łomot. Kilka sekund później ktoś odłożył słuchawkę na widełki.

Wyskoczył z łóżka jak oparzony. Czyżby dzwoniącym był Fournier? Czyżby coś mu się stało? Zasłabł? Ale dlaczego nie wzywał pomocy, tylko dzwonił do niego? Czyżby coś mu zagrażało? A może u Fourniera był ktoś obcy? Błyskawicznie przebrał się w spodnie i bluzę, wziął dokumenty i wybiegł z hotelu. Odcinek do Domu Księży Emerytów pokonał biegiem. Nawet nie zauważył, jak minął dawną rezydencję papieży, wzniesioną w okresie niewoli awiniońskiej. Zanim wpadł do budynku, z którego wyszedł kilka godzin wcześniej, zdążył jedynie zarejestrować, że tuż przed drzwiami stała karetka pogotowia.

Niczego się nie dowiedział i wypchnięto go przed budynek. Portier o aparycji goryla, który w międzyczasie przejął nocną zmianę, nie patyczkował się z nim. Nie obchodziło go, że Bassanti jest znajomym Fourniera, że niepokoi się o jego stan zdrowia. Łapy wielkości bochnów chleba, które złapały go za

bluzę w okolicy szyi, skutecznie uniemożliwiły mu zasięgnięcie jakiekolwiek informacji.

– Wypierdalaj stąd! Słyszysz? I żebym cię tu więcej nie widział – usłyszał, zanim został przewrócony na ziemię.

Wstał, otrzepał spodnie i już miał odejść, gdy zawołał go siedzący za kierownicą karetki mężczyzna. Wyglądało na to, że był on jedynym widzem sceny, w której Bassanti odegrał główną rolę.

– Co się stało? – zapytał.

– Chciałem tego faceta – mówiąc to, Bassanti pokazał w stronę budynku – zapytać o to samo, ale chyba za bardzo przejął się rolą dozorcy, bo sam pan widział, co się stało.

– Czemu nie wpuścił pana do budynku?

– Teoretycznie miał prawo to zrobić. Ale liczyłem na jego zrozumienie. Jakieś dwadzieścia minut temu otrzymałem dziwny telefon. Wydawało mi się, że dzwonił mój znajomy, emerytowany kardynał, który tu mieszka. Miałem wrażenie, że ten ktoś wzywał pomocy. Bardzo mnie to zaniepokoiło. Dlatego tu przybiegłem. Gdy chciałem zapytać o jego stan zdrowia, ten troglodyta chwycił mnie za bluzę i jakby nigdy nic wywalił na zbity pysk.

– Jak nazywa się ten pański znajomy?

– Jacques Fournier.

– Takie nazwisko podał nam dyspozytor.

– Czyli dostaliście wezwanie do kardynała?

– Szczerze powiedziawszy, nie mam pojęcia, kim jest ten pański Jacques Fournier. Wiem tylko tyle, że tak nazywa się pacjent, po którego przyjechaliśmy, i że miał rozległy zawał.

– Nie wie pan, czy z tego wyjdzie? – dopytywał Bassanti coraz bardziej przejęty losem kardynała.

– Nie wiem. Proszę zadzwonić do mnie rano. – Z tymi słowami wręczył Bassantiemu kawałek kartki z zanotowanym odręcznie numerem telefonu. – Może uda mi się czegoś dowiedzieć. Niczego nie obiecuję. Oboje jesteśmy dla niego obcy.

– Pan ma jednak tę przewagę nade mną, że jest pracownikiem szpitala.

– To czasami niewiele zmienia.

* * *

Awinion, hotel, sobota

Najpierw to Bassanti wykonał telefony. Priorytetem jest stan Jacquesa Fourniera. Priorytetem jest, gdy wykręca numer szpitala, chwilę później czas teraźniejszy zmienia się na przeszły. Kardynał nie żyje. Odszedł w spokoju. Bassanti nie ma pytań. Rozłączył się przed upływem minuty.

Po kilku chwilach wybiera kolejny numer, tym razem na wyspę Ouessant. Ale nie udaje mu się dodzwonić. Aparat milczy. Ktoś przeciął kable. Ktoś polował.

Potem dzwonią do Bassantiego. Najpierw madame Chantal, która nie dała mu dojść do słowa i z prędkością karabinu maszynowego poinformowała go, że dostał list od jakiejś siostry Ursuli. Bassanti poprosił o przeczytanie. Siostra Ursula zawiadamiała, gdzie przebywa, pytała o rezultaty jego prywatnego śledztwa i prosiła o odwiedziny.

List od zakonnicy zmienił plany Bassantiego. Już wiedział, że z Ederym spotka się nieco później.

Rozdział VI

PHILIPPE EDERY SPOTYKA SIOSTRĘ ŁUCJĘ

A liczba wojsk – konnicy: dwie miriady miriad – posłyszałem ich liczbę. I tak ujrzałem w widzeniu konie i tych, co na nich siedzieli, mających pancerze barwy ognia, hiacyntu i siarki. A głowy koni jak głowy lwów, a z pysków ich wychodzi ogień, dym i siarka. (...) Moc bowiem koni jest w ich pyskach i w ich ogonach, bo ich ogony – podobne do węży: mają głowy i nimi czynią szkodę. (Ap 9, 16–17, 19)

Beauvais, nadal sobota

Do Beauvais Bassanti dotarł, gdy się ściemniało. Ponieważ dochodziła dwudziesta, zrezygnował z jakichkolwiek prób kontaktu z siostrą Ursulą. Sam też był zbyt zmęczony, by kontynuować dalszą jazdę. Podjął decyzję, że z zakonnicą skontaktuje się z samego rana.

Hotel, w którym się zatrzymał, położony był przy drodze N31 w kierunku Gounay-en-Bray. Jego wybór nie był przypadkowy. Do Neuf-Marché miał stąd zaledwie dziesięć minut drogi.

Zanim zszedł do hotelowej restauracji, odruchowo wybrał numer Isazy. Ale telefon nadal milczał. Po Portugalczyku nie było śladu. Czynność powtórzył jeszcze dwukrotnie tego wieczoru. Bez skutku. Kolejny raz usiłował skontaktować się z mieszkańcem Ouessant w niedzielę rano. Po raz enty odpowiedziała mu cisza w słuchawce. Wyglądało na to, że Isaza rozpłynął się w powietrzu. Z telefonu na telefon Bassanti był coraz bardziej przejęty losem wyspiarza, a jego myśli stawały się coraz bardziej ponure.

Co takiego się wydarzyło?

* * *

Neuf-Marché, Zgromadzenie Służebnic Najświętszego Serca Jezusowego, niedziela

Siostra Ursula kończyła jeść śniadanie, gdy poproszono ją do telefonu. Bassanti wyjaśnił jej, że jest w okolicy i zaproponował spotkanie. Sercanka nie tylko przystała na jego propozycję, ale przede wszystkim ogromnie się ucieszyła z wizyty. Po krótkiej rozmowie ustalili, że najlepiej będzie, jak porozmawiają z dala od zabudowań klasztornych i parafii Gounay-en-Bray. Już raz przekonali się, że ściany mają uszy. Drugi raz nie zamierzali popełniać tego samego błędu.

Bassanti zaproponował wyjazd nad morze. Siostra Ursula była wprawdzie nieco zdziwiona tą, jej zdaniem, bardzo ekscentryczną propozycją, ale chętnie na nią przystała. Po pierwsze od zawsze lubiła morze, po drugie nie wiedziała, czy i kiedy będzie mieć kolejną okazję, by je oglądać. Bassanti z kolei uwielbiał patrzeć na sunące po szerokich plażach *char-à-voile*[20]. Jak zaplanowali, tak zrobili. Na cel podróży wybrali Le Toquet-Paris-Plage. Odległość do Berck pokonali w niecałe półtorej godziny. Do Le Toquet dotarli po kolejnych kilku minutach. Dzień był piękny. Porywisty wiatr, jaki ich przywitał, gwarantował, że po piaszczystych, szerokich plażach szarżować będą żaglowozy.

Do Neuf-Marché wrócili przed siedemnastą. Osiem godzin, które ze sobą spędzili, pozwoliły nie tylko nacieszyć oczy widokiem morza, ale i zjeść porządny obiad oraz porozmawiać. Choć ich rozmowy polegały głównie na monologu Bassantiego, sercanka chłonęła wszelkie wiadomości i wnioski, do jakich wspólnie potem dochodzili, brały swój początek w głowie zakonnicy. To ona najpierw wyszukiwała, a potem chwytała poszczególne nici pajęczyny. Wreszcie to ona splatała z nich wzór. Młodszy brat księdza, u którego służyła, jedynie dorzucał do tego maleńkie kawałeczki układanki. Gdy się żegnali, wzór

był prawie gotowy. Bassantiemu pozostało jedynie spotkać się z Ederym i wyjaśnić zagadkę zniknięcia Isazy.

Nim siostra Ursula dotarła do drzwi swej celi, matka przełożona zdążyła poinformować kilku dostojników kościelnych o wizycie Bassantiego. Pierwszy telefon wykonała do Sardoniego, potem zadzwoniła jeszcze do paru innych oficjeli. Po tych rozmowach uznała, że jak na jej gust siostra Ursula interesuje zbyt wiele osób. Od początku nie było jej na rękę, że akurat do klasztoru pod jej opieką miała przybyć osoba, którą interesował się Watykan. Już wtedy wiedziała, że z tego mogą być tylko problemy. I nie pomyliła się. Watykan był żądny krwi. Problem polegał na tym, że ona nie miała zamiaru poplamić sobie nią rąk. Musiała to załatwić inaczej. Jak? Tego jeszcze nie wiedziała. Na razie siostra Ursula była bezpieczna. Ale to „na razie" było względne.

* * *

Paryż, hotel

Nie mógł zasnąć. Było za późno, aby zadzwonić do Edery'ego, i za wcześnie na spotkanie ze snem. Niepokój o Isazę i rozmowa z siostrą Ursulą wpłynęły na Bassantiego bardziej, niżby chciał się do tego przyznać. O ile na los Isazy nie miał wpływu, to na rozwikłanie tajemnicy związanej ze śmiercią brata już tak. Wyglądało na to, że jest o krok od jej rozwiązania. Dostrzegł to jednak dopiero podczas rozmowy z sercanką. To ona otworzyła mu oczy na fakty i wskazała kierunek, w jakim ma podążać. Gdy przeanalizowali każdą wiadomość, każdą informację, na jaką natrafił podczas własnego śledztwa, nasuwał się tylko jeden wniosek. Teraz pozostało mu jedynie spotkać się z Ederym oraz spróbować wyjednać sobie audiencję u papieża.

Było już grubo po północy, a on wciąż leżał i przerzucał kanały w telewizji. W końcu zatrzymał się na kanale France 3 Bretagne. Nie potrafił powiedzieć, czemu wybrał akurat tę

stację. Czy zatrzymał się na niej wiedziony jakimś przeczuciem, czy też w grę wchodził sentyment, że jeszcze kilka dni temu mieszkał w tym regionie? Informację o zaginionym mieszkańcu wyspy Ouessant podano za kwadrans pierwsza. Z początku Bassanti nie zwrócił na nią uwagi, ale gdy prezenter wspomniał o dryfującej u wybrzeży wyspy łodzi rybackiej, od razu pomyślał o Isazie. Czyżby jego złe przeczucia miały się właśnie ziścić? Czyżby zaginionym mężczyzną był Portugalczyk? Migawka z odnalezioną łodzią niewiele mu powiedziała. Bassanti nie miał pojęcia, ani jaką łódź miał zaginiony, ani jaką nosiła ona nazwę.

Tej nocy już nie zmrużył oka.

* * *

Wprawne oko obserwatora dostrzegłoby dwie zakapturzone postacie, które szamotały się z cumą skradzionej motorówki w niewielkim porcie Le Conquet. Wprawne oko by to dostrzegło, jednak tej sceny nikt nie obserwował. Był kwadrans po północy w nocy z niedzieli na poniedziałek.

– Dobrze, że ta pierdolona motorówka się nie zepsuła. Już myślałem, że utkniemy na tej pieprzonej wyspie. Tylko tego by brakowało – utyskiwał młodszy z mężczyzn.

– Najważniejsze, że mamy te zasrane taśmy – skwitował jego kompan.

– Ciekawe, co na nich jest, że musieliśmy zachrzaniać po nie taki szmat drogi.

– Nie interesuj się. Lepiej nie wiedzieć – uciął dywagacje swojego towarzysza starszy z mężczyzn. – Dziad z Awinionu nie kłamał i to się liczy – dodał, wiążąc linę do pierścienia cumowniczego, który wymacał w ciemnościach.

– Racja. Zanim zdechł w męczarniach powiedział prawdę. Ale muszę ci się przyznać, że dopóki nie znaleźliśmy rolek z filmami, ani trochę nie wierzyłem w jego bajeczkę.

* * *

Paryż, hotel, poniedziałek

Tuż przed szóstą Bassanti zadzwonił do madame Chantal. Tylko ona mogła mu pomóc. Nie zważając na utyskiwania leciwej damy, że jest środek nocy, a ona nieprzytomna i nie pojmuje, o czym on mówi, opowiedział jej, co usłyszał w wieczornych wiadomościach. Gdy madame Chantal otrząsnęła się z resztek snu, poprosił ją o kolejną przysługę. Nalegał przy tym nie tylko na to, żeby jej znajomy udał się do domu Isazy, ale by nie zważając na nic, wszedł do środka i zabrał należące do Chiantiniego rolki z filmami.

Chwilę trwało, nim wielbicielka horoskopów przystała na jego propozycję. Nie dała się tylko przekonać, że sprawa jest na tyle pilna, by budzić kolejne osoby. Uznała, że bez względu na wszystko jej telefon na wyspę Ouessant może zaczekać do godziny ósmej. Jak obiecała, tak zrobiła. Nim minęła kolejna godzina, wiedziała już wszystko. Bassanti nadal czekał. Po Isazie nie było śladu, podobnie rzecz się miała z filmami. Dom Portugalczyka został splądrowany i wyglądał jak pobojowisko.

Gdy madame Chantal prosiła znajomego o nietypową przysługę, Bassanti usiłował złapać Edery'ego. Jednak w przeciwieństwie do działań podjętych przez Francuzkę nie odniósł sukcesu. Za każdym razem, gdy wybierał numer policjanta, zgłaszała się poczta głosowa. Musiał uzbroić się w cierpliwość.

Jeszcze długo po telefonie od madame Chantal zadawał sobie pytanie, czy śmierć Isazy była przypadkowa. Jeszcze dłużej próbował sobie wmówić, że tak. Ale dobrze wiedział, że się okłamuje.

Edery odnalazł się dopiero późnym wieczorem. Przeprosił Bassantiego, za to, że ten nie mógł się z nim skontaktować i wyjaśnił, że był w Awinionie na pogrzebie kardynała Fourniera. Potem rozładowała mu się komórka. Ponieważ nie wziął ze sobą ładowarki, dopiero po powrocie do domu odzyskał łączność ze światem.

Rozmawiali zaledwie chwilę. Gdy tylko Bassanti napomknął o posiadanych zdjęciach siostry Łucji, były gliniarz szybko

zmienił temat.

– Proszę się nie gniewać, ale o pewnych kwestiach nie chcę rozmawiać przez telefon. Zawodowa ostrożność.

– Rozumiem. To może znalazłby pan czas na spotkanie ze mną? – zapytał Bassanti, któremu o wiele bardziej zależało na rozmowie z ekspertem od antropometrii.

– Ależ oczywiście. Czy nie tego życzyłby sobie nasz ukochany kardynał senior?

– Chyba tak.

– W takim razie proszę przyjść jutro do Paryskiego Instytutu Ekspertyz Sądowych. Wie pan, gdzie to jest?

– Znajdę.

– Mój gabinet znajduje się na drugim piętrze. Pokój dwieście sześćdziesiąt dwa, w prawym skrzydle budynku.

– O której mam być?

– W Instytucie będę od rana. Ale proszę przyjść przed jedenastą. Do tego czasu pozbędę się wszystkich natrętów i będziemy mogli spokojnie porozmawiać.

– W takim razie zjawię się przed jedenastą.

– Proszę nie zapomnieć zabrać ze sobą zdjęć.

Tym razem w wiadomościach wieczornych podano, że w jednej z zatok wyspy Ouessant odnaleziono ciało mężczyzny. Jego tożsamości nie potwierdzono, ale był to prawdopodobnie Hernán Isaza, rybak, który zaginął kilka dni wcześniej.

* * *

Paryż, Instytut Ekspertyz Sądowych, wtorek

Instytut mieścił się w samym centrum Paryża. Ale w przeciwieństwie do otaczających go zabytkowych budynków, do których tak lgnęli turyści, jego bryła była nijaka, a fasada obskurna i odrapana. Nieco lepiej prezentowało się wnętrze tej instytucji.

Bassanti przeciął rozległy korytarz i skierował się do windy. Drugie piętro przywitało go zapachem środków czystości.

Rozejrzał się niepewnie i ruszył w prawo, zgodnie ze wskazówkami Edery'ego. Prawe skrzydło było niczym ramię Goliata. Szedł i szedł, co krok mijając kolejne gabinety. Pocieszał się tym, że numeracja na drzwiach rosła, co go uspokoiło. Podążał we właściwym kierunku. W końcu dostrzegł numer 262. Zastukał w drzwi, ale nikt nie otworzył. Ponownie zastukał i nacisnął na klamkę. Drzwi ani drgnęły. Spojrzał na zegarek. Dochodziła jedenasta. Czy Edery zapomniał o spotkaniu? Przecież zapowiadał, że w Instytucie będzie od samego rana. Czyżby jednak zmienił plany? Już miał odejść, gdy w głębi pokoju usłyszał hałas. Ku jego zdziwieniu kilka sekund później w drzwiach pojawił się mężczyzna.

Philippe Edery był wysoki i dobrze zbudowany. Miał pociągłą twarz, roześmiane oczy, ciemne włosy, wysokie czoło i orli nos, na którym opierały się druciane okulary o okrągłych oprawkach. Mimo garnituru i dość dobrze dobranej koszuli, prezentował się niechlujnie, jakby spał w ubraniu. Podobnie prezentował się jego gabinet – ciemny, zawalony po sufit wszelkiej maści papierzyskami i pokryty kurzem. Bassanti poczuł się tak, jakby wszedł do jaskini. Dla dopełnienia atmosfery brakowało jedynie stalaktytów i stalagmitów. Cała reszta pasowała idealnie, łącznie z panującą w pomieszczeniu temperaturą. Czyżby w oknach nie było szyb? – przebiegło przez myśl Bassantiemu.

– Przepraszam najmocniej. Pracowałem wczoraj do późna i teraz, korzystając z chwili wolnego, zasnąłem. Mam tu mała kozetkę. Sam pan widzi – powiedział Edery, wskazując tonący w mroku mebel.

– Ważne, że się pan szybko odnalazł – odparł Bassanti, wyciągając rękę na powitanie.

– Witam, witam. Proszę się rozgościć.

– Dziękuję. Jeśli pan pozwoli, to usiądę na kozetce. – Wybór miejsca nie był przypadkowy, ponieważ tylko ono nie tonęło pod stosem papierów i przedmiotów.

– Przepraszam za bałagan, ale nigdy nie przywiązywałem wagi do porządku. W dodatku jestem kawalerem – dodał Edery usprawiedliwiająco. Bassanti taktownie przemilczał swój stan

cywilny, nie dopatrując się żadnych podobieństw pomiędzy sobą a gospodarzem.

– W Instytucie już się przyzwyczaili, że nie tylko tu pomieszkuję, ale że mam też własne poczucie porządku. Może napije się pan czegoś?

– Jeżeli nie sprawi to panu kłopotu, poproszę kawę.

Przez chwilę Bassanti miał poważne wątpliwości co do czystości kubków, w których miał wylądować czarny płyn. Na szczęście okazało się, że były one przedwczesne, a naczynia lśniły czystością.

– Czym się pan zajmuje? – zagadnął Bassanti. – Wchodząc tu, nie widziałem żadnej tabliczki z pańskim nazwiskiem.

– Jestem antropologiem. Jeszcze pięć lat temu pracowałem na etacie policyjnego psychologa i profilera.

– I co, znudziło się panu?

– I tak, i nie. Lubiłem pracę w policji, ale mnie ograniczała. Zawsze chciałem się rozwijać. Mam na koncie dwa dyplomy i doktorat z antropologii. Gdy skończyłem drugi kierunek studiów, uznałem, że najwyższy czas na zmiany.

– I rzucił pan robotę w policji ot tak, z dnia na dzień?

– Ależ skąd. Prawie dziesięć lat mi to zajęło. W międzyczasie zrobiłem doktorat i zaliczyłem kilkanaście kursów.

– Nieźle. Czyli jest pan stosunkowo młodym pracownikiem Instytutu?

– Tylko stażem – odparł były gliniarz, uśmiechając się pod nosem. – Dobiegam pięćdziesiątki i na tle pracujących tu ludzi wypadam prawie jak emeryt.

– Jest pan biegłym sądowym?

– Tak. Moja specjalność to antropologia fizyczna i sądowa. Sporządzam ekspertyzy dla policji i sądów.

– A prywatne zlecenia?

– Też, oczywiście. Całkiem niemało jest tego typu spraw.

– Z czym ma pan najczęściej do czynienia?

– Z biometrią.

– Biometrią?

– Tak. Celem biometrii jest identyfikacja ludzi lub weryfikacja przedstawianej tożsamości. Tworzy ona swego rodzaju

mechanizm automatycznego rozpoznawania ludzi na postawie ich charakterystycznych unikatowych cech.

– Rozumiem – odparł Bassanti, tak naprawdę niewiele rozumiejąc z tego, co powiedział Edery.

– Mierzone i porównywane cechy powinny być unikatowe i stałe. – Antropolog, nie dostrzegłszy braku zainteresowania u Bassantiego, kontynuował wywód. – Cechy biometryczne podzielić można na dwie kategorie: fizyczne i behawioralne. Do pierwszej z nich zalicza się: odcisk palca, geometrię dłoni, układ naczyń krwionośnych dłoni, obraz twarzy, obraz termiczny twarzy, tęczówkę oka, szablon siatkówki oka, statyczny podpis (obraz podpisu), kształt małżowiny usznej, kształt warg, kod DNA. Do drugiej należą: dynamiczny podpis (siła nacisku, kolejność i szybkość pisania), styl pisania na klawiaturze, głos, sposób chodzenia, sposób mówienia (ruch warg) i inne.

– Niezły wykład – podsumował Bassanti. – Pańska wiedza jest zaiste imponująca.

– Niech pan nie przesadza. Obaj wiemy, że te kilka zdań nie czynią ze mnie specjalisty. To podstawowa wiedza. Dostępna dla każdego. Ale zostawmy może antropologię na boku.

– Proszę mi powiedzieć, skąd pan znał Fourniera. Gdzie pan spotkał kardynała? Bo chyba nie poznali się panowie podczas pańskiej pracy w policji?

– Zdziwi się pan. Zarówno Jacques'a Fourniera, jak i Cesarego Santoro poznałem, pracując na etacie profilera.

– Coś mi mówi to drugie nazwisko – wtrącił Bassanti, usiłując sobie jednocześnie przypomnieć gdzie mógł na nie trafić.

– Santoro był księdzem i najlepszym przyjacielem kardynała. Razem pracowali. Obaj byli wykładowcami zarówno Papieskiego Uniwersytetu Urbaniana, jak i Gregoriańskiego. – Edery pośpieszył z wyjaśnieniami.

– Mój brat chyba znał dość dobrze księdza Santoro. – W jednej chwili Bassanti przypomniał sobie zmarłego. – O ile się nie mylę, często odwiedzał go w Domu Księży Emerytów w Rzymie.

– Tak to ten sam. Niestety zmarł niedawno. W krótkim czasie straciłem dwóch wspaniałych przyjaciół.

– Wiem, bo prawie przy tym byłem.

– Jak to?

– Mój brat popełnił samobójstwo tuż po tym, jak odwiedził księdza Santoro albo tuż przed wizytą.

– Samobójstwo? – Edery nie krył zdziwienia.

– Tak twierdzi policja. Robię, co mogę, aby dowieść, że się mylą.

– Prowadzi pan własne śledztwo?

– Tak.

– Fournier ma coś z tym wspólnego?

– Na to wychodzi.

– Czyżby chodziło o trzecią tajemnicę fatimską?

– Najwyraźniej.

– Opowie mi pan o tym?

– Tak, ale później. Teraz chciałbym posłuchać, jak się panowie poznali.

– Jak już wspomniałem, obu duchownych poznałem podczas śledztwa. Byli świadkami w sprawie zabójstwa. Obaj widzieli twarz mordercy, obaj go spotkali, a także rozmawiali z nim.

– Serio?

– Tak. Gianni Pavone uczęszczał na ich wykłady.

– Ok. Ale co pan miał wspólnego z morderstwem popełnionym na terenie Włoch?

– Dwie studentki zostały zasztyletowane w Rzymie, jednak morderca rozkręcił się na dobre na terenie Francji. Śledztwo było międzynarodowe, ale to my dzierżyliśmy tutaj palmę pierwszeństwa, bo to pod naszym nosem została zamordowana córka mera Paryża oraz jej trzy koleżanki.

– Tu też udawał studenta?

– Tak. Ale był tylko na jednym wykładzie i praktycznie nikt go nie pamiętał.

– Dopiero dwaj księża pomogli?

– Na podstawie tego, co mi opowiedzieli o Giannim Pavone, sporządziłem jego profil.

– Rozumiem, że nazwisko, którym się posługiwał, było fałszywe?

– Tak.

– Ale w końcu został złapany?

– Oczywiście.

– I od tego czasu nawiązała się nić sympatii pomiędzy panem a obu księżmi?

– Mimo że jestem niewierzący i nie przystawałem do nich, bardzo się polubiliśmy. Z czasem zaufali mi na tyle, że powierzyli mi bardzo delikatną sprawę, która *nota bene* zbliżyła mnie do Kościoła.

– Właśnie dlatego mogli panu zaufać, bo był pan obiektywny, nieuwikłany w żadne układy. Mogę zapytać, co to była za sprawa?

– Oczywiście. Przecież to właśnie ona przywiodła pana do mnie.

– Jak to? – Bassanti nie krył zdziwienia.

– Miałem zbadać zdjęcia siostry Łucji, dokonać ich porównania i wydać opinię.

– Nie rozumiem.

– Miałem ustalić, czy to jedna i ta sama osoba.

– Myśli pan, że na zdjęciach są dwie Łucje?

– Ja już nie myślę na ten temat. Ja wiem, że to dwie różne osoby.

– Żartuje pan?

– Nie, sam byłem zszokowany teorią, jaką mi przedstawili, a w szczególności tym, co opowiadali o jedynym żyjącym świadku objawienia. Początkowo odmówiłem pomocy. Ale ze spotkania na spotkanie coraz bardziej wciągała mnie ta historia, a i obaj duchowni robili wszystko, żeby mnie jeszcze bardziej zaintrygować. Tak samo pewnie było z pańskim bratem. To on był łącznikiem między nimi. Jednak najtragiczniejsze w tym wszystkim jest to, że to ja coś odkryłem na ich zlecenie, a oni zapłacili za to najwyższą cenę.

– Pan też uważa, że obaj duchowni zginęli w tajemniczych okolicznościach?

– Bez dwóch zdań. I pociągnęli za sobą pańskiego brata.

– Co pan przez to rozumie?

– Obaj byli w podeszłym wieku, na dodatek znajdowali się w placówkach kontrolowanych i zarządzanych przez Watykan

oraz oddalonych od siebie o szmat drogi. Nie mogli otwarcie rozmawiać, telefony przecież nie wchodziły w grę. Trochę trwało, zanim znaleźli łącznika. Wygląda na to, że pański brat nim został. Gdy tylko został we wszystko wtajemniczony, zaczął regularnie kursować pomiędzy Santorem i Fournierem, przekazując pisane potajemnie listy. Watykan to odkrył. Najpierw pański brat przypłacił za to życiem.

– Czemu zaczęli od niego?

– Bo, likwidując pańskiego brata, zerwali jedyne ogniwo łączące Santora z Fournierem, jedyne ogniwo, na które mieli wpływ. Mnie też oczywiście mogli zlikwidować, ale to wywołałoby zbyt wiele szumu. Chociaż liczę się z takim rozwiązaniem. – Rozbrajająca szczerość, z jaką wypowiedział to Edery, wywołała lekkie zmieszanie u jego rozmówcy.

– Nigdy nie sądziłem, że Watykan byłby do czegoś takiego zdolny.

– Ja też.

– Chyba obaj okazaliśmy się bardzo naiwni.

– Niestety. Ale dość gadania. Proszę dopić kawę, a potem pokażę panu, do jakich wniosków doprowadziło mnie porównywanie fotografii siostry Łucji.

– Wcześniej wspominał pan, że sporządził w tej sprawie ekspertyzę.

– Tak. I to całkiem obszerną.

– Mógłbym dostać egzemplarz?

– Oczywiście. W końcu ktoś musi wywlec na światło dzienne te brudy Watykanu.

– I ja mam być tym posłańcem?

– A któż by inny? – Z tymi słowami Edery wyjął z jednej z szafek opasłą, papierową teczkę. Już sam jej wygląd wskazywał na ogrom pracy, jaką wykonał były gliniarz.

Bassanti wziął teczkę, rozsznurował tasiemki, którymi była związana, i oniemiał. Ekspertyza liczyła ponad trzysta stron. Same wnioski zajmowały prawie pięćdziesiąt. Zdjęcia, tabele i wykresy stanowiły ponad połowę jej objętości.

Podczas gdy Edery uruchamiał komputer, skaner oraz ustawiał monitory, Bassanti zajmował się jej kartkowaniem.

– Proszę na razie jej nie przeglądać. Nie chcę być niegrzeczny, ale niewiele pan z tego zrozumie. Warto uzbroić się w cierpliwość, a za chwilę wszystko panu wyjaśnię. Na razie proszę mi dać to, co pan przyniósł, potem zaprezentuję panu rezultaty własnej pracy. Opinię przestudiuje pan w hotelu.

– Skąd pan wie, że mam coś dla pana? – Bassanti nie bardzo wiedział, co ma na myśli były gliniarz.

– Zdjęcia – rzucił Edery, widząc zakłopotanie malujące się na twarzy swojego gościa. – Zdjęcia siostry Łucji. Zapomniał pan o nich? Gdy rozmawialiśmy przez telefon, zapewniał pan, że zabierze je ze sobą.

– A, faktycznie. Zupełnie o nich zapomniałem. To znaczy – poprawił się szybko Bassanti – oczywiście mam je ze sobą, ale pańska opowieść o początkach znajomości z Fournierem tak mnie pochłonęła, że zapomniałem je panu dać. – Mówiąc to, wręczył antropologowi kopertę, w której umieścił wszystkie zdjęcia siostry Łucji. I te, które otrzymał od Isazy, i te, na które natrafił w mieszkaniu brata.

– Dzięki. Mogę je zatrzymać?

– Ależ proszę. Mnie się już raczej nie przydadzą.

– Jest pan pewny?

– Oczywiście. Może posłużą panu za materiał do opinii uzupełniającej? Albo raczej wzmocnią wnioski, do których pan już doszedł.

– Myśli pan, że ktoś będzie kwestionował ekspertyzę?

– Niech pan nie będzie jeszcze bardziej naiwny. Zawsze się tacy znajdą. W szczególności w Watykanie.

Przez chwilę obaj mężczyźni milczeli. Wreszcie ciszę przerwał Edery:

– Chce pan wykład od ogółu do szczegółu? – zapytał, skanując kolejne fotografie zakonnicy. – Czy może woli pan odwrotną kolejność?

– Jak pan uważa.

– Chyba prościej będzie dokonać analizy poszczególnych części twarzy, a dopiero później zająć się całą resztą.

– Nie bardzo wiem, o czym pan mówi, ale zgadzam się.

– Zanim zacznę, mogę już teraz powiedzieć, że fotografie, które pan przyniósł, nie tylko potwierdzają moje ustalenia, ale są kolejnym dowodem na istnienie dwóch sióstr o imieniu Łucja.

– Po raz kolejny Watykan kłamie?

– Niestety tak.

– W takim razie proszę mi wszystko wyjaśnić. Chcę wreszcie poznać prawdę, za którą zginął mój brat.

– Dobrze. Zaczniemy od oczu, kształtu oczodołów i brwi. Potem omówimy policzki i nos, następnie kształt ust, wargi, uśmiech, przestrzeń nad górną wargą oraz zęby, a w konsekwencji protezy. Na końcu zajmiemy się profilami, mimiką twarzy, cerą, gestami, postawą oraz okularami.

– Sporo tego.

– Sporo. A teraz proszę się uważnie przyjrzeć tym czterem zdjęciom na monitorze. Dwa z nich pochodzą z czasów, gdy siostra Łucja była jeszcze dorotynką, a zatem miała najwyżej czterdzieści lat. Dwa kolejne datowane są na trzynastego maja 1982 roku. Siostra Łucja miała wtedy siedemdziesiąt pięć lat. Na wszystkich tych fotografiach jest ona lekko uśmiechnięta, ale istnieje zbyt wiele różnic świadczących o tym, że mamy do czynienia z dwiema różnymi osobami.

– Nawet nie wiem, na co zwracać uwagę. – Szczerość Bassantiego nieco rozbawiła antropologa.

– Proszę spojrzeć na oczy. Oczy młodszej siostry Łucji wydają się lekko rozchodzić na boki. To wskazuje na zez rozbieżny, a konkretnie na egzotropię. Z kolei oczy starszej Łucji cechuje ezotropia zwana inaczej zezem zbieżnym. W tym drugim przypadku oczy mocno zwracają się w kierunku nosa.

– Faktycznie.

– Podobna różnica dotyczy brwi. Naturalna linia grubych, a do tego gęstych, brwi młodszej Łucji jest prosta. Brwi przechodzą u niej na czoło nad nosem i tworzą rodzaj bruzdy w miejscu, gdzie się ze sobą łączą. Brwi starszej Łucji, mimo że częściowo ukryte pod oprawkami okularów, nie tylko nie są proste, ale mają kształt łuku, który zaczyna się tuż nad okiem. Nad nosem i między brwiami mamy z kolei duży odstęp.

– Czyżby ingerencja chirurgiczna?

– U zakonnicy? Byłbym co najmniej zdziwiony.

– Ale nie wyklucza pan tego?

– W dzisiejszych czasach niczego nie można wykluczyć. Mogę tylko powiedzieć, że kształt brwi nie zmienia się ot tak, po prostu z linii prostej w łuk. Tylko zabieg chirurgiczny może to zmienić. Kształt brwi odpowiada kształtowi struktury kostnej czoła i zostaje z nami na zawsze.

– Policzki też się różnią – w głosie Bassantiego słychać było podekscytowanie.

– Tak. Młodszej mają kształt jabłuszek, starsza ma je zdecydowanie bardziej płaskie. Na dodatek fałdki na policzkach pierwszej tworzą dwie proste linie, zaś fałdki policzkowe drugiej – łuki. Na co pan teraz patrzy?

– Porównuję ich nosy.

– I co pan zauważa?

– Młodsza Łucja ma ewidentnie zadarty nos. U starszej czubek nosa zdecydowanie opada ku dołowi. Jakby tego było mało, ma wyraźnie zarysowane nozdrza, których nie widać u młodszej Łucji.

– Jest pan niezłym obserwatorem. Jeszcze trochę, a zamienimy się miejscami.

– Proszę sobie nie żartować. Dzięki panu wiem, na co zwracać uwagę.

– Jeszcze lepiej ma się rzecz z ustami tych kobiet. Młodsza ma wargi różnej szerokości. Górna jest węższa i wystająca, zaś dolna o wiele grubsza i mocno opada, wręcz zwisa. Ma się wrażenie, jakby była zbyt ciężka. Starsza ma usta wąskie, prawie płaskie. Wargi mają tę samą szerokość i nie zakrywają zębów.

– Uśmiechają się też zupełnie inaczej.

– U młodszej kąciki ust unoszą się ku górze, a u starszej opadają w dół. Proszę spojrzeć na brodę.

– Tym razem nie bardzo wiem, co mi chce pan pokazać – z żalem w głosie przyznał Bassanti.

– Pod dolną wargą młodszej Łucji można zauważyć wklęśnięcie, w nim widoczny kontur mięśnia na środku brody.

U starszej Łucji nie ma czegoś takiego. Teraz już dostrzega pan to, o czym mówię?

– Tak, teraz już to widzę.

– Tak na marginesie powiem panu, że ta cecha zwykle z wiekiem się powiększa, a nie zanika.

– Broda starszej Łucji jest według mnie zdecydowanie bardziej kwadratowa – zawyrokował po kolejnych kilku sekundach Bassanti.

– Gdy patrzymy *en face*. Młodsza z kobiet ma brodę rozchodzącą się na szyję, z tendencją do powstania tak zwanego podwójnego podbródka. U starszej zdecydowanie wystaje ona ku przodowi. Proszę spojrzeć – Edery stuknął w klawisze i oczom Bassantiego pokazało się zbliżenie dolnej części twarzy obu kobiet. – Na zdjęciu zrobionym z profilu widać, że jej broda wystaje o wiele dalej niż nos.

– Ma pan rację. Ale z zębami to chyba będzie problem – zauważył Bassanti. – Starsza z kobiet ma chyba protezy.

– Myli się pan.

– Poważnie?

– Proszę się nie spieszyć i uważnie przyjrzeć. Młodsza Łucja ma długie i brzydkie zęby. To czyni ją w przyszłości kandydatką do protez. U starszej zęby są o wiele krótsze, można by powiedzieć, że wręcz małe, kwadratowe. W dodatku wydaje się, iż niektóre zęby mają stan zapalny. Co sugeruje, że starsza Łucja ma własne zęby.

– Przestrzeń między nosem a górną wargą też u każdej jest inna.

– U młodszej ten odcinek jest o wiele dłuższy. Poza tym między podstawą nosa a górną wargą wyraźnie widać u niej długi, głęboki rowek. U starszej omawiany odcinek jest nie tylko krótszy, ale i pozbawiony rowka. A co pan sądzi o ich profilach? – Edery kliknął coś na klawiaturze i pokazały się kolejne dwa zdjęcia.

– Według mnie fotografie przedstawiają dwie różne kobiety – zawyrokował jego gość.

– Jest pan pewny? Mimo że uchwycono je w podobnej pozie?

– Tak. Różnice w ich profilach aż kłują w oczy.

– Odpowiada za to kąt nosowo-czołowy zwany kątem podstawy. W przypadku młodszej Łucji kąt ten jest rozwarty, zaś u starszej Łucji jest on ostry. Widać to także w przypadku kąta nosowo-wargowego i kąta nosowo-mentalnego.

– Tu już pan popłynął.

– No dobra, ma pan rację. A dostrzega pan może różnice w mimice twarzy?

– Jak na mój gust młodsza jest o wiele bardziej poważna. Na zdjęciach, które mi pan pokazał, ma wręcz ponurą minę. Sprawia też wrażenie zamyślonej.

– Starsza jest zdecydowanie pogodniejsza. Ciężko znaleźć jakiekolwiek jej zdjęcie z poważną miną.

– Nie znalazł pan żadnego?

– Nie znalazłem. Na prawie wszystkich jest uśmiechnięta.

– Zadziwiające.

– Nie mniej zadziwia zmiana karnacji. – Edery wyświetlił kolejną porcję zdjęć. – Proszę się uważnie przyjrzeć. Dostrzega pan to, o czym mówię?

– Chyba tak. Młodsza Łucja ma zdecydowanie ładniejszą cerę – odparł Bassanti po krótkim namyśle. – Powiedziałbym również, że cechuje ją chłopskie pochodzenie.

– Właśnie. Jakby obie kobiety pochodziły z dwóch różnych grup społecznych.

– Nie da się tego wytłumaczyć wiekiem?

– Tak radykalna zmiana koloru skóry nie wydaje się możliwa. Na zdjęciach widzimy kobiety tak bardzo odmienne, jakby chodziło o dwie różne narodowości. W dodatku młodsza z nich ewidentnie wygląda na wieśniaczkę.

– Badał pan zdjęcia rodzinne siostry Łucji?

– Oczywiście.

– I co?

– Matka siostry Łucji nie wykazuje żadnej skłonności do zmiany koloru skóry, a jej twarz, mimo upływu lat, nadal ma chłopskie rysy.

– Cholera.

– To jakiś problem?

– Nie, ale aż trudno uwierzyć w to, co pan mówi.

– Proszę pamiętać, że to nie ja mówię, a fotografie. To one do nas przemawiają, to z nich można wszystko wyczytać.

– Co pan w takim razie jeszcze z nich wyczytał?

– Że młodsza Łucja jest osobą nieśmiałą, poważną, opanowaną, z ogromnym dystansem, wręcz smutną. Nie jest przyzwyczajona do fotografowania i nie lubi być w centrum uwagi.

– Zgadzam się z panem. Starsza Łucja jest o wiele bardziej swobodna, prawie zawsze uśmiechnięta, zrelaksowana. Zachowuje się tak, jakby życie poza zakonem nie było jej obce, mało tego, jakby nawykła do wystąpień publicznych. A tak z ciekawości, to co nam jeszcze zostało do omówienia?

– Okulary.

– A z nich co pan wyczytał? Ma je tylko starsza z kobiet. I to chyba naturalne w jej wieku?

– Ma pan rację. Okulary ma tylko starsza Łucja. Ale proszę zwrócić uwagę na grubość ich szkieł.

– Wydają się bardzo grube.

– Dokładnie. To wskazuje na krótkowzroczność.

– Nic mi to nie mówi.

– Najpoważniejsze przypadki krótkowzroczności występują w najmłodszym wieku.

– Teraz rozumiem, do czego pan zmierza.

– Jeśli przyjrzymy się zdjęciom chłopskiej rodziny Łucji, to zauważymy, że nikt spośród jej członków nie nosi okularów. Jednym słowem: krótkowzroczność nie wydaje się problemem występującym w tej rodzinie.

– Tak na marginesie to mocno nowoczesne te jej okulary – zauważył Bassanti. – Czyżby siostra zakonna była wrażliwa na modę?

– Zna pan odpowiedź. Już mi jej pan udzielił.

– Wiem – niechętnie przyznał Christopher.

– Uważam, że na zdjęciach są dwie kobiety o dwóch różnych światopoglądach.

– Poważnie pan tak sądzi?

– A jak inaczej interpretować zmianę poglądów, jaka dokonała się u jedynego żyjącego świadka objawienia?

– Co pan ma dokładnie na myśli?

– Tylko tyle, że do początku lat sześćdziesiątych siostra Łucja mówiła jedno, a potem drugie.

– Faktycznie tak radykalnie zmieniała poglądy?

– Co do ujawnienia trzeciej tajemnicy fatimskiej to na pewno. Zresztą milczała także w sprawie Drugiego Soboru Watykańskiego i wynikłych z niego reform. Mało tego, gdy prześledzi się jej wypowiedzi, to dochodzi się do wniosku, że im jest starsza, tym bardziej zaprzecza praktycznie wszystkiemu, co głosiła w latach młodości.

– Neguje przesłanie tajemnicy?

– Według mnie tak. Najpierw wyraża niepokój i martwi się o jej losy, a później milczy przez ponad czterdzieści lat, łykając jak pelikan prawdy głoszone przez Watykan. Jakby nie chciała pamiętać, że Watykan w 2000 roku ujawnił tylko część tekstu tajemnicy, jakby zapomniała, że treść wizji to nie wszystko.

– Ale komu to służy? – dopytywał Bassanti.

– *Cui bono*? Odwieczne pytanie, na które odpowiedź znają tylko nieliczni.

– Serio pytam. Komu ta szopka miała służyć?

– Myślę, że za wszystkim stoi postępowe skrzydło Kościoła Katolickiego.

– To dominująca frakcja?

– Nie wiem, nie mam pojęcia. Na pewno trzymająca władzę. W końcu tylko tacy mogli sobie pozwolić na podmianę Widzącej i tylko im zależało na niedopuszczeniu do wyjawienia pełnej treści trzeciej tajemnicy.

– Ja pierdolę – wyrwało się Bassantiemu. – A co z prawdziwą Łucją? Ktoś wie, co się z nią stało?

– Pamiętam moją rozmowę z Fournierem i to, jak raz wspomniał, że pozbyto się jej na długo przed rokiem 1960.

– Została zamordowana?

– Nie ma na to żadnych dowodów.

– A kiedy zmarła ta druga Łucja?

– W 2005 roku, trzynastego lutego. Tego dnia w wiadomościach podano, że w wieku dziewięćdziesięciu

siedmiu lat zmarła ostatnia Widząca z Fatimy i że jej śmierć była nagła i niespodziewana.

– A to nieprawda? Śmierć drugiej Łucji też była sterowana przez Kościół?

– Biskup Coimbry, Albino Cleto, powiedział w wywiadzie dla Radio Renascenca, że od kilku tygodni była słaba i nie opuszczała pokoju.

– Nie rozumiem. To w końcu zmarła nagle czy w wyniku choroby przewlekłej? I dlaczego wcześniej nie wspomniano o jej chorobie?

– Watykan zdawał sobie sprawę z tego, że wierni z całego świata chcieliby, aby siostra Łucja żyła jak najdłużej, aby mogła dokończyć powierzoną jej misję i wyjaśniła wszystkie wątpliwości, jakie narosły wokół trzeciej tajemnicy. A to raczej nie było mu na rękę.

– I dlatego nikogo nie poinformowano o jej chorobie?

– Myślę, że tak. Przekaz był jasny. Zakonnica zmarła gwałtowną śmiercią. Kropka.

– Tym sposobem ucięto wszelkie spekulacje.

– Mało tego, jej pokój został zamknięty i opieczętowany.

– Kto nakazał takie postępowanie? Zawsze jest ono praktykowane w przypadku śmierci osoby zakonnej?

– Chyba pan żartuje! Znam kilka osób duchownych, przyjaźniłem się z Fourenierem i muszę panu powiedzieć, że żadna z tych osób nigdy nie słyszała o takich praktykach. A co do zleceniodawcy, to jej pokój nakazał opieczętować kardynał Joseph Ratzinger.

– Ratzinger?

– Tak. Pewnie potem sam wespół z innymi zaufanymi teologami przejrzał całą spuściznę zmarłej.

– Wiadomo, co po niej zostało?

– Pewnie jakieś dzienniki, brudnopisy, listy do papieży, być może zapiski dotyczące jej mistycznych przeżyć, może jakieś rady Matki Bożej, by Łucja zrobiła to czy tamto.

– Czyli wszystko, czym zainteresowana była szeroko pojęta opinia publiczna?

– Tak i to zapewne otworzyłoby na nowo kwestię Fatimy, czego Stolica Apostolska za wszelką cenę próbowała uniknąć.

– Zasrańcy. Wszystko próbują przed nami ukryć.

– Proszę nie zapominać, że wiedza, której pan pragnie, jest śmiertelna. Przekonał się o tym nie tylko pański brat, ale też Fournier i Cesare Santoro. Wszyscy nie żyją. Czasami zastanawiam się, czy było warto? Czy gdybym nie przyjął zlecenia, nadal by żyli?

– Uważa pan, że ich śmierć na niewiele się zdała?

– Nie wiem. Chciałbym, aby było inaczej. Ale na razie nie widzę w tym żadnego sensu. A pan? Co pan o tym wszystkim myśli?

– Ja? Aby dostrzec sens, potrzebuję egzemplarza pańskiej opinii.

– Gdzie się pan chce z nim udać?

– Do papieża.

– Przecież ten człowiek wie o wszystkim.

– Tak, ale nie wie jeszcze jednego.

– Czego?

– Że mam zamiar to upublicznić.

– Wyda pan na siebie wyrok.

– Nie mam nic do stracenia.

Rozdział VII

AUDIENCJA U MONSIGNORE GIANCARLA ROBERTA RUSSO

I ujrzałem Bestię wychodzącą z morza, mającą dziesięć rogów i siedem głów, a na rogach jej dziesięć diademów, a na jej głowach imiona bluźniercze. Bestia, którą widziałem, podobna była do pantery, łapy jej – jakby niedźwiedzia, paszcza jej – jakby paszcza lwa. A Smok dał jej swą moc, swój tron i wielką władzę. I ujrzałem jedną z jej głów jakby śmiertelnie zranioną, a rana jej śmiertelna została uleczona. A cała ziemia w podziwie powiodła wzrokiem za Bestią, i pokłon oddali Smokowi, bo władzę dał Bestii. I Bestii pokłon oddali, mówiąc: «Któż jest podobny do Bestii i któż potrafi rozpocząć z nią walkę?» A dano jej usta mówiące wielkie rzeczy i bluźnierstwa, i dano jej możność przetrwania czterdziestu dwu miesięcy. (Ap 13, 1–5)

Paryż, środa

Najbliższy samolot do Rzymu odlatywał dopiero w sobotę. Bassanti przy telefonie spędził ponad godzinę i mimo usilnych starań nie udało mu się zdobyć biletu na jakikolwiek wcześniejszy lot, nawet z przesiadką. Mimo kilku lotnisk Paryż w tej kwestii nie miał nic do zaoferowania. Żadna z linii lotniczych nie dysponowała nawet jednym wolnym miejscem.

Chcąc nie chcąc, Bassanti zdecydował się na pociąg. Nie był to jego ulubiony środek transportu, ale przynajmniej miał szansę dotrzeć do Rzymu w czwartek. Wprawdzie zamiast dwóch godzin lotu zafundował sobie ponad czternastogodzinną podróż, ale osłodził ją łóżkiem w wagonie sypialnym.

Pociąg do Rzymu odjeżdżał o siedemnastej dwadzieścia pięć z dworca Gare de Lyon. Bassanti zjawił się na dworcu grubo

przed czasem. Do odjazdu miał ponad dwie i pół godziny. Ale wolał już tkwić tu, niż włóczyć się z bagażem po Paryżu.

Jak przystało na Anglika, jego żołądek dał o sobie znać w momencie, gdy wszyscy Francuzi byli już dawno najedzeni. Gdyby nie fakt, że większość lokali gastronomicznych o tej porze dnia była zamknięta, z chęcią pomaszerowałby do Le Train Bleu, restauracji, która serwowała zarówno wystawną, regionalną kuchnię, jak i dania sezonowe. Nie tak dawno zresztą nowy szef, Michel Rostang, dokonał reinterpretacji legendarnego Station Buffet, oferując menu łączące kulinarną rozkosz z francuską tradycją. Le Train Bleu, znana również wśród podróżnych i paryżan z *show*, jakie obsługa prezentowała gościom przy flambirowaniu dań czy rzeźbieniu mięs, była zamknięta na cztery spusty. Cóż się dziwić, w końcu dochodziła piętnasta. Nie mając wyjścia, Bassanti zadowolił się kanapką z kurczakiem oraz kawą zakupioną w lokalnej sieciówce.

Ponad kwadrans podróżował w pojedynkę. Już nawet zaczęła w nim kiełkować nadzieja, że będzie miał do dyspozycji cały przedział, gdy nagle drzwi się otworzyły i do środka wślizgnął się niewysoki, na oko czterdziestoletni brunet w czarnym płaszczu. Okazało się, że wierzchnie okrycie skrywało księdza. Co do profesji przybysza Bassanti nie miał żadnych wątpliwości, bo śnieżnobiała koloratka aż kłuła w oczy.

– Ksiądz też do Rzymu? – zapytał przybysz, zdejmując i wieszając płaszcz.

Z początku Bassanti nie wiedział, do kogo skierowane było pytanie, ale po chwili dotarło do niego, że nowy pasażer mylnie odczytał jego ubiór. Czarny garnitur, jaki założył na podróż, i czarna koszula zostały źle zinterpretowane. Jednak z nieznanych sobie powodów postanowił nie wyprowadzać stojącego na wprost niego mężczyzny z błędu.

– Tak, faktycznie jadę do Rzymu. Skąd ksiądz wiedział?

– Nie jestem jasnowidzem – odparł mężczyzna w koloratce. – Bilet księdza leży na stoliku. Ot i cała tajemnica mojej dedukcji. Może się przedstawię? Jestem George Falconer. –Wyciągnął rękę na powitanie i, nie czekając, aż Bassanti wyjawi mu swoje imię i nazwisko, wspiął się na górne posłanie.

Nie minął kwadrans, a dwaj pasażerowie sięgnęli po lekturę Pisma Świętego i zatopili się w lekturze ostatniej księgi, Apokalipsy. Bassanti zrobił to celowo, by utrzymać Falconera w przekonaniu, że ma do czynienia z duchownym. Falconer, z kolei, sięgnął po Biblię z potrzeby serca. Lekturę przerwali prawie jednocześnie w okolicach Lyonu. Kilka minut później zderzyli się ze sobą na korytarzu w drodze do wagonu restauracyjnego. Początkowo usiedli przy dwóch różnych stolikach, ale ta sytuacja trwała tylko do czasu złożenia zamówień. Ledwie kelner oddalił się od stolika fałszywego księdza, a prawdziwy sługa Boży przysiadł się do niego.

Decyzji, którą wtedy podjął, miał żałować do końca życia. Jak niewiele mu go pozostało, w tamtej chwili jeszcze nie wiedział. Nie zdawał sobie również sprawy z wagi słów, które za chwilę miał usłyszeć od Bassantiego. W Ewangelii św. Jana zapisane jest: „Poznacie prawdę, a prawda was wyzwoli” (J 8, 30–32). Tylko co z tego, skoro tajemnica wyjawiona przez Bassantiego nie tylko nie wyzwoliła Falconera, ale uczyniła zeń więźnia. I to więźnia w najgorszym tego słowa znaczeniu.

* * *

Rzym, czwartek

Rzym przywitał Bassantiego słońcem i wysoką temperaturą. Nie lubił upałów. Na szczęście hotel, w którym zatrzymał się ostatnio, dysponował wolnymi pokojami z klimatyzacją. Wsiadł do taksówki, podał adres i zatopił się w myślach, które zdominowały wspomnienia o bracie.

Nie bardzo wiedział, od czego zacząć. Jak na razie plan miał prosty: wziąć prysznic, przebrać się, coś zjeść i spróbować skontaktować się z przełożonym brata celem wyjednania audiencji u papieża. Zresztą Michael Sardoni był jedyną osobą, którą znał, a która piastowała tak wysoki urząd w Kościele Katolickim. Ale wbrew temu, czego oczekiwał po tej rozmowie, nie posunął się nawet o krok. Sardoni najzwyczajniej w świecie

go zbył. Kolejny telefon wykonał do prawej ręki biskupa, Alfreda Baggio. Ale z nim też nie poszło Bassantiemu najlepiej, bo odbił piłeczkę i polecił skontaktować się bezpośrednio z Sekretariatem Stanu Stolicy Apostolskiej. Pod tym adresem też niczego nie osiągnął. Sekretariat Stanu nie chciał nawet rozmawiać o prywatnej audiencji u papieża, a co dopiero ją zorganizować. Dykasteria Kurii Rzymskiej ewidentnie odmawiała pomocy.

Dochodziła trzynasta, a Bassanti wciąż tkwił w martwym punkcie. Czyżby i tym razem musiał skorzystać z pomocy Chiantiniego? Czyżby nie mógł się obyć bez włoskiego dziennikarza? Wprawdzie chciał upublicznić i treść opinii Edery'ego, i wszystkie informacje, jakie sam posiadał, ale chciał to zrobić bez niczyjej pomocy. Zdawał sobie sprawę, że gdy dopuści dziennikarza do tych rewelacji, nie będzie miał wpływu na to, kiedy prawda ujrzy światło dzienne, ani tym bardziej, jaka to będzie prawda. Pozostawało też pytanie, czy Chiantini będzie miał odwagę upublicznić absolutnie wszystko?

Upływające godziny nie przyniosły żadnego rozwiązania i jeszcze przed kolacją Bassanti skontaktował się z dziennikarzem. Tak jak przypuszczał, Chiantini obiecał pomóc. Niczego jednak nie gwarantował. Za to w zamian za „pomocną dłoń", jak się wyraził, kazał Bassantiemu zagwarantować wyłączność. Ma się rozumieć, że oprócz tego położy też łapę na opinii francuskiego antropologa. Propozycja była kiepska, ale Bassanti nie miał wyjścia, stał pod ścianą, bo wszystkie drzwi, do których zastukał, okazały się zamknięte. Dobili targu po kolejnych kilku minutach rozmowy. *Deal* o tyle się opłacał Bassantiemu, że tak czy siak upublicznienie tajemnicy dawało mu gwarancję wznowienia umorzonego śledztwa w sprawie samobójczej śmierci brata. A na tym mu najbardziej zależało.

* * *

Rzym, piątek

Chiantini zadzwonił dopiero po dwudziestej i nie miał zbyt dobrych wiadomości. Audiencja u papieża nie wchodziła w grę. Odmówił spotkania w tej sprawie. Petrus Paulus Primus nie zgodził się albo nawet nie wiedział, że w jego imieniu odmówiono zgody. Tak czy inaczej skutek był ten sam. Audiencji u Namiestnika Chrystusa nie będzie. Papież jest niedostępny. To była zła wiadomość. Z dobrych wieści, Chiantiniemu udało się umówić Bassantiego z osobistym sekretarzem papieża, kardynałem Giancarlem Robertem Russo. Audiencja z prawą ręką papieża miała się odbyć w sobotę, o godzinie szesnastej.

Bassanti był rozczarowany, wszystko szło nie po jego myśli.

– Osobisty sekretarz papieża? – W głosie Bassantiego słychać było niezadowolenie.

– Lepsze to niż nic – próbował go pocieszyć dziennikarz.

– Jest sens w ogóle tam iść?

– Oczywiście, kardynał Russo to bardzo światły człowiek, jest profesorem Papieskiego Uniwersytetu Świętego Krzyża.

– Poważnie?

– Wykłada prawo kanoniczne.

– Sam nie wiem...

– Spotkajmy się może jutro w południe – zaproponował Chiantini ni stąd, ni zowąd. – Co pan na to? Porozmawiamy chwilę, zjemy coś. Powiem panu kilka rzeczy o kardynale. To powinno ułatwić rozmowę z nim.

– Zgoda.

Umówili się w restauracji, w której tak niedawno jedli homara i owoce morza.

* * *

Rzym, sobota

Chiantiniego wypatrzył z daleka. Charakterystyczna burza siwych włosów rzymianina rzucała się w oczy. Dziennikarz był ubrany w jeansy, błękitną koszulę z podwiniętymi rękawami oraz

nasunięte na gołe stopy mokasyny. Pod pachą niósł skórzaną teczkę.

Przywitali się i ledwie usiedli, zatonęli w dymie. I tak było do końca spotkania. Obaj palili przy tym tak, jakby między spotkaniami zafundowali sobie totalną abstynencję. Na szczęście żadnemu z nich taki pomysł nigdy by nie przyszedł do głowy. W końcu byli nałogowcami.

– Miał mi pan coś powiedzieć o kardynale Russo – zaczął Christopher.

– Tak. Jest kilka rzeczy, które powinien pan wiedzieć przed spotkaniem.

– A mianowicie?

– Osobisty sekretarz Jego Świątobliwości jest nie tylko typem hollywoodzkiego amanta, ale i łasym na pochlebstwa.

– Czyli klasyczna odmiana katolickiego duchownego.

– Nie do końca. Za dobrze jest wykształcony.

– Fakt. Wczoraj wspominał pan, że wykłada na jakimś Uniwersytecie Papieskim.

– Tak. Ale w sumie to jedno drugiego nie wyklucza. W jego przypadku mądrość i próżność idą ramię w ramię.

– Od kiedy jest kardynałem?

– Niedługo. Jakieś dwa, trzy lata.

– Okej.

– Russo – Chiantini kontynuował opowieść o purpuracie – to syn wiejskiego cieśli, najstarszy spośród ośmiorga rodzeństwa. Przed wstąpieniem do seminarium pracował na poczcie i był kurierem w jakiejś firmie przewozowej.

– Niezła kariera – podsumował z drwiną w głosie jego rozmówca.

– Prywatnie to zapalony szermierz, nurek i pilot.

– Elitarne te jego pasje.

– Jak wszystko, co robi i w co się ubiera.

– To znaczy?

– Podobno jego gotycki ornat kosztował ponad pięć tysięcy euro. Wszystkie sutanny, a ma ich ponoć niemało, uszyte są z kaszmiru.

– Gdzie tu miejsce na skromność?

– Ano właśnie. Ale tak to jest, gdy wszystkie stroje liturgiczne szyje dla niego firma Barbiconi.

– To watykańscy krawcy?

– Tak. Taka rzymska odmiana londyńskiego Savile Row.

– Drodzy są?

– Najdrożsi i najlepsi. To taki odpowiednik świeckich włoskich marek jak Gucci, Armani czy Versace. Zresztą od lat dorównują „cywilnym" kreacjom z tymi logotypami.

– Rozumiem, że ten cały Russo to jakiś fircyk?

– Nazywany jest watykańskim Clooneyem.

– Niezła ksywa jak na kardynała.

– Proszę się jednak nie dać zwieść tym pozorom. Russo to szczwany lis. Oficjalnie nie zrobi nic wbrew Ojcu Świętemu, ale wszyscy wiedzą, że bardzo chętnie sam zająłby jego miejsce. Jeżeli w Watykanie jest jakaś osoba, z którą mógłby pan swobodnie porozmawiać o tajemnicy fatimskiej, to właśnie z nim. Opinia, którą pan dostał od Edery'ego, wbrew pozorom może zarówno strącić go w niebyt, jak i wynieść na Tron Piotrowy.

– Myśli pan, że pochyli się nad wnioskami ekspertyzy?

– Myślę, że tak. I myślę, że dokona chłodnej kalkulacji po ich przeczytaniu. Russo, według mnie, to skrzyżowanie kardynała Richelieu z Talleyrandem.

– Czyli cwaniak do kwadratu – skwitował Bassanti.

– Proszę tego głośno nie mówić. Wśród watykanistów ta czerwona pelerynka ma bardzo wysokie notowania.

– Zaiste bardzo obiecujące...

* * *

Rzym, nadal sobota

Dochodziła piętnasta, gdy Giancarlo Roberto Russo skończył rozmowę z papieżem. Tego dnia był ubrany w szkarłatną sutannę przepasaną jedwabnym pasem z frędzlami na obu końcach, pas oczywiście był w deseniu mory i taką samą

piuskę. Na sutannę nałożył mucet w kolorze purpury, spomiędzy którego wystawał złoty pektorał zawieszony na czerwono-złotym sznurze. Na nogi włożył czarne, wiązane i oczywiście obowiązkowo szyte na miarę buty z miękkiej skóry oraz czerwone skarpety. Pod sutanną skrywała się biała, jedwabna koszula ze spinkami oraz czarne spodnie w kant. Z biżuterii, poza pierścieniem kardynalskim otrzymanym na konsystorzu, miał jedynie drogi zegarek z chronografem.

Do czasu spotkania z Bassantim w jego wyglądzie nic się nie zmieni poza tym, że – zanim uściśnie mu dłoń – obficie skropi się perfumami, których cena nie jednego przyprawiłaby o zawrót głowy.

Gdyby nie ubrania z najwyższej półki, Russo wyglądem przypominałby jezuitę. Był wysoki i kościsty. Włosy miał nieco dłuższe i zaczesane do tyłu, usta wąskie i zaciśnięte. Oczy niebieskie, a spojrzenie lodowate.

O godzinie szesnastej przeciął korytarz i wszedł do swoich apartamentów. Po chwili Bassantiego poproszono do gabinetu kardynała. Ponad pięć minut trwał, stojąc na środku pokoju w oczekiwaniu na purpurata. W końcu drzwi się otworzyły i pojawiła się chuda sylwetka Russo.

Część 2

SPOTKANIE

(...) a prawda was wyzwoli. (J 8, 32)

Rozdział VIII

LUIGGI CESARE FARRETTI PRZYBIERA IMIĘ PIOTRA PAWŁA I

Potem ujrzałem inną Bestię, wychodzącą z ziemi: miała dwa rogi podobne do rogów Baranka, a mówiła jak Smok. I całą władzę pierwszej Bestii przed nią wykonuje, i sprawia, że ziemia i jej mieszkańcy oddają pokłon pierwszej Bestii, której rana śmiertelna została uleczona. I czyni wielkie znaki, tak iż nawet każe ogniowi zstępować z nieba na ziemię na oczach ludzi. I zwodzi mieszkańców ziemi znakami, które jej dano uczynić przed Bestią, mówiąc mieszkańcom ziemi, by wykonali obraz Bestii, która otrzymała cios mieczem, a ożyła. I dano jej, by duchem obdarzyła obraz Bestii, tak iż nawet przemówił obraz Bestii i by sprawił, że wszyscy zostaną zabici, którzy nie oddadzą pokłonu obrazowi Bestii. I sprawia, że wszyscy: mali i wielcy, bogaci i biedni, wolni i niewolnicy otrzymują znamię na prawą rękę lub na czoło i że nikt nie może kupić ni sprzedać, kto nie ma znamienia – imienia Bestii lub liczby jej imienia. Tu jest [potrzebna] mądrość. Kto ma rozum, niech liczbę Bestii przeliczy: liczba to bowiem człowieka. A liczba jego: sześćset sześćdziesiąt sześć.
(Ap 13, 11–18)

W końcu drzwi się otworzyły i pojawiła się w nich chuda sylwetka Russo. Psychiatra nie mógł uwierzyć własnym oczom. Bassanti siedział na łóżku i śmiał się histerycznie, wyraźnie pobudzony. Górna część jego piżamy była pognieciona i poplamiona krwią. W pewnej odległości od jego łóżka znajdowała się wystraszona pielęgniarka o imieniu Ursula. Gdy się odwróciła, spostrzegł, że ma zakrwawioną rękę.

– Ugryzł mnie – powiedziała przez łzy. – Robiłam mu zastrzyk, gdy odwrócił się i złapał mnie za rękę. Nie zdążyłam go odepchnąć i wbił zęby.

– Czemu to zrobiłeś? – Tym razem lekarz zwrócił się do pacjenta.

– „Zauważyć musimy, że te bluźniercze siły z piekielnego Orszaku Demonów – zaczął deklamować Bassanti z obłędem widocznym w oczach – są nazbyt powszechnie znane, aby im można było zaprzeczyć. Przeklęte głosy Azazela i Buzraela, Belzebuba i Beliala słyszało z głębi ziemi ponad dwudziestu jeszcze żyjących wiarygodnych świadków, a dwa tygodnie temu ja sam wyraźnie słyszałem rozmowę nieczystych sił w górach za moim domem. Dochodziło brzęczenie i dudnienie, jęk i pisk, i jakieś syki. Były to dźwięki obce tej ziemi, a musiały się dobywać z jaskiń, które tylko człowiek uprawiający czarną magię może odkryć, a otworzyć jedynie diabeł".

– Tym mi nie zaimponujesz – uciął tyradę Bassantiego Russo. – To z Lovecrafta. O ile się nie mylę, cytat pochodzi ze zbioru opowiadań *Zew Cthulhu*, a opowiadanie nosi tytuł *Koszmar w Dunwich*.

Bassanti najpierw nic nie odpowiedział, a potem skinął głową na znak kapitulacji i, udając głos kobiety, wycedził przez zęby:

– Pieprzony doktorek. Udaje, że wie wszystko. Ale wszystko to ja. Ja jestem wszystkim. – Ostatnie zdanie niemal wysyczał.

Nie czekając, aż pacjenta ogarnie jeszcze większe pobudzenie, doktor Russo odprawił Ursulę, a potem wyjął z kieszeni telefon, wybrał numer i polecił, aby do pokoju Bassantiego przysłano Alessandra Chiantiniego.

Wysoki, dobrze zbudowany pielęgniarz był jedną z nielicznych osób na tym oddziale, która wiedziała, w jaki sposób można poradzić sobie z pacjentem pokroju Bassantiego. Nie tylko się go nie bał, ale też z nieznanych dla całego personelu medycznego przyczyn Bassanti miał do niego słabość. A Chiantini nagminnie tę słabość wykorzystywał.

– Co tym razem wykręcił? – zapytał, wchodząc Chiantini.

– Ugryzł Ursulę w rękę – odparł Russo.

– Ja pierdolę.

– Daj mu podwójną dawkę tego, co zwykle. To powinno go wyciszyć.

– Już się robi, doktorze. Znowu coś dopisał na tych ścianach, czy mi się tylko tak wydaje?

– Też mam wrażenie, że co tu wejdę, ściany są coraz gęściej zapisane.

Nie zdążyli wymienić się spostrzeżeniami na temat kolejnych rysunków, jakie nabazgrał na ścianach pacjent, bo w kieszeni Russo rozdzwoniła się komórka. Philippe Edery pilnie potrzebował Chiantiniego na swoim oddziale. W sali numer osiem doszło do jakiejś awantury. Cóż, szara, codzienna rzeczywistość. Chiantini szybko zrobił zastrzyk i czym prędzej się oddalił. Nim Russo opuścił pokój, Christopher już spał.

* * *

Rzym, Zakład Psychiatryczny pod wezwaniem św. Dymfny[21]

Luiggi Cesare Farretti był świeżo mianowanym dyrektorem Szpitala Psychiatrycznego pod wezwaniem Świętej Dymfny. Poprzedni dyrektor zmarł dwa miesiące wcześniej, zostawiając po sobie wakat. W wyniku rozpisanego konkursu wyłoniono Farrettiego. Mimo że dobiegał pięćdziesiątki, był najlepszym z ośmiu kandydatów ubiegających się o to stanowisko. Nie dziwiło zatem nikogo, że wybrano właśnie jego. Niewysoki brunet o szpakowatych skroniach, okrągłej twarzy, czarnych oczach, gęstej czuprynie, która przypominała artystyczny nieład, i sylwetce prosiaczka był światowej klasy psychiatrą. Tytuł profesora posiadał od ponad dwudziestu lat.

Poniedziałek był pierwszym dniem jego pracy w tej placówce. Dochodziła ósma, gdy zaparkował mercedesa EQC 400 4-Matic przed szpitalem. Personel już na niego czekał. Po krótkiej prezentacji pracowników Farretti wreszcie dotarł do swojego gabinetu. Wypakował kanapki, które jak zawsze przygotowała mu żona, wyjął z etui okulary, które założył tylko po to, by je podnieść na czoło, narzucił na marynarkę biały fartuch, włożył do kieszonki na piersi długopisy i latarkę i udał się na obchód.

Postanowił, że pierwszy dzień przeznaczy na rozmowy z ordynatorami wszystkich oddziałów i zapozna się z tak zwanymi ciekawymi przypadkami.

Oddział Philippe'a Edery'ego był czwartym, jaki odwiedził. Dotarł tam tuż przed południem. Poza Bassantim były tu jeszcze dwa przypadki, które go zaintrygowały. Ale to u Bassantiego spędził najwięcej czasu. Podczas wizyty towarzyszył mu doktor Russo, lekarz prowadzący Bassantiego, który jak nikt inny znał historię jego choroby.

Gdy weszli do pokoju, Christopher leżał na łóżku i gapił się w sufit. Był zbyt otumaniony lekami, by nie tylko zareagować na ich obecność, ale przede wszystkim by skupić uwagę na nowym szefie placówki. Zainteresowanie osobą Russo już mu dawno przeszło. Lekarz był zbyt oczytany, by mu zaimponować. Co innego inni. Ich mógł karmić dowoli cytatami o nadejściu Antychrysta. Wiedział, że każde wypowiedziane przez niego słowo, każde zdanie wzbudza w nich strach. Z Russo było inaczej. Jak na razie z doktorkiem nie umiał sobie poradzić.

– Od dawna tu jest? – zapytał Farretti.

– Prawie miesiąc.

– Myślałem, że dłużej – stwierdził dyrektor, uważnie rozglądając się po całym pokoju.

– Wiem, o co panu chodzi. Taka ilość napisów i rysunków jest zaiste imponująca. – Russo sięgnął po wiszącą na łóżku kartę choroby. Wynikało z niej, że Christopher Bassanti, urodzony dwudziestego dziewiątego marca 1964 roku w Watykanie, trafił do świętej Dymfny pewnej środy, tuż po tym jak próbował popełnić samobójstwo, skacząc z okna Domu Księży Emerytów.

– Z ciekawości, z którego piętra wyskoczył?

– Z czwartego.

– Jakim cudem przeżył?

– Dziwnym zbiegiem okoliczności spadł na naczepę ciężarówki, w której przywieziono nowe materace.

– Farciarz. Rozumiem, że naczepa przykryta była tylko plandeką?

– Oczywiście. Przedarł materiał i wylądował na stercie najwyższej jakości materacy.

– Miał jakieś obrażenia?

– A skąd. Został wprawdzie przewieziony do szpitala, gdzie przeprowadzono masę szczegółowych badań, ale poza paroma siniakami nie miał żadnych obrażeń.

– Ile był w szpitalu?

– Niech pomyślę. W karcie zapisane jest, że do nas przyjęto go w środę, a zdarzenie miało miejsce z soboty na niedzielę, czyli... trzy dni. Potem odesłali go tutaj.

– Jaką postawiliście diagnozę?

– Heksakosjoiheksekontaheksafobia – wypowiedział bez zająknięcia Russo.

– Lęk przed liczbą bestii jest cholernie rzadkim przypadkiem. W mojej karierze to dopiero drugi taki przypadek. Spotkał się pan wcześniej z tą chorobą?

– Nie. Słyszałem tylko o niej i, szczerze powiedziawszy, śmiałem się z niej. Dopóki nie spotkałem Bassantiego, nie wierzyłem, że pacjent może mieć lęk przed liczbą sześćset sześćdziesiąt sześć.

– Coś jeszcze?

– Tak. Wraz z doktorem Ederym stwierdziliśmy u niego również hierofilię.

– Niezłe zestawienie.

– Fakt. Seksualny pociąg do świętych przedmiotów i lęk związany z liczbą bestii to zaiste wybuchowa mieszanka.

– Jakie miał objawy, gdy go przyjmowaliście?

– Przez pół dnia wykrzykiwał: „*Apage, Satana*!”[22] i temu podobne, nie chciał wypuścić z ręki krzyża i za cholerę nie chciał nam oddać Biblii, którą włożył za pasek od spodni.

– Poza Pismem Świętym coś jeszcze studiuje? Jakieś pisma ojców Kościoła?

– Jak pan widzi, pełno tu różnych książek religijnych: Biblia w kilku językach, kilkadziesiąt komentarzy do niej, pisma różnych świętych, teksty objawień, encykliki papieskie, pisma Ojców Kościoła, wersje liturgii sprzed Drugiego Soboru Watykańskiego i po nim. Jest dosłownie wszystko. Problem polega na tym, że teraz Bassanti tego nie tyka.

– Znudziło mu się?

– Nie. Przeszedł transformację, jak sam to określił.

– Proszę mi o tym opowiedzieć.

– W pierwszym tygodniu pobytu Bassanti doszukiwał się obecności Lucyfera nawet wśród personelu medycznego. Co najlepsze, do tego towarzystwa dokooptował spowiednika, który regularnie do niego przychodził.

– Nie bardzo rozumiem.

– Już panu tłumaczę. – Russo wyjął czystą kartkę podpiętą z tyłu do karty Bassantiego i wypisał listę osób, z którymi ten ostatni miał do czynienia na oddziale:

L – ojciec **L**ouis (spowiednik)
U – **U**rsula Pisano (pielęgniarka)
C – **C**hiantini Alessando (pielęgniarz)
I – **I**saza Ramón Hernán (pielęgniarz)
F – **F**ournier Jacques (przełożony pielęgniarek i pielęgniarzy)
E – **E**dery Philippe (ordynator oddziału)
R – **R**usso Giancarlo Roberto (lekarz prowadzący)

– Nieźle – skwitował Farretti, rzuciwszy okiem na wypisaną przez Russo kolumnę nazwisk.

– Sam oniemiałem, gdy mi to wyjawił.

– No dobrze. Nie rozumiem tylko jednego.

– Czego?

– Dlaczego jego pokój tak wygląda?

– Chodzi panu o te odwrócone krzyże?

– Tak.

– Dziwaczne rysunki i cytaty o szatanie rodem ze średniowiecznych grymuarów. – W głosie doktora Russo dało się słyszeć politowanie.

– Dokładnie.

– Musi pan wiedzieć, że Bassanti liczby sześćset sześćdziesiąt sześć doszukuje się we wszystkim. Jakby tego było mało, widzi ją we wszystkich jej odmianach.

– To znaczy?

– Nie dalej jak wczoraj twierdził, że liczbę bestii dostrzega w tytule papieża.

– Poważnie?

– Tak. *Vicarius Filii Dei*[23]. Proszę spojrzeć. – Russo zapisał szybko coś na kartce, na której minutę wcześniej wypisał listę nazwisk personelu medycznego. – Gdy dodamy do siebie odpowiednie litery uzyskamy liczbę sześćset sześćdziesiąt sześć:

V I C a r I U s f I L I I D e I

– Faktycznie.

– 5+1+100+1+5+1+50+1+1+500+1=666 – wyliczał na głos. – Jest tylko jeden mały problem.

– Jaki?

– Bassanti używa błędnego tytułu. Oficjalny tytuł głowy Kościoła to *Vicarius Christi*. Wikariusz Chrystusa, a nie Wikariusz Syna Bożego.

– Rozumiem.

– Wrócę jeszcze na chwilę do tematu rysunków. Wie pan, że powstały w jedną noc? Dokładnie tydzień temu.

– Chryste.

– Proszę mi wierzyć, On nie ma z tym nic wspólnego.

– *Augustus Dux Inferni* (Cesarz Piekieł, dosłownie jego eminencja wódz czeluści piekielnych) – zaczął czytać na głos Farretti, rozglądając się wokoło. – *Hospes Tartarum*; *Hospes Inferni* (Gospodarz Piekieł), *Rex Damnatorum* (Król Potępionych), *Dux Abyssi* (Przywódca Otchłani), *Daemon Augustus*; *Princeps Omnium Daemonum* (Demon Nad Demony), *ΑΝΤΊΧΡΙΣΤΟΣ* (Antychryst), *Angelus Diabolicus* (Diabelski Anioł), *Angelus Igneus* (Ognisty Anioł), *Daemon Mentis* (Demon Umysłu), *Creatura Mala* (Istota Zła). *Ave Satanae* (Chwała Szatanowi), *Summum Malum* (Najwyższe Zło; Zło w najczystszej postaci).

– Nieźle, prawda?

– Obłęd. Wspomniał pan, że tydzień temu nastąpiła, jak pan to ładnie nazwał, transformacja.

– To nie ja tak nazwałem zwrot w chorobie Bassantiego, tylko on sam tak to ujął. Ale faktycznie, do odwrócenia jego choroby

doszło dokładnie tydzień temu.

– Co się tak właściwie stało?

– Zmiana nastąpiła po obejrzeniu transmisji z inauguracji pontyfikatu obecnego papieża Piotra Pawła I.

– To ciekawe. Na czym dokładnie polega inwersja? Kto jest teraz Antychrystem?

– On sam.

– Cudownie.

– Od tego czasu wszędzie wypisuje sławetne sześćset sześćdziesiąt sześć lub sześć sześć sześć, rysuje kwadraty magiczne, twierdząc, że suma zapisanych w nich liczb to sześćset sześćdziesiąt sześć, utożsamia liczbę bestii z papiestwem, analizuje szatańskie symbole w Watykanie, satanistyczne mitry.

– Rozkręcił się. Dlaczego uważa, że jest Antychrystem?

– Twierdzi, że został poczęty podczas ceremonii intronizacji Lucyfera, do której rzekomo miało dojść dwudziestego dziewiątego czerwca 1963 roku.

– A tak z ciekawości, to kiedy on się urodził?

– Dwudziestego dziewiątego marca sześćdziesiątego czwartego, czyli dokładnie dziewięć miesięcy później. Podobno proroctwo krążące wśród okultystów i masono-satanistów zapowiadało, że Książę Ciemności zostanie intronizowany, kiedy papież przyjmie imię apostoła Pawła.

– Kto był wtedy papieżem?

– Paweł VI.

– O w mordę.

– W tej dacie Bassanti również doszukuje się „szóstki”.

– Jakim cudem?

– Odwołuje się do kabały. A najlepsze jest to, że uważa, iż bycie Antychrystem zapisane ma w imieniu i nazwisku:

BASS**ANTI CHRIST**OPH
ANTICHRIST

Gdy wychodzili z pokoju Bassantiego, ten zerwał się nagle z krzykiem:

– *Non sum, qualis eram*!
– Wie pan, co to znaczy? – zapytał Farretti.
– Nie jestem taki, jaki byłem...

.

Et diabolus incarnatus est, et homo factus est[24].

ARTHUR MACHEN

SPOWIEDŹ SZATANA CZYLI
EPILOG

Dzieci, jest już ostatnia godzina, i tak, jak słyszeliście, Antychryst nadchodzi, bo oto teraz właśnie pojawiło się wielu Antychrystów; stąd poznajemy, że już jest ostatnia godzina. Wyszli oni z nas, lecz nie byli z nas; bo gdyby byli naszego ducha, pozostaliby z nami; a to stało się po to, aby wyszło na jaw, że nie wszyscy są naszego ducha. (1 J 2, 18–19)

Rzym, 29 czerwca ... roku

Czarny mercedes przejechał przez bramę prowadzącą na teren Szpitala Psychiatrycznego pod wezwaniem św. Dymfny dokładnie w południe. Uważny obserwator zwróciłby uwagę na jego nietypową rejestrację: SCV 666. Ale w otaczającym szpital parku nie ma uważnego obserwatora, nie było żadnego obserwatora. Park świecił pustką.

Białe tło i czerwone litery wraz z cyframi świadczyły o tym, że samochód zarejestrowano w Watykanie i należał do jednego z kardynałów[25].

Samochód zatrzymał się przed głównym wejściem. Po chwili zza kierownicy wysiadł wysoki, postawny mężczyzna. Najpierw otworzył tylne drzwi od strony kierowcy, później te od strony pasażera. W końcu odjechał na parking przeznaczony dla gości i zaparkował w cieniu. Na zewnątrz panował upał.

Samochód przywiózł kardynała Lucę Bassantiego oraz siostrę Benedettę. On, w wieku grubo po siedemdziesiątce, emanował dekadencją i bezwzględnością, ona nieco młodsza, oschła i nieprzystępna. Wysiedli i, trzymając się pod rękę, niespiesznym krokiem wspięli się po schodach ku wejściu. Przybyli z wizytą do dyrektora placówki, by dopytać o stan zdrowia pewnego pacjenta – Christophera Bassantiego, kogoś bardzo dla nich ważnego. Chcieli dowiedzieć się, jak się czuje,

a potem zostawić czek i zniknąć. Na razie minęli galerię luster, w których żadne z nich nie dostrzegło swego odbicia.

Wizyta trwała dziesięć minut. Na zakończenie z ust kardynała padło:

– Proszę się nim opiekować. Niebawem będzie nam potrzebny.

– Proszę być spokojnym – odpowiedział Farretti. – Po to mnie tu przysłano.

Gdy wracali alejką oddzielającą budynek kliniki od parkingu, ich sylwetki nie rzucały nawet najmniejszego cienia. A przecież był piękny, słoneczny dzień...

Roma locuta est, causa finita est[26].

ŹRÓDŁA

Inspiracją do napisania *Spotkania* była lektura kilku książek i artykułów. Najważniejsze z nich to:

LITERATURA:

1. Divo Barsotti, *Nasza Matka – przesłanie Matki Bożej*, tłum. Ewa Łukaszyk, Wydawnictwo WAM, 2008.
2. Luis Eduardo Dufaur, *La Salette. Wezwanie do nawrócenia*, tłum. Agnieszka Daniluk, Instytut im. ks. Piotra Skargi, 2010
3. Martin Malachi, *Dom smagany wiatrem*, Wydawnictwo Antyk Marcin Dybowski, 2012.
4. Antonio Socci, *Czwarta tajemnica fatimska?*, tłum. Mieczysław Stebart, Wydawnictwo AA, 2012.
5. Antonio Socci, *Kościół czasu Antychrysta*, tłum. Marcin Masny, Wydawnictwo AA, Kraków 2020 (cytat dotyczący tajemniczej formuły *Egzorcyzmu papieża Leona XIII*).
6. Paul L. Williams, *Watykan zdemaskowany. Mafia, zbrodnie, pieniądze*, tłum. Andrzej Dominiczak, Instytut Wydawniczy Książka i Prasa, 2009.

INTERNET:

1. Andrew M. Cesanek, *Trzecia Tajemnica Fatimska: dwa manuskrypty siostry Łucji?*, tłum. Przemysław Jackowski, tekst za „Zawsze Wierni” 2000, nr 6 (37), https://www.piusx.org.pl/zawsze_wierni/artykul/328 [dostęp 06.03.2024]
2. *Dwie siostry Łucje. Zdjęcia i fakty*, https://wolnemedia.net/dwie-siostry-lucje-zdjecia-i-fakty/ [dostęp 6.03.2024]

3. *Dwie siostry Łucje. Zdjęcia i fakty*, cz.2, https://marucha.wordpress.com/2011/09/27/dwie-siostry-lucje-zdjecia-i-fakty-%E2%80%93-cz-2/, [dostęp 6.03.2024]
4. *Dwie siostry Łucje z Fatimy?*, cz. 1, https://marucha.wordpress.com/2011/09/26/dwie-siostry-lucje-z-fatimy-cz-1/ [dostęp 6.03.2024]
5. *Fatima – gdzie jest prawda, a gdzie fałsz*, https://gloria.tv/post/pnpHHoYeQESo14eXYJTAxx3uD [dostęp 6.03.2024]
6. *Kolejne zawirowania wokół Fatimy – nowa książka „siostry Łucji”*, https://www.bibula.com/?p=391 [dostęp 6.03.2024]
7. Adrian Lenz, *Co się stało z siostrą Łucją?*, http://adrian-lenz.szkolanawigatorow.pl/co-sie-stao-z-siostra-ucja [dostęp 6.03.2024]
8. Lech Maziakowski, *Zmarł kard. Capovilla, sekretarz osobisty Jana XXIII*, https://www.bibula.com/?p=87746 [dostęp 6.03.2024]
9. *Niewybrany papież Kardynał J. E. Giuseppe Siri*, https://gloria.tv/post/L4kUpRxiRemo3sAvHbjQ8eaom [dostęp 6.03.2024]
10. *Sekret z La Salette Orędzie Matki Bożej*, http://www.p-w-n.de/Sekret.htm [dostęp 06.03.2024]
11. *Skasowany post – spisek na konklawe 1958 roku*, https://gloria.tv/post/QJd7p3qBRwnH2Z6ZjqvM3eUte [dostęp 6.03.2024]
12. Arkadiusz Sołtysiak, *Czarna Msza. Od mitu do bluźnierczej psychodramy,* http://www.antropologia.uw.edu.pl/AS/as-031.pdf [dostęp 6.03.2024]
13. ks. Karol Stehlin, *Wzgardzone orędzie fatimskie: historia Trzeciej Tajemnicy*, tekst za „Zawsze Wierni” Nr 3 (34) maj-czerwiec 2000 http://apokalipsa2007.republika.pl/Fatima.htm

Cytaty z orędzia z La Salette pochodzą ze strony: http://www.apokalipsa.info.pl/objawienia/la_salette.htm [dostęp 6.03.2024].

Fragmenty rozmowy siostry Łucji z ojcem Fuentesem (w tym cytat o szatanie) pochodzą ze strony: http://www.bibula.com/?p=9267 [dostęp 6.03.2024].

Fragment Egzorcyzmu Leona XIII pochodzi z artykułu *Watykański sekator czyli protoplaści SVII* ze strony: https://swietatradycja.wordpress.com/2019/05/06/watykanski-sekator-czyli-protoplasci-svii/ [dostęp 6.03.2024].

Fragment wizji Leona XIII pochodzi z artykułu *Wizja Papieża Leona XIII z 1884 roku – dialog szatana z Chrystusem. Historia powstania egzorcyzmu do św. Michała Archanioła* ze strony: https://wobroniewiary.com/tag/wizja-papieza-leona-xiii/ [dostęp 6.03.2024].

Cytaty z łacińskiej mszy satanistycznej pochodzą z *Missale Satanicum* ze strony: https://www.angelfire.com/az3/synagogasatanae/latin-corrected.htm [dostęp 6.03.2024].

Zacytowany przez Bassantiego fragment (s. 250) pochodzi z: Howard Philips Lovecraft, *Zew Cthulhu*, tłum. Ryszarda Grzybowska, Czytelnik 1983, s. 261,

PRZYPISY

[1] George Saunders, *Co tak naprawdę robi pisarz, kiedy pisze*, tłum. Agnieszka Pokojska, „Książki. Magazyn do czytania” 2017, nr 1.

[2] Leif GW Persson, *Między tęsknotą lata a chłodem zimy*, tłum. Wojciech Ły gaś, Warszawa 2010.

[3] Wszystkie cytaty biblijne w niniejszej powieści pochodzą z Biblii Tysiąclecia, wyd. IV, Wydawnictwo Pallotinum, Poznań 2003.

[4] *imprimatur* – zezwolenie władzy kościelnej na publikację

[5] PP to skrót od łacińskiego *Pastor Pastorum* – Pasterz Pasterzy.

[6] *Kodeks Prawa Kanonicznego*, kanon 1172 (https://egzorcyzmy.katolik.pl/kodeks-prawa-kanonicznego) [data dostępu: 24.01.2024 r.]

[7] https://opoka.org.pl/biblioteka/T/TA/TAL/kkbids/rytual_egzorcyzmy.html#SnippetTab [data dostępu: 24.01.2024 r.]

[8] *ibidem*

[9] *Kodeks Prawa Kanonicznego*, kanon 1167 (https://egzorcyzmy.katolik.pl/kodeks-prawa-kanonicznego) [data dostępu: 24.01.2024 r.]

[10] *Kodeks Prawa Kanonicznego*, kanon 1371 (https://www.intratext.com/IXT/POL0025/_P43.HTM) [data dostępu: 24.01.2024 r.]

[11] Fragment egzorcyzmu Leona XIII, cyt. za: Watykański sekator czyli protoplaści SVII (https://swietatradycja.wordpress.com/2019/05/06/watykanski-sekator-czyli-protoplasci-svii/) [data dostępu: 24.01.2024 r.], tłum. Maciej Pieczyński

[12] *Czy można odmawiać egzorcyzm Leona XIII?*, pkt B (http://www.traditia.fora.pl/katechizm-nauka-katolicka,15/widzenie-leona-xiii-13-pazdziernika-1884-roku,4340.html) [data dostępu: 24.01.2024 r.]

[13] *Brudne dymy konklawe* (https://www.salon24.pl/u/rajutracony/242930,konklawe-co-jest-prawda) [data dostępu: 24.01.2024 r.]

[14] Paul L.Williams, *Watykan zdemaskowany. Mafia, zbrodnie, pieniądze*, tłum. Andrzej Dominiczak, Instytut Wydawniczy Książka i Prasa, 2006

[15] Salve! (łac.) – Bądź pozdrowiony!

[16] My, przepotężny Lucyfer, za poparciem Szatana, Belzebuba, Lewiatana, Elimiego, Astarota i innych, uznajemy za przyjęty zawarty z nami pakt przyjaźni Urbana Grandiera. I obiecujemy temuż miłość kobiet, kwiat dziewic, cnotę mniszek, zaszczyty, rozkosze i bogactwa. Źródło: *Pactum foederis Urbani Grandieri*, https://la.wikisource.org/wiki/Pactum_foederis_Urbani_Grandieri [data dostępu: 24.01.2024 r.], tłum. Maciej Pieczyński.

[17] 1899 Messe Noire (https://sithistdiary.blogspot.com/2007/07/missale-satanicum-corrected-post-1969.html) [data dostępu: 24.01.2024 r.]

[18] Chwała w otchłani Szatanowi, / W otchłani Szatanowi chwała. / Przystapię do ołtarza boga naszego Szatana,/ do boga, który teraz uciśniony powstanie i zatryumfuje. / Czegoż chcesz? / Na ofiarę składam ciało moje – / Przyjmij, Święty

Ojcze, tę hostię. / Weź też krew naszą. / Chwała Szatanowi! / W imię boga naszego Szatana : Lucyferze, wzejdź wysoko! / Przystąpię do ołtarza Szatana. / Do Szatana, który jest weselem mojej chwały. / Szatan, Belzebub, Lewiatan, Asmodeusz, Abbadon. / Chwała Szatanowi i Belialowi, i duchowi złemu. / Jak była na początku, teraz i zawsze, i na wieki wieków. Amen. / Szatanowi [niech będą] dzięki. / Szatan z wami / I z duchem twoim. / Ewo, pożądaj Szatana. Pójdzi, Lilith, pójdzi z powrotem do Pana. Bóg jest przeklęty. Chwała tobie, Panie Lucyferze, przez wszystkie wieki wieków. Amen. / Króluj, Szatanie, / Bądź pozdrowiony, Szatanie. Źródło: 1968 Missa Satanica, https://sithistdiary.blogspot.com/2007/07/missale-satanicum-corrected-post-1969.html [data dostępu: 24.01.2024 r.], tłum. Maciej Pieczyński.

[19] *Św. Pius X miał pochodzenie włoskie*, „Bibuła – pismo niezależne” (https://www.bibula.com/?p=108630) [data dostępu: 24.01.2024 r.]

[20] *char-à-voile* (fr.) – żaglówki lądowe, żaglowozy

[21] Św. Dymfna – Irlandka, patronka ludzi w depresji, lęku i odrzuceniu. Poniosła śmierć z ręki własnego ojca, rozgoryczonego i obłąkanego z żalu po stracie ukochanej żony; *nota bene* ojciec chciał pojąć ją za żonę. Za radą swojego spowiednika uciekła do Antwerpii. Tam ją schwytano i z rozkazu ojca ścięto w wieku piętnastu lat.

[22] *Apage, Satana!* (łac. z gr. *ὔπαγε, σατανᾶ*) – Idź precz, szatanie! (Mt 4, 10)

[23] *Vicarius Filli Dei* (łac.) – Wikariusz Syna Boga

[24] *Et Diabolus incarnatus est, et homo factus est* (łac.) – Diabeł przyjął ciało i stał się człowiekiem; Arthur Machen, *The Great God Pan*

[25] Białe tło rejestracji opatrzone czerwonymi literami SCV (*Stato della Citta del Vaticano*) oraz numerami od 1 do 100 zarezerwowane jest dla Głowy Kościoła Katolickiego oraz kilkunastu kardynałów.

[26] *Roma locuta est, causa finita est* (łac.) – Rzym przemówił, sprawa zakończona